

BUNSCH KAROL

PSIE POLE

POWIEŚCI PIASTOWSKIE 10

## I. SPOTKANIE

Od czasu gdy odpadły Łużyce, mające stanowić przedmurze państwa Wielkiego Bolesława przeciw parciu drapieżnych margrafów na wschód, już tylko nieprzebyte bory, bagna i zalewy między wodami Bobru i Nysy stanowiły zaporę umocnioną wałami, które Chrobry jeszcze zbudował. Na północ od nich było przejście pod Krosnem, na południe - Bramą Łużycką naprzeciw Legnicy, ale ziemie między nimi, po lewym brzegu Bobru, leżały puste, rzadko nawiedzane przez napastnika, bo i grabić nie było kogo tam, gdzie zwierz był jedynym osadnikiem.

Toteż blask płomienia, zamię obecności człowieka, bardziej dziwił, niż trwożył leśnych mieszkańców. Podchodzili do ogniska; zdradzało ich ostrzegawcze warczenie psa, na które jednak pan jego zdał się nie zwracać uwagi, zapatrzony w płomień oświetlający jego młodą, zamyśloną twarz. Drgnął jednak, gdy pies dzwignął się z najeżoną na karku sierścią. Kładąc na nim rękę, drugą przysłonił oczy od blasku i spojrzał za siebie. Ale nawykłe do światła oczy nic nie dostrzeżały w ciemności, natomiast uszy rozróżniły szelest kroków. Kroki były ludzkie, a idący widocznie nie zamierzał się ukrywać. Po chwili istotnie ukazał się w kręgu blasków płomienia, przystąpił do ogniska i przez chwilę patrzyli wzajem na siebie bez słowa. Pies warczał jeszcze, ale widząc, że pan się nie poruszył, machnął obojętnie ogonem i przyłgnął do ziemi.

Przybyły odezwał się wreszcie. Mówił narzeczem obcym, ale zrozumiałym:

- Co robisz w boru?
- Siedzę.
- Wždy widzę. Ostrożnyś, choć młody. Ale nie ma przed kim. Ja jestem zbiegiem.

Młodzian spojrział na przygodnego towarzysza. Ciemny zarost okrywał wychudłą twarz, tylko jasne oczy świeciły w blaskach płomienia. Mowa zdradzała Łużyczanina i wygląd nie budził obawy.

- I ja uciekłem - odparł.

- Od swoich uciekłeś? Ubiłeś kogo? Tyś Ślązak?

- Dziadoszanin. Nie ubiłem nikogo, choć zdałoby się. Nie chcę tak żyć.

- Jak?

- Jak wół.

- Młodyś. Ja bym chciał żyć jak wół. Ciepła obora, pełny żłób, choćby i orać od świtu do zmroku. A żyję jak bezpański pies. Ale i to lepsze...

Urwał, po czym podjął:

-Jeno zimny nijak przeżyć. Zdychać przyjdzie. Ale i to lepsze niż życie u nas.

- A u nas?! - wybuchnął młody. - Wolniśmy! Jak ta ziemia stara, na niej siedzimy by ten zwierz w boru. A co pokolenie, to gorzej. Dawniej las i woda były niczyje; żył z nich, kto chciał. Teraz książece albo klasztorne czy rycerskie. Ziemię podle nas książe Przedstawowi Łabędziowi nadał. Dobry pan - zaśmiał się - bo go nie ma. Pono legł czy w niewoli siedzi, tedy ziemia jak niczyja, pożytku nikt nie wzbrania. Ale cóż z tego: jak bydlę do roboty komesi popędzają, to mosty, to drogi, to grody naprawiać, jeszcze karm pastucha, co stoi nad tobą. Wolniśmy dziedzice, a z niewolnikami nas równają. Tu jeszcze nie sięgną. Radziej żyć w lesie. Uciekłem.

- Dawno?

- Już trzeci dzień.

- To jeszcze chleb masz pewnikiem. Dałbyś. Młody sięgnął z ociąganiem do sakwy i wydobyl glon chleba, przelamał i wręczył część nieznanemu. Myślał, że ten zacznie jeść chciwie, bo wyglądał na wygłodzonego, ale on patrzył z nabożeństwem i szeptał:

- Chleb jedzą... i źle im.

Kiwał głową w zadumie; młody zeżlił się i warknął:

- Cóż wydziwiasz, jakbyś chleba nie widział? Nieznajomy popatrzył na niego szklanym wzrokiem i odparł cicho:

- Ja widziałem. Ale moje dzieci już nie widziały.

- Tedy wróc im pokazać - rzucił młody drwiąco, ale zacisnął wargi, gdy obcy odparł:

- Wróciłbym... i po śmierć... jeno nie ma do kogo.

- Pomarły? - zapytał młody, stropiony. - Zdechły... z głodu.

- Powiadaj!

- Dużo by mówić... choćby do świtu.

- Gadaj! Mamy czas.

Słuchał z przykniętymi oczyma. Chwilami rzucał spojrzenie na mówiącego, jakby chciał sprawdzić, że to nie zły sen. Łużyczanin mówił spokojnie, nie o sobie, jeno o doli nieszczęsnego plemienia, które na śmierć skazano za to jeno, że według innego obyczaju żyło, i które już umarło. Młodzian nie chciał słuchać więcej i zarazem nie chciał przerywać mówiącemu, jakby się spodziewał, że przecie coś usłyszy, co rozjaśni ponury obraz, pozwoli żywić nadzieję. Ale Łużyczanin ciągnął:

-Nie nazwą cię inaczej niż psem. Nie dotkną inaczej niż nogą. Nędzny kawałek ziemi, który ci z ojcowizny został, drewnianą sochą skrobać musisz, bo z żelaza niewolnik mógłby uczynić miecz. Nie rozgrzejesz się w chacie, bo komina mieć nie wolno. Mógłbyś upiec chleb, a skąd mąka, jeśli żaren też mieć nie wolno? Co z sierociej ziemi wydusisz, na daniny prawic starczy. Nie urodzi się, twoja strata, zabiorą ostatnią krowę, byś kropli mleka nie miał dla dziecka. A do sprzężaju żonę i dzieci brać możesz... jeno ich karmić nie ma czym. Coś się żonie poobrywało na wnętrzu... poszła. Za nią dzieci... po młodszeństwie. Dziwne ci, że wolałbym wołem być? Wół nic ma żony ni dzieci, nie musi patrzeć, jak zdychają. Nie myśli. Nie dasz mu zreć, uwali się, nie pójdzie, choćbyś ubił. A nowego kupić trzeba. Człek darmo przychodzi. Nas wygubią, do was przyjdą. Nie bój się!

Na te słowa siedzący wyprostował się i rzucił zawzięcie:

- Nie boję się. Nie przyjdą.

- Głupis - bezbarwnie odparł nieznajomy. - Nie wydojona krowa ryczy.

Młody zachnął się, ale towarzysz ciągnął, jakby tego nie zauważył:

- Cóżecie, Dziadoszanie? Ilu was jest? A wiesz, ilu Niemców? I cesarz wszystkich w garści dzierży i głosi, że świat cały jego. Nie przyjdzie do was dziś, to jutro. Nie obronicie się.

Młodemu zaświeciły się oczy. Odparł żywo:

- Mój dziad opowiadał, że jego dziad w Niemczy był, gdy przyszedł cesarz z Niemcami. Jeszcze pogańskich Lutyków w pomoc przybrał. Nie wskórali nic. I my się obronim.

- Dziadoszanie?

-Nie samiśmy. Są jeszcze Bobrzanie i Trzebowianie, Gołężyce, Opolanie i Ślężanie. Nie damy się.

- Gołężyce przecie do Czech odpadli. Z nimi cesarzowi, a nie wam będą pomagać. Wszystkich was razem za mało.

- Głupiś! - popędliwie rzucił młody. - Niemcza się obroniła, bo wiedzieli, że przyjdzie Chrobry z Polanami, Wiślanami i innymi. Przyszedł i zbił cesarza.

- Jeno nie ma już Chrobrego. Słyszałem ci o nim. Pieśni u nas pieją... gdy panowie nie słyszą. Onże wszystkie ludy, co Słowem mówią, zebrać chciał razem. Za Łabę byśmy przegnali duków i margrafów, hercogów i ritterów, skąd przyszli... A tak!

Urwał i zadumał się, a po chwili dodał:

- Człek sam jeden ani się wilkom nie obroni, choćby jaki mężczyzna. Zdychać przyjdzie.

- Cóż nam kraczesz? Za nami księżę Bolko stoi. I on chrobry jest, naddziadowe państwo zjednoczył, zdrajcę Zbigniewa wyganiając. Nie damy się.

- Daj to Bóg! Niechby nas choć pomścił.

Ściagnął kurtę i otulił się nią wraz z głową, nogami odwracając się ku ognisku, bo noc była chłodna i wietrzna. Młody siedział nadal, nad czymś głęboko zadumany, dorzucając chrustu do ognia i słuchając jego trzeszczenia. Potem słuchał, jak zrazu pojedyncze, potem coraz gęstniejące krople szeleszczą po zwiędłym listowiu i sycząc padają w ognisko, które dymić zaczęło. Oczy zasłonił, bo wiatr kręcił dymem, i zdrzemnąć się musiał, bo gdy je otworzył, nieprzebita ciemność jesiennej nocy wyparła blask zgasłego ognia. Skulił się

i przytuliwszy do psa, szcękając zębami, czekał świtu. Wreszcie niebo poszarzało na tyle, że rozróżnił już zarysy ogołoconych z listowia gałęzi, zatarte nisko leżącą, przenikliwą mgłą. Trącił towarzysza i powiedział:

- Wstawaj!

Zagadnięty nie spał widocznie, bo nie poruszywszy się, zapytał:

- Po co?

- Wracam do swoich.

Łużyczanin dźwignął się i patrzył zaskoczony. Odezwał się z wahaniem i prośbą:

- Siekierę masz i nóż. Ostawiłbyś mi... może jakoś przeczuję, choć daszek nad głową skleciwszy. Ty sobie doma poradzisz.

- Pójdzi ze mną. Dziada mam mądrego. Stary jest, dużo widział. Tarczownikiem był u Odnowiciela, gdy Śląsk Brzetysławowi odbierał. Może co doradzi.

W oczach Łużyczanina widać było walkę chęci z obawą.

- Jam obcy, do niczego niezdały. Sił nie mam, a swoich gąb macie zadość...

- Czego się lękasz? - rzucił młody niecierpliwie. - Zajedno ci, gdzie zdychać, tedy pójdzi. Pod dachem nawet zdychać lżej.

- Pójdźmy. Bogudar mnie wołali.

- Mnie Kosek.

U ujścia Kwisy do Bobru, wśród bagien, leżała wieś Moczydło. Starsza była niż wały Chrobrego, zamykała przerwę między południową a północną ich częścią. Zbudowana w okrąglicę, dom przy domu, ze wspólną oborą dla bydła i spichrzem pośrodku, obwiedziona była wałem i ostrokołem, otoczona wodą Kwisy, prowadzoną rowem. Niegdyś była siedzibą rodu, potem opola. Teraz należała do grodu w Bytomiu i, jak każda inna wieś, powinności pełnić i daniny składać musiała. Ale pamięć pozostała o opolnym staroście, który tu niegdyś sądził i rządził. Teraz, choć starosty nie było, Sapek powagą swą i doświadczeniem niejedną sprawę rozstrząsał tylko we własnej wsi, ale i okolicznych, z których coraz W<sup>o</sup>s zjez<sup>o</sup>Wo niego, bo i bliżej

było niż do Bytomia, i koców<sup>1</sup> płacić nie było trzeba za sąd, jak komesowi lub podsędkowi.

Nawet zbuntowany Kosek powagę dziada uznawał i do niego postanowił się zwrócić o radę, co począć z Łużycaninem, którego mu się żal uczyniło. Ale nie dlatego jeno wrócił. To, co od niego usłyszał, wiele mu dało do myślenia, a myśli się chłodniej w bezsenną, słotną noc.

Rodzic Rasko, który sam już do Bytomia na służbę za syna zbierał się, by grzywny uniknąć, powitał powrót marnotrawnego syna z kijem w rękę, ale Sapek powiedział:

- Ostaw! Młodzi zawsze chadzają po własny rozum do głowy. A nie najdą go, wracają po cudzy.

Wieścina, jak to niewiasta, miast ofuknąć włóczęgę, uzalała się nad nim, że przynędzniały wrócił, i kurę wsadziła do garnka, jak na wielkie święto, udając, że nie słyszy mrużenia męża:

-Kurami tucz wałkonია... i jeszcze łazęgów ze świata. Będzie ich lepiej nosiło.

Bogudar, niepewny przyjęcia, spłoszył się wyraźnie i wymknął się zamierzał, ale stary Sapek rzekł surowo:

- Gościem jest. Jeszcze ten dach nie odmówił schronienia nikomu i nie odmówi, póki ja żywię. Ani nas łyżka strawy nie ogłodzi. Ostań - zwrócił się do Łużycanina.

Rasko zawstydził się i gdy Wieścina podała miskę jaglanej kaszy i garnek z kurą, sam do jedzenia zachęcał gościa, który nieśmiało sięgał do misy, choć spoglądał na nią chciwie.

- Jedz! Tyle twego. A co jutro będzie, nie wiada.
- Byle jeno Niemce do was nie przyszli - szepnęła Bogudar.
- Swoi też drzeć potrafią. Dwa razy z jednej krowy skórę by ścigała. I doić chcą, i mięso z niej zreć.
- Co wy wiecie!

Pojadłszy, ośmielił się i rozgadał. Słuchali zasepieni. Gdy skończył, zapanowało milczenie, które przerwał Sapek:

Wynagrodzenia sędziego w futrach.

- Płonne żale nad tym, co minęło, a żyć trzeba. Kosek niech się do Bytomia zbiera na rok. Minie to, ani się obejrzysz. Młodemu rok długi się zda, a wspomnisz, to jeno chwila. Ty zaś - zwrócił się do Łużycanina - chcesz, to ostań. Głodno u nas bywa na przednówku, a nawet i w zimie, ale juści lepiej niż u was lubo i w lesie.

Rasko chciał coś wtrącić, ale Sapek nie dopuścił go do słowa:

-Nie stanie Koska, nie stanie rąk do pracy. Ja swoje już urobiłem, a twoich mało. Ot i teraz, do Wrocławia jechać trzeba, bo targ na św. Marcin i ceny na łupieżę najlepsze, a soli i żelaza przykupić. Wieścina sama wszystkiemu nie wydoli, pomoc w domu zda się.

Bogudar podjął starego pod nogi.

- Nawykłem pracować o głodzie. Sił nie mam wiele, ale odpłace, ile ich starczy.

- Odżywisz się, to i sił przybędzie. Niestaryś. Nie wierzę ja w pokój między cesarzem a Bolkiem, może i do czego innego sił będzie potrzeba.

- Rad bym i panom niemieckim odpłacił!

-Dlatego nie zawadzi, że się Kosek bronią robić nauczy. Mnie nie zawadziło. Książę z rycerstwem sami nie wydolą kraju bronić.

- Niech bronią, kiedy sobie za to płacić każą - mruknął Rasko, ale stary ofuknął go:

- Gadaj tak, jeno się potem nie dziw, że się Kosek buntuje. Na co stary pies warczy, to młody gryzie, póki zębów nic wyszczerbi. Słyszaleś, co Bogudar mówił? Nie mają swoich książąt ni rycerstwa, to mają cudzych. Widno taki porządek nastaje na świecie. Ale wygnaj ze stada ogiery, bo najwięcej żrą, a najmocniej kęsają, to się stado od wilków nie uchroni. Sapek zamyślił się, jakby w pamięci grzebał, a gdy nikt nie przerywał milczenia - podjął:

- Byłem ci ja wyrostkiem, ale dobrze pamiętam, gdy po śmierci Mieszka Bolesławica kapłanów i rycerstwo nasi wygnali. Przyszedł Brzetysław z biskupem praskim Sewerem, niby za znieważonymi świątyniami się ująć. A jak się ujmowali, świadczyła gnieźnieńska katedra, którą z ziemią zrównali, co jeno było cennego zrabowawszy. Wzięli zwłoki Radzima, co go nasi za Św. Wojciecha podstawili, i szczerozłote tablice z jego grobu, i krzyż, co go Chrobry świętemu

ofiarował, wagi tej, co sam Bolko, a ciężki był. Niech ta! Ale gorzej, że po ich przejściu koń na Śląsku był tak rzadki jak on wielbłąd, co go Mieszko podarował Ottonowi, i do dziś ich brak, a chałup naszych nie więcej szczydził niż świątyni, choć kraj zabrali jako swój. Dlatego krwi nie szczydził, gdy Odnowiciel wrócił. Nie zapłacił mi za nią nikt, ale nie pora się tarzyć, gdy o własną skórę sprawa. Głupi ten, co chcąc się robactwa zbyć, które go ssie, sam się utopi, choć juści trupa wszy nie gryzą. I Piastowicom pomoc dać trzeba, bo im inaczej wielmoże nad głowy wyrosną a nas zduszą...

- Sprawiedliwie mówicie - wtrącił Bogudar. - Miłe życie każdemu... jeno nie takie jak u nas. Lepiej zginąć, byle z bronią w garści.

## II. POWRÓT

Poczekaj, niech jeno rodzic wróci! Wysoki, niewieści głos ściagał wyrostka i sforę psów, biegnących razem od zabudowań obszernego dworca ku lesistym wzgórzom położonym opodal. Psy węszyły i tropiły dokoła, przystając przy każdym kamieniu i krzaczku, a chłopak zbyt był zajęty oczekiwaniem przygodami, by zwrócić uwagę na zawartą w wołaniu groźbę, której ostrze stępiło się zupełnie od częstego powtarzania.

Słyszał ją kilka razy dziennie od paru lat. Matczyne łajania i poszturchiwania traciły swą skuteczność, w miarę jak rósł i stawał się coraz odporniejszy na wszelkie sposoby karcenia. Nauczył się zarówno znosić je, jak też zapobiegać im. I teraz, wypuściwszy całą psiarnię, uchodził przed karą do lasu: tam bez pomocy psa nie znajdzie go nikt. Kiedyś wprawdzie trzeba wrócić, ale to daleka przyszłość. Musi bowiem pozostać w lesie tak długo, aż matka zacznie się niepokoić, czy mu się coś nie przygodziło. Wtedy zamiast kary czekają go pieszczoty, których nie lubił, i przysmaki, które lubił bardzo, zwłaszcza gdy przegłodził się dobrze. Jedzenie było jedyną przynętą, która ściągala go do domu; zazdrościł psom, że same potrafią się wyżywić. Próbował wprawdzie żreć wraz z nimi surowe mięso złowionych sarn i zajęcy, ale nie mógł się przełamać. Trzeba się nauczyć rozniecać ogień. Wtedy będzie mógł uciekać do lasu nawet zimą i wcale nie będzie musiał wracać do domu, gdzie mu się cniło.

Zapowiedź powrotu ojca Zdziech przywykł uważać za gadkę. Gdyby nie to, że pamiętał, jak przez sen, siedzącego na koniu woja, który zdawał się mu olbrzymi jak chojar, wąpiłby w ogóle o jego istnieniu. Zadzierać musiał wówczas głowę jak ku wroniemu gniazdu. Na szyzaku ojca grało słońce, aż oczy się mrużyły. Potem matka podała malca wojowi, który przycisnęła dziecko do piersi. Pierś miał z żelaza, zimną i nieustępliwą. Gdy pochylił się nad Zdziechem, by go ucałować,

wać, zawisły nad chłopcem oczy surowe i suche. Z twarzy ojca zapamiętał tylko te oczy, a lepiej jeszcze - wymalowanego na szyszaku łabędzia. Takie same ptaki widywał czasem wiosną lub jesienią, gdy ciągnęły na łęgi lub odlatywały na zimowisko. Niektóre nawet zostały gniazdować na zalewiskach nad Odrą. Raz Ustek przetrącił jednemu skrzydło kamieniem. Ptak podrywał się bezsilnie za odlatującym stadem, krzycząc żałośnie. Potem skrył się w szuwarach. Teraz Zdzych już wiedział, że łabędź to ojcowy znak rodowy i że ród to najmoźniejszy na całym Śląsku. Ale Zdzych wiedział też, że nie milowali jego rodzica. Wyrzekli się go, bo ze Śmiałym przeciw własnemu rodowi trzymał i do końca mu wiary dochował. Ale Łabędziem pozostał. Gdy księżę Bolko Śląsk odzierzył, ziemie mu nadał obszerne, choć puste, na lewym brzegu Odry. Ale ojciec nie wracał ani wiosną, ani jesienią, tylko gniazdo jego zostało. Naprzód mówiono, że zginął, potem wieść przyszła, że ranny dostał się do niewoli pogańskich Pomorzan, i wtedy zaczęto chłopcu grozić jego powrotem. Nie tęsknił za nim wcale, nawet bał się. Wreszcie przestał wierzyć, gdy groźby powtarzały się tym częściej, im trudniej było poskromić wyrostka. Myśl łatwo przeskoczyła od rzekomego powrotu ojca do łabędzi. Dojrzałe ptaki są piękne i mocne, młode - szare i brzydkie. Kto by zgadł, co z nich wyrośnie? Podobne do gąsiąt. Prawda to jest, ale niechby mu kto tak powiedział! Spróbował raz włodarzowy Ustek gąsiorem go nazwać i choć starszy i o głowę wyższy, kijem dostał i długo miał pamiątkę. Od tego czasu nie lubili się, a szkoda, bo nie było się z kim bawić we dworcu: same dziewczyska. Dobrze, że są choć psy.

Nie było też kim pracować i marne było gospodarstwo. Brańcy, których ojciec z wojny przywiódł i koło dworca osadził, by karczowali las i uprawiali ziemie, skorzystali, że pana nie ma, i zbiegli. Ostali je-no Przeda i Prusina, on, bo kulawy i uciekać mu było nijak, ona, bo się całą panią zrobiła, gdy słabowita i nieporadna matka zdała wszystko na jej głowę. Włodarz, daleki krewniak matki, nie miał kim włodarzyć. Dwóch przypisańców, z dawna siedzących przy dworcu, strzegło koni, których stado ongi było okiem w głowie Przedślawa. O resztę gospodarstwa nie dbał nigdy, chromało też i za jego czasów.

Dziewki, które matka w wianie otrzymała, zagarnęła Prusina do domowych zajęć i bydła, łąkę żadnego nie udało się ściągnąć, bo pracy było więcej niż rąk, przy karczowaniu trzeba zaś się krwawo napocić, a i na nowinach ciężki mozół. Tedy nawet wykarczowane już łąchy zarastały młodnikiem.

Zdzych się tym nie trapił. Włodarz mawiał, że wdał się w ojca, któremu jeno wojna była w głowie. W miarę jak chłopak rósł, zdobywał coraz większą swobodę i nie uznawał już nad sobą nikogo.

Krzyknął na Zagrają, wodza sfory, bo nie mógł już za nią nadażyć. Psom zda się, że każdy może tak ganiać jak one. Albo też uważają chłopca za swego. Pacholek Przeda, który był psiarkiem, nazwał raz Zdycha „psubratem” i za to oberwało mu się od włodarza, ale tym Zdych nie czuł się wcale dotknięty. Brata nie miał, tylko siostrzyczkę Radkę. Niczego sobie, jak na dziewczuchę, nawet zdatna byłaby do zabawy, jeno że matka wiecznie ją trzyma przy sobie. Przyłgnął przeto do psów, bawił się z nimi po całych dniach i gdyby od niego zależało, zamieszkałby w psiarni. Trzymali z sobą niezłomnie i nawet z Radką, choć ją lubił, poróżnił się raz, gdy powiedziała:

- Umyłbyś się, bo cuchniesz jak pies.

- Psy wcale nic cuchną. Mają „wiatr” - odparł urażony za towarzyszy, których nie dopuszczano do mieszkalnych izb. - Ale co się taki skrzat na tym rozumie!

- Widzisz go! Żrały mąż! Dawnom ci nos wycierała?

Istotnie, młodszym był od niej niespełna o rok, ale wyższy i tęższy.

Ojciec ożenił się późno, bo związawszy się za młodu ze Szczodrym, wraz z nim uchodzić musiał. Powrócił dopiero z Mieszkiem, a gdy młodego księcia otruto, ukrywał się znowu przed mściwym Sieciechem. Dopiero gdy Bolko i Zbigniew wygnali palatyna, Przedstaw Łabędź osiadł na swej ojcowiznie, pojął za żonę sierotę po druhu - Wyszonę, i dzieci z nią spłodził, a Krzywousty chętnie przyjął doświadczonego wojaka, bo mu ich brakło do ustawicznych bojów.

Los jednak ścigał Przedślawa: ranny w nogę w walce z Pomorzani, dostał się do niewoli i dopiero zdobycie Kołobrzegu i hołd złożony przez pomorskich panów polskiemu księciu dały wolność

staremu już wojakowi. Gorzką wolność, bo wraca kaleką bez nogi. Teraz już na stałe w domu osiadzie i skończy się Zdzichowa swoboda. Tak groziła matka, ale Zdzich nie zwykł wierzyć jej groźbom. Zresztą kaleka bez nogi nie wydoli utrzymać rozbieganego żróbka. Tymczasem trzeba wykorzystać swobodę, a nuż jednak coś się odmieni? A może na lepsze? Z ojcem łącniej dojdzie do ładu, by mu do koni nie broniono dostępu. Czasem chyłkiem jeno dopadł łoszaka na łągu, bo koniary surowo mieli wzbronione do koni Zdzicha dopuszczać od czasu, gdy gramoląc się przez ogon na koński grzbiet oberwał kopytem, że go bez duszy odniesiono do domu. To był również jeden z powodów, że został wierny psom. Nie ma jak psy! Posłuszne, rozumne, męzne, zacięte, wytrzymałe na ból i trud. Nie ma zwierza, który by nie uchodził przed nimi. „Psubrat” to nie wyzwisko!

Póki Zdzich był mniejszy, jeździł na Zagraju. Teraz już jest za ciężki, ale radzi sobie; trzymając za powrózek przywiązany do obroży Zagrają. Przez to pies biegnie wolniej, a Zdzich prędzej. Zagraj wszystko znosi cierpliwie od chłopca. Jest poważny i wyrozumiały.

W tej chwili zatrzymali się, dotarłszy pod las. Starsze psy biegały z nosami przy ziemi, szczeniaki zaś rzuciły się na stado kóz, szczypiących trawę na skałkach rozrzuconych między chaszczami na skłonie wzgórza. Pastuszka uderzyła w krzyk, usiłując psy odegnać, ale kozy popędziły w las, a psy za nimi i słyhać było jeno szczenięce ciawkanie, coraz odleglejsze. Tylko stary cap zajął przezornie obronne stanowisko na stromym kamieniu i długimi rogami oganiał się obskakującym go psiakom.

Ciechna chwyciła się za głowę, płaczem się zanosząc.

-Nie becz! - pocieszał ją Zdzich, ale sam był trochę zmieszany.

Jakiś zauroczony dzień. Ciechna oberwie od klucznicy, jeśli kóz do udoju nie przypędzi, psiarek Przeda - od włodarza, że psów nie dopilnował. Ledwo już słyhać było ich gon za rozbieganym po lesie stadem, a do zachodu niedaleko. Jeszcze jedno nie przyszło, już drugie sobie namotał.

- Dobrze ci mówić - chlupała dziewczyna. - Bata nie ma na ciebie i na twoje psy. Żeby już raz pan wrócił, da on wam rady.

- Juści - odburknął lekceważąco, ale był zły i zmieszany. Wszyscy mu grożą ojcem. Coś w tym być musi. Jak też wygląda człek, którego widno sami się boją? Lepiej byłoby, gdyby nie wrócił.

Zdzich zawstydził się jednak swej myśli. Przecież to rodzic! I mało się matka za nim napłakała! Słabowita jest i rady sobie dać nie może z gospodarstwem. A on, zamiast pomóc, jeszcze jej zgryzot przyczynia.

- Chodźże! - krzyknął na Ciechnę. - Zagraj pomoże kozy odszukać.

Przestała chlipać, ale była nieprzejednana.

- Jako onegdaj gęsi - rzuciła zgryźliwie.

- Co prawisz! - fuknął. - Gęsi lis pewnikiem podusił. Nie brak jam nad rzeką.

- A poginą kozy, to zaś na wilki zgonisz. Twoje psy na powróż wziąć, to i spokój będzie.

- Głupiaś - krzyknął oburzony. - Wiadomo, szczeniaki swawolą. No, idziesz, czy nie? Albo na mnie nie pomstuj, jak kozy poginą.

Długo chodzili po wzgórzach, nim naszli zbite w gromadkę wystraszone kozy. Widocznie psy znalazły sobie inną ofiarę swych łowieckich namiętności, gdyż poszły w las. Jednej kozy brakowało. Zdzich, zmieszany, pomagał zganiać je, to szło niesporo, bo wystraszone były i zegnane.

- Mleko gotowe zatrzymać - rzekła Ciechna z wyrzutem. - Skaranie boże z tobą. Unka cała posiniaczona chodzi o te gęsi, a tobie **nic**. Nijakiej sprawiedliwości nic ma. W las przyjdzie uciekać czy utopić się albo co!

Zdzich szedł milczący. Unce dał na pociechę wstążkę, którą wyprosił u Radki. Teraz myślał, jak udobruchać Ciechnę, gdy ją spierze klucznica. Prusina zła baba. Cóż tam jedna koza...

Gdy wyszli na skraj lasu i dom był już widoczny, Zdzich odezwał się:

- Wróć ja tej kozy poszukać.

- Kozy będziesz szukał o ćmie! Znają cię! Znowuś napsocił i do dom wracać nie chcesz, a potem pani ludzi do lasu wygania po nocy, by cię szukali jako złego ziela po nowym księżycu.

Istotnie, wysoko na niebie tkwił cieniutki i ledwo jeszcze widoczny młody miesiąc jak srebrna czasza, z której na ciemniejące niebo roz-



spią się złociste gwiazdy, gdy jeno zgasną zorze, jakimi słońce ubarwiło świat. Spłaszczony i rudy, schowało się już za oparem, który wstawał z wilgotnych borów ciągnących się na zachód nieprzerwanym spłachciem, zda się do krańca ziemi. Ale Zdzych wiedział, że te bory mają kres, a za nimi siedzą już Niemce na ziemiach zgębionych Łużyczan. W borach nie mieszka nikt, chyba zwierz. Nawet przy rzece osiadano niechętnie na lewym brzegu Odry, tak że sąsiadów żadnych wokoło nie było.

Zdzych po prawdzie ani myślał szukać kozy. Puścił Zagrają, który umiał psy sam sprowadzić, i usiadł na płaskiej, pokrytej mchem skałce. Lubił tak siadywać o wieczornej godzinie i puszczać myśli po świecie na wymarzone przygody. Myśl dalej i prędzej niosła niż nogi, chyżej i prędzej nawet niż skrzydła, których zazdrościł łabędziom, słysząc jesienią ich donośny zew, gdy niedostrzegalne, wtopione w granat nocnego nieba, głosiły swój odlot na południe. A może to dusze zmarłych Łabędziów lecą Ptasią Droga<sup>1</sup>? Wiedział, że przodkowie jego przybyli także z północy. Wprawdzie Wyżga, proboszcz leżącego opodal na odrzonym Ostrowiu Głogowa, który dwa razy do roku przyjeżdżał na naukę, mówił, że dusze śpiewają przed bożym tronem, a przeraźliwy krzyk łabędzi nie przypominał anielskich chórow, ale skrzydła mają pewnikiem podobne. Wędrowny gędkłk zaś, który przyszedł raz od Trzebnicy, zgolał co innego prawil. Mówił, że kim kto był za życia, tym będzie i po śmierci i że wszystko, co żyje, duszę ma. Dlatego dawniej palono na stosie psy i konie razem ze zmarłym wojem, by mu dalej służyły. Zdzych chciałby po śmierci mieć Zagrają. Nie wiedział, komu wierzyć, plebanowi czy gędkłkowi. Matka, choć zwykle łagodna i płaksywa, bardzo się zagniewała, że Zdzych gadał z poganinem, jakich biskup wrocławski ściagał kaze i przed swój sąd dostawiał. Dużo ich ma być jeszcze koło Lubiąza, Trzebnicy i Żagania, ale kto ich tam będzie chwycił! Ludzie ich lubią, bo prawią o dawnych czasach, kiedy pono narodowi lepiej było. Gdy matka kazała chwycić gędkłka, włodarz jeno ramionami wzruszył.

<sup>1</sup> Mleczną Droga.

„Któż go będzie wiódł do Wrocławia?” - powiedział. Ale matka nie słyszała, jak odchodząc, mruknął: „Niech go biskup sam chwyci, kiedy mu wredny. Mnie nie wadzi”.

Zdzych nie wiedział, czego się trzymać, ale co szkodzi marzyć, że i on kiedyś polecą w niebo na łabędzych skrzydłach? Nie mówił o tym nikomu, boby się śmieli z niego, chyba Zagrajowi, ale pies, choć mądry, pewnie nie rozumiał, mimo że kiwał domyślnie ogonem. Psy marzą o swoich sprawach. Zdzych nieraz widział, jak Zagraj, zdrzemnąwszy się w słońcu, z nagłą zaczynał przebierać łapami i poszczekiwać. Zaś Zdzychowi często śniło się, że lata.

Dziś jednak nawet myśl Zdzychowa nie chciała latać - związał ją zapowiadany powrót ojca. Powinien był się cieszyć, ale nie cieszył się wcale. Czuł się jak żróbek, gdy go z łąk, gdzie hasa swobodnie, po raz pierwszy biorą do zaprzęgu. Targa uprząż i bije kopytami, aż ujmą mu obroku, a dołożą bata. Nawyknie, ale straci swą żywość i wesołość. Dorosłe konie są smutne. Gdy wrócą z pracy, stoją z opuszczonymi łbami. Im się pewnikiem nic nie marzy.

Zdzych wyciągnął się na skałce i patrzył w roziskrzające się niebo, szukając znajomych gwiazd. Zamrugła nad wschodnim nieboskłonem Gwiazda Wieczorna, dźwignął się Wóz, załśniły Kosce<sup>1</sup>. Zdzych zrazu liczył je, ale mieszały mu się i wnet stracił rachunek. Oczy zaczęły mu się kleić i usnął.

Zbudził się, gdy Zagraj zaczął go trącać nosem. Usiadł i przetarł oczy. Księżyc już nic było i Kurki<sup>2</sup> zaszyły. W domu pewnie wszyscy śpią. Zziąbane psy nadbiegały jeden po drugim. Ruszyli ku dworcowi.

Zdzych szedł wolno, bo szczeniaki, które nic umieją obliczyć się z siłami, ledwo się wlokły, a nie chciał czekać na nie pod psiarnią.

Gdy jednak zbliżyli się do dworca, Zdzych przyspieszył kroku. O tej porze zazwyczaj panowała tu głucha cisza. Niskie, w czworobok rozłożone zabudowania zdały się jeszcze niżej przypadać do ziemi, kryjąc się w mroku. Teraz słychać było jakieś odgłosy, a przez serca

Gwiazdozbiór Oriona.  
Konstelacja Plejad.

w okiennicach świetlicy wybiegały w ciemność jasne smugi światła. Zdzich pomyślał, że pewnie matka znowu ludzi chce wysłać, by go szukali, ale Zagraj, który coś węszył, popędził nagle ze szczekaniem, a za nim inne psy, robiąc harmider zdolny obudzić umarłego. Zdzich zaklął. Nie było po co się skradać. Ruszył prosto do świetlicy. Niech będzie, co ma być, przynajmniej spać nie pójdzie na głodno. Otworzył drzwi - stanął jak wryty.

Mroczną zazwyczaj izbę z niskim, belkowanym pułapem oświetlały płonące w piecu z polnego kamienia suche szczapy. Migotliwy blask wydobywał z cienia biegnące dokoła ścian póły, na których niegdyś stały ojcowe przybory wojenne i łowieckie: łuby z łukami, tuły pełne bełtów, siodła, tarcza i szłom, na rozwieszonych zaś pod nimi skórach wilczych i rysich wisiały kolczugi, miecze, noże, topory, sulice i rogaciny. Część ojciec zabrał z sobą, gdy szedł na ostatnią wyprawę, reszta rozlaża się. Niemało rozwłóczył w zabawie sam Zdzich. Teraz na ścianach, z których zniknęły zniszczone przez czas łupieżę, zwieszały się rzeszota i przetaki, kopyście i warzęchy, na półkach stały niecki do prażenia zboża, dzieże, czerpaki, misy, dzbany i garnki, tworzydła do sera i inne naczynia gospodarskie. Nic tu nie czekało na powrót gospodarza.

Za stołem z dębowych tarcic opartych na kozłach, który również nosił liczne ślady Zdzichowych zabaw, przysłoniętym ninie białym ręcznikiem, siedział jakiś nieznany mężczyzna. Głowę opierał na kościstej dłoni i wodził po otoczeniu ponurym spojrzeniem. Wychudzoną twarz oświetlały woskowe świece płonące w żelaznych świecznikach, które zazwyczaj zapalano tylko w największe święta. Także stół zastawiony był jak na Gody cynowymi misami, miast zwyczajnymi glinianymi. Naprzeciw nieznajomego siedziała zapłakana matka, a siostra stała opodal, patrząc na gościa szeroko rozwartymi oczyma, w których ciekawość walczyła ze sploszeniem.

Gdy Zdzich wszedł, matka podniosła głowę i powiedziała głosem przerywanym od szlochu:

- Przecie to rodzic. Powitajże go!

Widocznie zapomniała o psotach. Zdzich odetchnął i podszedł do syna śmiało, ale nie wiedział, co dalej czynić. Ojciec mu nie ułatwił. Nie poruszył się ni ręk nie wyciągnął. Podniósł jeno na chłopca wpadnięte oczy. Te same! Surowe i suche, choć coś się w nich zmieniło. By zacząć, Zdzich zapytał:

- Przyjechaliście?

- Przywieźli mnie jako gnój na wozie - posłyszał niski i szorstki głos.

Do reszty stracił śmiałość, gdy matka rozplakała się, a ojciec przewrwał jej surowo:

- Przestań!

W ogólnym milczeniu stary zaczął niby jeść, ale żuł długo każdy kęs i widać było wyraźnie, że mu przez gardło przechodzić nie chce. Zdzich stał, nie wiedząc, co począć, gdy Radka, która zbliżyła się ostrożnie, niespodzianie objęła ojca rękoma za szyję. Spojrzał na nią jakby zaskoczony. Uśmiechnęła się do niego, mówiąc:

- Piwa wam nie dali, dlatego i jeść wam niesporo. Zdrożniścic. Migiem przyniosę.

Poskoczyła i zniknęła za drzwiami. Wyszuna powiedziała, jakby się usprawiedliwiając:

- Ani wiem, gdzie mi głowa stoi. Zabyłam już, żeście piwem popijać zwykli.

- Co tam! Zabyłem i ja - burknął.

Ale gdy wpadła Radka z dzbanem i kubkiem, przygarnął ją i powiedział miękko:

- Ty jeno wiesz, córuchno, czego mi potrzeba, choć pewno mnie nie pomnisz.

- A nieprawda - zaprzeczyła gorąco. - Nieraz śniłam o was. Ino zrazu poznać nic mogłam, boście się trochę zmienili.

- Trochę! - zaśmiał się gorzko.

- Trochę - przytwardziła Radka, udając, że nie wyczuwa goryczy.

- Wynędzieliście, to się wam na licach bruzdy poczyniły. - Głaskała starego po twarzy, niby chcąc je wygładzić. - Niech no się do was wezmę, wraz się zaokrąglicie jak moje króliki i kury. Jeno one jedzą, a nie jako wy, tylko patrzą w misę...

- Już jem, córuchno.

Usiadła obok niego, paplając o swym gospodarstwie. Matka przerwała jej mówiąc:

- Przeszkadzasz ojcu.

- Ostaw! - fuknął stary gniewnie.

Przypomniała sobie, że popędliwy jest, i zamilkła.

Zdzich tymczasem stał jak kolek, nie wiedząc, co uczynić z sobą. Coś mu się w sercu ruszało, ale zły był na Radkę, może dlatego, że ojciec na niego już ani spojrział. Wyczekał, gdy przerwała gadanie, i wtrącił:

- I ja was pomnę. Szłom mieliście na głowie błyszczący z wymalowanym łabędziem. A gdzie zaś on?

Stary zmarszczył brwi i odparł zgryźliwie:

- Tam ostał, gdzie i noga moja. Tedy nic mi już po nim.

- Pod szłodem nie byłoby widać, żeście wylinieli - powiedział Zdzich, usiłując naśladować sposoby Radki, ale widno chybił, bo stary fuknął gniewnie:

- Głupiś!

Zdzich zamilkł, zmieszany, a Przedślaw po chwili dodał:

- Spać idźcie, bo wtóre kury już pieją.

Radka jeszcze raz uściskała ojca, ale Zdzich jakoś nie miał śmiałości. Gdy szli razem z siostrą, szturchnął Radkę i powiedział:

- A ty się ojcu przymilasz. Pewnikiem gościńca ci przywiózł?

- Przecie tyle lat nie miał nikogo swojego. A wrócił, to go nawet matka nie uścisnęła, jeno zaczęła beczeć; a tyś mu przypomnieć musiał, że stary i kaleka! Dobrze ci rzekł, żeś głupi.

- Samaś głupia! - zaperzył się Zdzich, ale czuł, że słuszność jest po stronie siostry. Jeno nie mógł znieść, by dziewczucha nad nim się mądrzyła. I jemu żal było starego wojaka, który już nigdy wojować nie będzie. Nie umiał tego powiedzieć. Przypomniał mu się łabędź ze złamanym skrzydłem i jego żalony krzyk, gdy inne wzbijały się w niebo, porzucając samego na zawsze.

### III. WROCLAW

Wrocław z dawna musiał być najcelniejszym grodem Śląska, skoro go Chrobry w tysięcznym roku na równi z Krakowem i Kołobrzegiem siedzibą biskupstwa uczynił. Podniosło to jeszcze znaczenie grodu. Gdy zaś Herman synów obdzielał, Wrocław stał się stolicą całego Śląska, a choć książę nieczęsto w nim przebywał, namiestnik z jego ramienia stąd rządził całą krainą.

Od najdawniejszych czasów skupiało się życie na Tumskim Ostrowiu, oblany ze wszech stron wodami Odry. Liczne ramiona rzeki broniły przeprawy skuteczniej niż kamienny zamek, koło drewnianej katedry, z dworcem biskupim nad wodą położony, na miejscu dawnego grodu plemiennego Słżan. Wieńcem dokoła leżały osady, stare jak Śląsk: Grabiszyn, Osobowice, Muchobór, Maślicc i inne nowsze, bo przybywało ich, w miarę jak miasto zyskiwało na znaczeniu, i dla potrzeb grodu osadzono w pobliżu kowali, dębników, żerdników, szczytników, ratai, świątników i innych. I niejeden rycerz, urzędem związany z grodem czy ziemie mający w pobliżu, osiadł przy mieście, jak na Elblągu Mikora czy Pietrek Włostowic, do którego należała Wyspa Piaskowa naprzeciw zamkowego kościoła Św. Marcina i obszerne ziemie na lewym brzegu Odry aż po ujście Ślęzy.

Prastare, z rzymskich czasów jeszcze, szlaki handlowe ściągały również ludzi do Wrocławia. Przy ujściu Oławy do Odry, naprzeciw Wyspy Piaskowej, wokół kościółka Św. Wojciecha i karczmy stojącej u przeprawy, rozrastać się zaczynała nowa osada z przystanią na rzece, gdy w starej ciasno już było. Tu krzyżowały się drogi z Krakowa do Szczecina i z Pragi do Gniezna. Nic brakło też nigdy we Wrocławiu przyjezdnych, ale targ i odpust w dniu Św. Marcina, patrona kupców, ściągał ich ze wszystkich stron, tak że miejsca w gospodach brakowało.

W tym roku zjazd liczniejszy był jeszcze niż zazwyczaj, bo nie tylko targi i odpust ściągały ludzi. Książę, po powrocie z kołobrzeskiej wyprawy i rozprawieniu się ze Zbigniewem, zapowiedział swój przyjazd do Wrocławia na radę dostojników scalonego królestwa. Nie wszyscy stanęli na wezwanie. Wiele rodów trzymało się na uboczu, nie wierząc, by walka między braćmi już była skończona. Arcybiskup Marcin, a z nim część duchowieństwa za złe mieli Bolesławowi, że podziału państwa z ojcowej woli nie uszanował. Dogodniej im też było mieć dwóch słabszych panów niż jednego silnego. Stronników Zbigniewa podtrzymywały wieści nadchodzące z Niemiec i Czech. Henryk po niepowodzeniach na zachodzie zawarł pokój z miastami flandryjskimi i siły jął gromadzić na wschodzie. Zbigniew dawał dogodny pozór cesarzowi do wmieszania się w wewnętrzne sprawy Polski, schronienie zaś udzielone Borzywojowi i jego stronnikom przez Bolesława skłaniało Świętopelka do odebrania Śląska, z którego Bolesław płacenia danin odmówił. Chmurne niebo nad krajem ciemniało jeszcze, a pierwsze uderzenie nadchodzącej burzy, jak zwykle, Śląsk miał wytrzymać. Niecierpliwie czekali na księcia.

W samą wigilię Św. Marcina dzwony katedry, kościołów Św. Piotra i Pawła, Św. Wojciecha i zamkowej kaplicy Św. Marcina przytłumionym przez mgłę dźwiękiem obwieściły wreszcie przybycie Bolesława. Co żyło, wyległo go witać radośnie, nawet przyjezdni kupcy, którym zjazd najmożniejszych panów królestwa zyski obiecywał niepowszednie. Duchowieństwo nadań się spodziewało, wielmoże na ustępstwa liczyli, zaś prosty lud i drobne rycerstwo ufność pokładali, że książę zasłoni ich swym niezwykłym ramieniem. Oni pierwsi pomogli mu, gdy pacholeciem jeszcze walki wszczął z tyranią i knowaniami Sieciecha i wielmożów. Teraz od wslawionego już wojownika sami czekali pomocy. Książę nie zapomniał przychylności śląskiego ludu, dlatego, miast w stołecznym Krakowie, tutaj zwołał radę, by osoba swą i dobrodziejstwami do wierności zachęcić.

Już u brodu trzebnickiego gościńca przez Widawę zbiegli się mieszkańcy prawobrzeżnych osad, witając pana, a tłum gęstniał, w miarę jak orszak posuwał się ku miastu. Koło mostu na Tumski

Ostrów falowało już morze głów, a krzyk powitalny szedł jak huk fali. Wielu widziało księcia po raz pierwszy i ci dziwili się że taki młodzik, któremu wąż dopiero zakrywać zaczynał krzywą wargę, tyle już dokonać potrafił. Książę odpowiadał na, powitania ręką i uśmiechem, który zgasł jednak, gdy na moście witało go duchowieństwo z biskupem Pietrkiem i możnowładcy z wojewodą Magnusem na czele. W jasnych jego oczach widniała troska, której przed nimi nie ukrywał, bo nad jej przyczynami radzić mieli.

W tłumie stał Rasko. Dopchał się aż ku mostowi, widział księcia z bliska i wraz z innymi krzyczał na jego cześć. Ale wróciwszy na gospodę, zadumany był. Wszystko tu, począwszy od świetności książęcego orszaku i wspaniałości budynków do jaci pełnych towaru, przywodziło mu przed oczy biedę Moczydła. Jak wezbrany strumień płynęło tu dobro wszelakie, sukna, futra, broń, narzędzia, ozdoby, żywność i napoje. Srebro przelewało się z rąk do rąk, choć targ się jeszcze nie rozpoczął, Rasko korzystniej, niż się spodziewał, sprzedawał miejscowemu kupcowi swe błamy kun, gronostai i tchórzów, i garść denarów miał w kiesie. Ale to krople w tym morzu. Gdy kupi najpotrzebniejsze przedmioty, nie zostanie mu nic. A całą zimę marznąć i mozolić się trzeba, by znowu zebrać trochę łupieży. Pytano go o bobrowe skórki, najbardziej poszukiwane. Nic brak żeremi na rzece, która od bobrów wzięła swą nazwę, szczególnie w górę nad Kwisą, Szprotawą i innymi dopływami na ziemiach Przedśława Łabędzia. Co kilkanaście stajań bobrze jezioro i tama, drzewa przybrzeżne wycięte, jakoby drwałe tamtędy przeszli. Nic dziwnego, bo od lat nic łowi ich nikt, odkąd Przedśław w niewoli pogańskiej. Bobry zabagniły kraj, sam przez się dość bagnisty, wnet zdychać zaczną ze starości, bez pożytku dla nikogo.

Po namyśle Rasko zakupił paści na bobry, że mu ledwo na sól pieniądze starczyło, i choć trwający siedem dni targ dopiero się rozpoczął - zbierać się jął do powrotu. Nie miał tu już nic do szukania, w mieście darmo nie ma gościny. Płacić trzeba za miskę stawy i za dach nad głową, jesienne chłody zaś na przemian ze słońcem nie pozwalały nocować pod gołym niebem. Rasko dopytał się o rybaka, który

płynął w dół rzeki, i zabrawszy zakup usadowił się w łodzi. Rad był, że sobie oszczędzi dźwigania pęku żelaza po przypadlistych już drogach oraz że syna odwiedzi w Bytomiu, skąd do domu mniej niż pół drogi.

W Głogowie dowiedział się przypadkiem, że Przedślaw Łabędź z niewoli powrócił. Zaklął: teraz pod okiem pańskim pilnować zaczął żeremi. Chyba sprzedać żelaza ze stratą? Ale tak już nawykł do myśli, iż na przyszyły targ kilka bobrowych błamów powiezie, że ciężko z nią rozstać się było jak z gotowym pieniądzem. Przypomniawszy sobie Bogudara. Ma darmo jeść w zimie, gdy o żywność najtrudniej, a roboty najmniej, niech on bobry łowi. Schwytają go, nie musi mówić, kto go wysłał. A grzywny nie zapłaci, bo i nie ma z czego. Zaprzędają go zaś, zajedno mu. Sam mówił, że chciałby wołem być. Rasko postanowił zatrzymać żelaza, jeno nie mówić o tym nikomu. Nie powiedział nawet Koskowi, gdy spotkał go w Bytomiu. Parobczak przychudł, ale gdy się Rasko nad nim uzałił, powiedział:

- Jeść dają, a mniej do robót pędzą niż do wojennej zaprawy, gdy się kto zdalny okaże. Widno wojny się spodziewają. Mnie sam komes przychwalili.

- Juści, po naszym ościstym chlebie każdy smaczny. Wolałbym, byś się innego niżeli wojackie rzemiosła wyuczył. Nic ci po nim. Pono się książę Bolko, com go we Wrocławiu widział, z cesarzem swarzy, ale będzie wojna - nie będzie, jego rzecz i ze starszyzną nad tym radzą. A ty bacz, byś się czegoś wyuczył, co się w gospodarstwie przyda.

- Dość się o gospodarce namyślę, kiedy na niej siedzę - odparł Kossek, a Rasko jeno spojrział groźnie, ale nie odrzekł nic. Samemu nieraz brzydła, cóż się młodemu dziwić, że woli coś nowego. A co za dobroć w chałupie?

Dotarł na odwieczny drugi dzień do Moczydła, zziębnięty i zły. Nawilgła sól zdwoiła swój ciężar, żelaza uwierały ramiona. Schował je na podstryszu, sól przystawił do paleniska, by obeschła, i wziął się do gotowania wieczerzy, gdyż Wieścina do bydła poszła. Naklął pod nosem, bo chata nie ogacona i ziąb ciągnął przez szpary, suchych szczap nie było, a ogień dogasał na palenisku. Koskowych rąk brakło,

a Bogudar słabował pod nieobecność gospodarza. Na Sapkowe zapytanie Rasko odburknął, że łupieże za byle co sprzedać musiał, i wziął się do jedzenia polewki z jagiel i ryby. Stropiony jednak Łużyczanin jedzenia się nie miał, aż go Sapek ofuknął:

- Jedźże! Krup jeszcze nie liczym.

I Rasko, gdy się rozgrzał i pojadł, zrobił się łaskawszy. Otarł wąs i powiedział:

- Jedz jak swoje. Odrobisz. Mnie czasu nie starczy za łupieżą chodzić, będziesz chodził ty. Niech jeno śnieg spadnie, bo i ślad zwierza zostawia, i futro najcenniejsze, gdy się w śniegu wytarza.

- Aby jeno na sól starczyło, co za nie wzięłeś.

- Umyśliłem ja coś, że starczy i na srebrne ozdoby. Jeno sił nabrać musisz, bo nicletka to praca.

Sapek patrzył na syna badawczo, ale Rasko, pojadłszy, spać poszedł, bo zmęczony był istotnie.

Rasko mylił się, mówiąc synowi, że książę swarzy się z cesarzem. Bolko czynił, co mógł, by nie dopuścić do starcia. Choć młody i zaufany w swe siły, wiedział, że ich do walki na wszystkie strony zbraknie. Jeszcze wewnątrz kraju czuł ukryty opór zwolenników Zbi-gniewa, który przy nadarzonej sposobności w otwarty bunt mógł się przerodzić. Ruski sprzymierzeniec był daleko, węgierski Koloman, nad którym również jak nad Polską zawisła groźba cesarska, nieufny był z powodu poparcia, jakiego Bolesław udzielił bratu jego, Almu-sowi. Gdyby Węgry cesarzowi uległy lub ustąpiły, Świętopelk wraz z cesarzem zyskają wolną rękę na południu i będą mogli wszystkie siły na Polskę skierować, a pomorscy książęta nie omieszkają wykorzystać sposobności, by zrzucić zwierzchnictwo Bolesława. Na marne pójdą pot i krew na Pomorzu przelane. Ćwiczonych wojsk brakowało, wykruszyły je ciągłe walki, grodów z załóg ogołocić nie można. Było o czym myśleć.

I w samej radzie, która, składając się ze starszyzny co najmożniejszych rodów, odzwierciedlała to, co w kraju mówiono, wyczuwać się dało zniechęcenie. Książę wiedział o szeptach, że nadto hojnie krwią szafuje i zbyt wiele od rycerstwa wymaga. Prawda, że więcej życia na

koniu spędzali niż w łożu pod własnym dachem, ale Bolko od pacholeńcia sam tak żył. Nie żałował siebie i nie myślał ich żałować. Cele i ich kolejność miał już jasno wytknięte i jeśli od tygodnia słuchał krzyżujących się zdań starszyny, to jeno po to, by dać się jej wygadać, własne myśli jeszcze raz rozważyć, a niechętnych przekonać, ustępując jeno tam, gdzie z góry ustąpić zamierzał.

Bez oporu przystał, iż odłożyć należy plany wprowadzenia na praską stolicę Borzywoja, władcy od siebie zależnego. Niebezpiecznie było drażnić Świętopelka. Zgodził się nawet Racibórz mu odstąpić. Ale gdy padło słowo, że i Pomorza należałoby poniechać, bo siły jeno zżera, a końca sprawy nie widać, ksiązę zaśmiał się przez zaciśnięte szczęki i rzucił:

- Pokój chcąc mieć ze wszystkimi, trzeba by nie jeno Pomorza odstąpić, które od wybrzeża nas odcinając, zaraz zajmą Niemce, ale Zbigniewa do władzy dopuścić, cesarzowi hołd z Polski złożyć, a Śląsk oddać Czechom. Jeno że taki pokój przywilejem jest niewolnika, co broni w ręku nie ma i znosić musi wszystko, co się panu spodoba. Pomorza nie ustąpię, jako tej ręki nie ustąpię - pokazał jakby z groźbą potężną pięść - bobym splunął na najlepszą krew, jaka tam wyciekła.

-I mojej tam nie brakło. Kto na nią splunie? - wtrącił palatyn Skarbimir.

Bezręki Żelisław Belina odezwał się:

- Co zaczęte, kończyć trzeba, a i na nic Pomorców poniechać, skoro oni nas nie poniechają. Dawnośmy ich zbili, a oto ni paru niedziel nie ma, gdy kościół w Spicymierzu złupili i omal nie pojмали samego arcybiskupa, jeno się za ołtarzem ukrył. Może go to przekona, że Zbigniewowe z nimi knowania nie tylko chałupom groźne, ale i katedrom, I jeśli się cesarz ruszy, na nic też czeskiego króla łagodzić, bo jako lennik pomoc musi, choćby nie chciał. A chciał będzie, bo mu sposobność najlepsza.

- Tak ci jest - przytaknął ksiązę - ale choćby do czasu łagodzić trzeba cesarza, bo to jest węzeł onej pętli, co na naszą szyję zadierzg-

nięta. Z Pomorza hołd mu przyrzeknę, byle mi nie przeszkadzał. A z Polski, pókim żyw, nigdy, bo nie z cesarskiej łaski tu siedzimy.

- Tedy słać nam do cesarza - wtrącił biskup Pietrek. - Ja wam duchownych dam do poselstwa. Mam i Niemców, ludzi, na których polegać mozem, a najłacniej się dogadają, bo i u Henryka kanclerz i kancelaria sami duchowni. Jeśli nie więcej, to rokowania przewlec potrafia, a czas drogi.

- Kruk krukowi oka nie wykolę - bąknął ktoś, a Skarbimir wtrącił:

- Kogoś chytrego by słać, co się na wojnie zna, by siły przepatrzył i przygotowania.

- Sami byście jechali - rzucił ksiązę. - Nie nowina wam układy i chytrności wam nic brak.

- Każecie, to pojedę. Ale rozważcie, czy nie pilniejsze Kolomana pozyskać. Na mój rozum wojny z cesarzem i tak nie unikniem. Tedy ważniejsze sprzymierzeńca mieć, co by choć część sił na siebie ściągnął, bo nie wydolim.

- Jedźcie tedy na Węgry.

- Do cesarza zaś młodego Skarbka z Gór poślijcie. Ni myśli w głowie, ni słów w gębie mu nie brak.

Inni mniemali, że nie brak mu i poparcia przemożnego krewniaka, ale nie odezwał się nikt, a ksiązę, wyraziwszy zgodę, zakończył, jakby o drobiazg chodziło:

- Jeno bagna staną, Bogusław Bończa wyprawę powiedzie na pruskich Sasinów. Przepuszczają mi Pomorców na Mazowsze, a i nam tamtędy droga krótsza do Gdańska.

-Jeszcześmy tam nie bywali - mruknął ktoś, ale Bogusław, który dotychczas nie zabierał głosu, dziękować jął jak za łaskę, a ksiązę rzekł do niego:

-Nie dziękuj. Słałbym kogoś starszego, ale znużeni, widzę. Starczy zresztą wojny dla wszystkich, daj Boże, by nie było za wiele. Tedy niech się młodzi wojewodzie przyuczą, by starych zastąpić, bo prędko wojna ludzi zdziera.

Młody Pietrek Włostowic Łabędź, który komesem był w Głogowie, gdzie mu się cniło i sławy dorobić się nie spodziewał, a ubodło go, że Bogusław otrzymał samodzielne dowództwo, odezwał się:

- Po grodach byście trzymali tych, co się zdarli, gdzie sił mniej trzeba, a doświadczenie więcej znaczy. I jam niestary, choć starszy od Bogusława.

- Praw jesteś - rzekł Bolko. - Przypomniał mi się Przedśław. W polu już na nic, ale doświadczony jak mało kto, a i nagrodę jakowąś za Kołobrzeg obmyśleć mu trzeba. Tedy jemu zdasz gród, jeśli go objąć zechce, bo życie całe na wojnie spędził i należy mu się spoczynek. Ty zaś do Krakowa zjeżdżaj, najdzie się i dla ciebie robota.

Zwracając się zaś do Mikory, dodał:

- Ty pojedziesz z wieścią do Przedśława, by cześć mu uczynić, bo zasłużył na nią. Aż wstydno, żem prędzej o nim nie pomyślał, ale wybaczyć musi, bo też niejedno mam na głowie. Dary dla niego z Krakowa przyślę, bo nic godnego nie mam pod ręką.

Nikt się nie odezwał i nie widać było, by kto za złe miał księciu, że zabył o starym wojaku. Krewniacy Łabędzie po dawnemu nic przyznawali się do niego i wśród innych nie miał przyjaciół, bo ich nie szukał. Liczyli się z nim, póki w radzie książęcej zasiadał, ale od lat przywykli uważać go za poległego, o którym i wspomnieć nie było komu. Tylko przekora Bogusław, w milczeniu obecnych wyczuwając niechęć do starego wojaka, nad którego dolą zawsze się użalał, ozwał się:

- Dostał Żelisław Belina złotą rękę za swoją, Przedśławowi złotą nogę byście dali. Mógłby ją na szczycie nosić, kiedy go Łabędzie znać nie chcą, a i kopnąć mógłby kogo, gdyby tak sobie umyślił.

Biskup Pietrek udał, że nie rozumie przytyku, ale młody Włostowic Łabędź skoczył i warknął:

- Ty do kogo pijesz?

- Ja do każdego, co się ze mną trącić rad. - Patrzył na Włostowica zuchwale a drwiąco. Istotnie nie liczył się z niczym, a zwłaszcza ze słowami.

Biskup szturchnął bratanka, by się przy księciu hamował. Nie wytrzymał jednak, by nie mruknąć:

- Uważaj, bo Łabędzie dziobią.

- Zaś mój Jednorozec bodzie. Każde bydlę broni się, jako umie.

- Milczeć - huknął książę, choć śmiać mu się chciało. - Ja już wam obmyślę, kogo bósć i dziobać.

Pietrek umilkł, ale Bogusław nawet przy księciu, który słabość żywił do niego, nie zwykł się hamować.

- Mojego Jednorożca prosić nie trzeba; każdego bodzie - odparł.

Książę spojrział groźnie, jednak Bogusław, znając go od dziecka, poznał, że nieszczerze. Bolko może i rad był, że się za starym wojakiem ktoś ujął, jeno nie chciał, by jego ulubieniec z przemożnymi Łabędziami zadzierał. Ażeby umysły od zajścia odwrócić, powiedział:

- Z uczcią pożegnalną Magnus czeka. Przy kielichach rad się posmieję, słuchając, jak młodzi ostrzą języki. A na radzie milczeć im, jeśli nic roztropnego nie mają do powiedzenia.

#### IV. UCIECZKA

Wyszuna zawiodła się, sądząc, że mąż zdejmie jej z głowy ciężar gospodarki. W domu brakło wszystkiego. Na targ do Głogowa nie było daleko, ale i nie było co posłać na wymianę. Parę zagonów prosa i grochu oraz łanek żyta ledwo starczyły na domowe potrzeby. Sfóra psów-darmozjadów na łowy nie chodziła, chyba na własny rachunek, bo nie było z kim, a kaszę żarły. Parę poletek owsa było potrzebne dla koni, które też, z wyjątkiem dwóch, darmo jadły. Przedślaw nie pozwalał bojowych koni do pracy używać, gdyż ocięzałe się robią i nieobrotne. Tyle że czasem podchowanego żróbka na targ wyprowadzono, by zakupić soli, która przychodziła z dalekiego Krakowa lub Odrą z równie dalekiego Kołobrzegu. Żeby Prusina dziewek w garści nie trzymała, chodziłoby wszystko, jak chciało, a tak przynajmniej nie brakło nabiału, a od święta cielaka czy koźlęcia. Nieco srebra, które Przedślaw, odchodząc, zostawił, rozeszło się dawno.

Przedślaw jednak po powrocie do gospodarki się nie brał. Przywiódł kilku brańców pomorskich, podarowanych mu przez księcia. Krze i las karczować mieli, jaki się sam zasiał na dawnych łąkach, które od lat pługą nie widziały. Ale że Przedślaw ni konia nie dosiadł, ni chodzić nie mógł, brakło pańskiego oka i robili, jak chcieli, a najwięcej gadali ze Zdlichem, ciekawym wszystkiego, zwłaszcza co wojny dotyczyło. Przedślaw w całym swym życiu gospodarzył jeno przez dwa lata i nic czuł chęci ni sił, by zaczynać na nowo. Zresztą gryzło go coś widocznie. Choć po kilku dniach podebrał się pod opieką Radki, która wrychle nauczyła się życzenia jego zgadywać, opryskliwy był i często zapadał w ponurą zadumę. Lepiej było jej nie przerywać, bo wracał do świata jakby z ciemnej otchłani; oczy miał rozszerzone i półprzytomne, a zły był, że nie przystępuje! Tylko Radka, choć i jej oberwało się czasem, czatowała cierpliwie na sposob-

ność, by czarne jego myśli rozgonić. Daremnie jednak raz i drugi próbowała wymiarkować, o czym duma, czując, że gdyby się wygadał, toby doznał ulgi. Doczekała się wreszcie.

Dni zaczynały już być chłodne i gdy zachodnie wiatry nagnały pierwsze jesienne słoty, stary nawet z łoża wyleźć nie chciał. Leżał odwrócony do ściany lub siedząc, wpatrywał się w drewniany kikut, który mu pozostał w miejsce nogi. Radka krzątała się koło ojca, daremnie usiłując go rozruszać. Wreszcie zapytała:

- Rany was bolą?

- Co tam rany! Nawykłem. Nie masz takiego wojaka, co by się bez nich uchował - odparł mrukliwie.

-Tedy cni się wam pewnikiem. Ani na przyzbę wyjść posiedzieć, bo zimnym deszczem zacina. Wiem - plasnęła w dłonie. - Do krewniaków pošlemy za rzekę, niechby was odwiedzić przyjechali.

- Ani się waź! - zakrzyknął tak ostro, że łzy zakreśliły się jej w oczach.

Zauważył to widocznie, bo dodał, jakby się sprawiając:

- Wyrzekli się mnie, gdym ze Szczodrym uchodzić musiał, nie znałi, gdym wrócił, nie zadbali o was, gdym się tułał po świecie, nie wykupili, gdym w jeństwo popadł. Nic będę im się teraz spraszał, gdy mnie jako złamany kij na śmiecie rzucono. Za nic mnie mają dlatego jeno, że szczęścia nie było, bo komum służył, wiernie służyłem i nijakiej hańby na mnie nie masz.

Zaciskał szczęki, jakby coś gorzkiego żuł. Po chwili dodał:

- Nie żywię ci ja żalu do Szczodrego ni jego nieszczęsnego syna; przepadli oni, przepadły zasługi. Ale Bolko... - urwał, jakby się pomiarkował, że za dużo powiedział.

Powiedział dość, by Radka, choć półdziecko jeszcze, zrozumiała. Życie miał wąskie, twarde, i krwawe jak miecz; ze złamanym nic ma co począć.

Natomiast Zdlich, którego zrazu coś ciągnęło do starego woja, mimo że długo za stracha służył on przeciw synowi, nie zdołał się z nim uładzić. Ilekroć spróbował, zawsze wychodziło jak za pierwszym razem. A cackanie - dziewczynska rzecz. Nie umiał tego i czuł zresztą, że ojciec nie zniósłby od niego litości. Gdy zaś, powodowany cieka-



wością, usiłował ze starego woja wyciągnąć dzieje jego przygód, spotykał się z szorstką odprawą, z czego pomiarkował tyle, że ojciec nie chce wracać do przeszłości. O czym tedy gadać, gdy nie obchodzi go nic i na nic nie czeka? Zdzich unikał owych rozmów, tym bardziej że od niecierpliwego i popędliwego ojca łatwo było oberwać.

Matka, uważając, że skoro rodzic wrócił, karcenie nie jej rzecz, przestała się Zdzichem zajmować, odsyłając domowników i czeladź ze skargami na jego psoty do Przedśława, którego to niecierpliwiło i drażniło. Wkrótce Zdzich widywał ojca jeno przy karceniu, a że chłopak zacięty był, nie tłumaczył się ni spraszał, stary karać zaczął bez pomiarkowania.

- Nie pierzcie go ciągiem, bo się zbiesi do reszty - prosiła za brata Radka.

- Co tam! - odburknął. - Z ojcowskiej ręki nic boli.

Radka lepiej знаła brata. Zbiesił się. Gdy podpalili stóg siana, ćwicząc się w rozniecaniu ognia, od którego omal cały dworzec nie spłonął, dziewczyna patrzyła, ręce załamawszy, jak ojciec, poblady z wściekłości, sękaty kostur uchwycił. Skoczyła ku niemu.

- Wždy go ubijecie! - krzyknęła.

- Ubiję własną ręką, psie nasienie! - warknął. Ale Zdzich wyszarpnął się ojcu z ręki, aż stary zatoczył się na drewnianej nodze i byłby upadł, gdyby nie podtrzymała go Radka, wołając wystraszonym głosem:

- Spluńcie prędko od uroku, by nie powiedziec w złą godzinę!

Stary poderwał się, ale Zdzicha już nie było. Usiadł ciężko na łożu i podparł dłońmi skronie. Na twarzy jego nie było już gniewu, jeno ponure przygnębienie. Radka gładziła go po łysiejącej głowie. Po chwili powiedziała cicho:

- Do serca nie bierzcie. Po dobroci łączniej by go okielzać.

- Skąd mi dobroć wziąć, kiedy sama gorycz we mnie? - mruknął stary. - Zbierała się przez całe życie.

- To i ze mną wam źle? - zapytała przymilnie. - Ana starość każdego przecie siły odchodzą i spocząć musi.

Przygarnął córkę, ale wysunęła się łagodnie z uścisku, mówiąc:

- Zgrzaliście się przez tego urwipolcia, to wam się krew zapiekła. Migiem piwa przyniosę.

- Wypocząłem zadość - mruknął Przedśław. - Jeno ja nie taki stary i nie dlatego mnie na śmiecie ciśnięto. Inni jeszcze wojują...

Urwał i zadumał się. Gdy Radka wróciła, napił się piwa i powiedział na pozór spokojnie, ale w głosie było coś takiego, że Radce ścisnęło się serce:

- Jako ten krzyż przy drodze: póki stoi, kłaniają się ludzie. A gdy go burza obali, to byle pastuch trzaski z niego łupie na podpałkę... albo i pies nogę podniesie.

- O czym wy gadacie? - zapytała niespokojna.

- Że i własny syn za nic mnie ma. Cóż się księżęciu dziwić? Niepotrzebnym ja nikomu i na nic niezdały. Wolej głowę stracić było niż nogę...

Urwał, bo Radka rozplakała się. Patrzył na nią odmienionymi oczyma, po czym siląc się, by głos uczynić szorstkim, burknął:

- Jeszcze i ty lutaj nade mną. Tęgom już jeno godzinę!

- A nieprawda! - zawołała, chlapiąc. - Nic nad wami becze, jeno że robię, co mogę, by wam weselej było... i za nic wszystko...

- No, przestań już - pogładził dziewczynkę po głowie. - To ten juha zółc we mnie poruszył. Bez ciebie obwiesić by się przyszło.

- Wždy i macierz was miłuje, a i Zdzich po swojemu, jak to on. Jeno dostąpić do was trudno jako do tarninowego krza, bo kole.

Zima naskoczyła z nagłą, srogi wicher z północy naniósł śniegowych chmur, które wytrzepały swą zawartość na lasy i łągi. Gałęzie drzew mozolnie dźwigały zamarznąłą okiść, pochylone pod ciężarem, pola leżały wygładzone i białe jak nie zapisana karta pergaminu.

Gdy jednak wiatr zabrał resztę chmur i poleciał dalej, ziemię ścisnął mróz, a śniegowa biel zapisywać się zaczęła niezliczonymi śladami: jak podwójny łańcuszek paciorków kręciły się tu i tam odciski dra pieżnych łapek gronostaja, krzyżując się z pojedynczym łańcuszkiem lisich tropów. Nad rzeką i po zalewiskach ślad wydry zdradzał jej sie-

dzibę pod korzeniami pochylnych nad wodą wierzb, w lesie kuna znaczyła swą dziuplą w pokręconym pniu starego buka. A wszystek zwierz w nowych puszystych futerkach, za które srebrem pono płacą kupcy w niedalekim Głogowie. Zaś za srebro można nabyć czego dusza zapagnie: nóż w rogowej oprawie i skórzanej pochwie, rzemieenny pas z kutą kłamrą, łuk, strzały i wiele innych rzeczy, o których opowiadał Zdzichowi Przeda, a które na targ przywożą kupcy lub na miejscu wyrabiają biegli rzemieślnicy. Już zeszłego roku chłopak się spraszał, by go Przeda zabrał z sobą, gdy pójdzie wnyki i stępicę za stawiać na drapiezców. Zdzich sam sobie dziękował choć za to, że wypytał dokładnie, jak się to robi, i nieco podpatrzył. Reszty nauczył się sam.

Kręcił się po dworcu, unikając ojca, a nawet Radki, która pomiarkowała, że chłopak coś knuje. Jaja ktoś kurom podbiera, choć i tak niewiele niosą, a trzeba zapas zrobić na Gody. Przeda szukał swych łowieckich przyborów, które przez lato leżały na podstryszu, i kłął, bo ich znaleźć nie mógł. Prusinie gdzieś zginęło najzdatniejsze krzesiwo i żagiew, którymi ogień zwykła rozniecać, więc piekliła się na dziewuchy. Jeno Radka wraz pomiarkowała, gdzie szukać winowajcy, i przyparła Zdzicha do muru.

- Chwila spokoju była i już ci się czepiają psie figle.

Chciał coś odpalić, ale ugryzł się w język i jeno burknął:

- Odczep się ty! A może do ojca ze skargą polecisz?

- Nie polecę, bo się w nim wątpia od tego wywracają. Ale innym gęby nie zamknę. A Prusinę słyhać chyba aż za rzekę, tedy i do ojca chodzić nie musi.

- Zawždy wszystko na mnie - mruknął, ale uciekł z oczyma.

- Ty judaszu! Znają cię!

- A niech znają! Jeno ty nic nie gadaj, to spokój będzie.

- Zaś tam z tobą będzie kiedy spokój!

Radka nie uwierzyła, ale dopiero rankiem na drugi dzień pomiarkowała, co miał na myśli. W nocy pół przez sen słyzała, jak cichaczem na dwór wychodził, ale nie zwróciło to jej uwagi i zasnęła. Gdy się obudziła przed świtaniem i zerwała do gospodarstwa - bo macierz

polegiwała i na jej oko liczyć nie było można - Zdzicha nie było w komórce. Nie było go i w świetlicy, gdy ranną polewkę z juszki z prażnymi plackami podano, i nie było go na obejściu. Gdy się okazało, że ktoś wypuścił Zagrają, stało się jasne, że Zdzich uciekł. Zatrwożona Radka pobiegła do ojca, bo słabującej matki nie chciała niepokoić. Ku zdziwieniu dziewczyny stary przyjął wiadomość obojętnie. Gdy prosiła, by ludzi wysłać na poszukiwanie Zdzicha, odparł:

- Nie będę trudił nikogo. Uciekł, to wróci.

- Wždy zima idzie i wilcy się skoro pokażą. A Zdzich zacięty jest.

- Niech sobie radzi sam, skoro na swój rozum wziął. Przekona się, że świat twardszy jest niż choćby najtwardsza ręka ojcowa. Mój rodzic nie taką miał jeszcze jak moja, bo młodszy był i pewnie stał na nogach. A przyrównawszy ojcowe do tych ciężów, com je w życiu zbierał, jako pieszczotę je wspominam.

Zdzich jednak nie wiedział, iż nikt go szukać nie będzie. Dotarłszy tedy do lasu, nakluczył raz wkoło, potem po drzewach przemknął w bok, by pogoń zmylić, nakluczył jeszcze raz w pętlę, uskoczył ze śladu i pognął w las za Zagrajem.

W parcianej torbie miał sól, bochen chleba i krzesiwo. Łowieckie przybory zawiesił na pasie, za którym tkwiła siekiera i nóż. Czegóż więcej potrzeba, by się w lesie zagospodarzyć?

Zrazu zmierzał na południc, by szybko idąc otwartym krajem, zostawić dom jak najdalej za sobą. Choć przed świtem mróz ścisnął, Zdzich zapocił się, wyciągając nogi z kopnego śniegu. Raźniej mu się uczyniło, gdy wzeszło zmalale słońce, przeświecając przez opar wstający z oparzelisk. Wyczyściło się koło południa, nawet przygrzało, i Zdzich spoczął i pożywił się, nie rozniecając ognia, bo grudniowy dzień krótki.

Ruszył dalej, wkrótce jednak drogę zastąpiła mu rzeczulka, niewielka, ale głęboka i o bagnistych brzegach, która wypływała z bagen i jeziorek ciągnących się na wschód aż do podnóża Kocich Gór.

Zdzich wiedział, że strumień płynie do Bobru, i skierował się wzdłuż niego, wprost na zachód, szukając daremnie brodu. Choć bowiem mróz ściał już zarośnięte trzcina i tatarakiem bagniste brzegi, nurt, choć wolny, sunął jeszcze, miejscami rozlewając się w jeziora, z których ze świstem skrzydeł i kwakaniem zrywały się stada kaczek. Pod zachód ciemna woda dymić zaczęła, widno mróz przybierał. Znużony Zdzich oglądał się już za miejscem na nocleg. Odbił od rzeczki ku lekkim wyniosłościom, porośniętym krzewiną i wierzbami, do których podchodził las suchej trzciny. Wyszukał piaszczysty wzgórek z oberwiskiem, widocznie podmyty wiosenną powodzią, i sporządziwszy szałas z gałęzi i szuwaru, wpełznął do wnętrza, zbyt zmęczony, by zająć się wieczerzą.

Trochę mu się serce tłukło na myśl o spędzeniu samotnej nocy w pustkowiu, obecność jednak Zagrają dodawała mu otuchy. Wątle ściany szałasu nie stanowiły żadnej zapory przed wilkami, ale o tej porze nie włączą się jeszcze gromadnie, a z jednym lub dwoma przy pomocy psa da sobie radę. Przytulił się do Zagrają i polecając się jego czujności, usnął głęboko.

Nad ranem zbudził go ziąb. Ocknął się i oprzytomniał zaraz. Zagrają nie było, a przez odwalony przez niego otwór ciągnął mróz. Zdzich zastawił wejście z powrotem i usiłował jeszcze zasnąć. O psa był spokojny, nie pobiegł nigdzie daleko.

Ale sen odleciał od Zdzicha, a przedłużająca się nieobecność Zagrają wywołała niepokój. Wyszedł z szałasu i rozglądał się, szczękając zębami. Świtało już. Psa jednak nigdzie widać nie było, natomiast wyraźnie widniały jego tropy na śniegu. Zdzich ruszył za nimi i zaledwie odszedł kilkadziesiąt kroków, zza wzgórka posłyszał zajadłe szczekanie. Nie bacząc już tedy na trop, ruszył za głosem i po chwili między krzakami dostrzegł człowieka z siekierą w ręku, oganiającego się przed Zagrajem, który obskakiwał go z widocznym zamiarem dobrania mu się do gardła.

Zdzich w obawie, by nieznajomy nie skaleczył psa, puścił się pędem, krzycząc już z dala. Na jego głos pies przestał ujadać i przyczaił się, warcząc jeno groźnie, gdy nieznajomy najmniejszym ruchem

zdradzał skłonność do ucieczki. Zdzich podszedł i biorąc psa za obrozę, zapytał:

- Ktoś jest i co tu robisz?

Nieznajomy milczał, ale za odpowiedź starczył pęk bobrowych skór zwisających z jego barków. Zdzich, starając się głos uczynić grubym, rzekł surowo:

- Nie wiesz, że to ziemia Przedśława Łabędzia i nikomu kromie nas bobrów łowić nie Iza?

Obcy i teraz nie odpowiedział, jeno z widocznym przestrachem rozglądał się dokoła, czy ktoś więcej nie nadejdzie. Zapewne sądził, że wyrostek nie odbił się sam tak daleko w odludzie. Zdzich zaś rozmyślał, co dalej począć. W głębi serca rad był nawet, że spotkał kogoś, i to umiającego łowić bobry. Bobrów jest dość, a do domu przecie wracać nie zamierzał. Cóż mu począć z napotkanym kłusownikiem? Chyba nawiązać przyjaźniejszy stosunek. Odezwał się pojednawczo:

-No, nic to. Jam jest syn Przedśława Łabędzia, Zdzich, i pozwolę ci tu łowić, byłeś i mnie nauczył. Jak cię wołają?

- Bogudar. Dziękuję wam, panie. - Odetchnął z ulgą.

Zdzich nadął się i wyprostował, by się uczynić większym. Jeszcze nikt tak do niego nic mówił. Bogudar jednak nic żywił widocznie pełnego zaufania do otrzymanego zezwolenia, bo zdjawszy skóry, wręczał je Zdzichowi.

- Skoro ci pozwalam łowić, to skóry twoje - rzekł dumnie Zdzich, ale nie rozproszył wątpliwości, które wyraził Bogudar:

- Czy aby rodzic wasz się zgodzi?

Zdzich zmieszał się. Tego nie był wcale pewien. Odparł tedy wymijająco:

- Co tam dla nas parę bobrów! Ani ich łowić nie ma komu, ani nikt nie liczy.

- Dość ich jest - przytwierdził Bogudar. - Jeno jakby za wami przyszli...

- Nie przyjdzie nikt - zdradził się Zdzich. - Nakluczyłem tak, że i z psem nie najdą...

Urwał zmieszany, ale Bogudar już nieco poufałej rzekł, uśmiechając się życzliwie:

- Dziwowałem się ja, że taki młody pan sam w pustaci. Toście z domu uciekli?

Teraz Zdzych został dłużny odpowiedź, niepotrzebną jednak, Bogudar bowiem powiedział:

- Tedyście pewnikiem jeszcze nie śniadali?

Zdzych, który nawet wieczery nie jadł, poczuł, jak go w dołku ściśnęło. Przytaknął gorliwie, a Bogudar ciągnął:

- Tedy pójdźmy pośniadać, paści później obejdziem. Niebogata u mnie spiżarnia, trochę jagieł i wędzonej słoniny. Ale są bobrowe ogony, tedy podjemy.

- Wždy piątek dziś. Jakoż mięso jeść będziem?

- Co z wody i w lusce, to jakoby ryba. Można jeść w post.

- Mam ci i ja co jeść. Jest chleb, trochę jaj, wędzone mięsiwo...

- Jaja na kuny schowajcie. I chleb oszczędzać trzeba, bo skąd wziąć? Chyba że do domu wrócićie?

- Nie wrócę - odparł krótko Zdzych i szybko szedł za towarzyszem, bo popędzał go głód.

Szałas Łuzyczanina był dość obszerny i silnie zbudowany. Widocznie dłuższy czas zamierzał w nim przebywać. Rozpięte na widelkach z gałęzi, futrem do środka, wisały bobrowe skórki na szczytowej belce, susząc się nad dymem ogniska, którego żar tlił się jeszcze pod popiołem.

Bogudar przyrzucił suszu i rozdmuchał ogień, a ciepło bijące od niego rozmarzyło Zdzicha. Przytulnie tu było... jak w domu. Czekając na śniadanie, ani się nie obejrzał, jak zasnął.

Zbudził się, gdy Bogudar podawał mu miskę z polewką z jagieł i bobrowych ogonów. Istotnie trochę je było czuć rybą, ale wygłodniałemu Zdzychowi zdały się smaczniejsze od wszystkiego, co jadał dotychczas. Ciepło mu było jak w uchu i żał wylazić spod skór, którymi go okrył Łuzyczanin, co widząc Bogudar, powiedział:

- Leżcie! Ja pójdę paści przejrzeć, a przyniosę co, pokażę wam, jak skórę zdzierać i rozpinąć. Złe zdjęta - ceny nijakiej nie ma i za nic

cały trud. A ku wieczorowi pójdziem żeremia obeźrzeć, bo o tej porze najwięcej bobrują. Wam się spoczynek zda, bo widzę, żeście znużeni. Otulił Zdzicha troskliwie, nieśmiało pogłaskał po głowie i jakby się usprawiedliwiając, powiedział szeptem:

- Synka miałem w tych, co wy, leciech.

Zdzych, który nie lubił pieszczot nawet matczynych, bo nie chciał, by go brano za pacholę, nie odrzącił jednak szorstkiej dłoni obcego człowieka, a nawet uśmiechnął się do niego. Bogudarowi zaszklily się oczy.

- Do was był podobien... i włosy miał też złote... Zdzych chrząknął i by coś powiedzieć, zapytał:

- Co się z nim stało?

- Pomarł - odpowiedział Bogudar zduszonym głosem. - Pójdę już, a wy śpijcie.

Zdzych jednak długo nie mógł usnąć, bo rozmyślał o synku spotkanego człowieka. Musiał go bardzo miłować, skoro mówiąc o nim, omal się nie rozplakał. Przedślaw oczy zawsze ma suche i surowe. Syna nie pieścił nigdy, ale karcenia nie żałował.

- Nie wrócę do dom - mruknął Zdzych zawzięcie i nakrył się z głową. Gdy jednak rozmyślać zaczął, jak sobie samodzielnie życić urządzi, myśli mu się pomieszały, i zasnął.

Zbudził się wypoczęty. Przez szpary w poszyciu snop słonecznych promieni oświetlał wnętrze szalasu. Zdzych zerwał się i wyszedł na pole. Zagraj iskał się wylegując w słońcu, a Bogudar rąbał trzaski. Zobaczywszy Zdzicha, powiedział, wskazując na spore zwierzątko w brunatnym futrze:

- Pokażę wam, jak bobra oskórować i skrom zebrać, bo i za to do brze płacą, jako że lekarstwo skuteczne na rany. Potem zaś pójdziem poszukać drugiego, co mi ze stepicą uszedł. Spory musiał być.

Powiesił bobra na gałęzi za tylnie nogi, błoniaste jak u gęsi, obciął ogon, spłaszczył i rozszerzający się ku końcowi jak chochła, porośnięty u nasady szczecią, dalej zaś łuską. Przeciął skórę od stopy do stopy i obciągnąwszy ją z nóg, zdzierał wprawnie i szybko, podcinając trzymające ją błony. Zabawił trochę przy przednich łapkach,

chwytnych jak u wiewiórki, oraz chrząstkach uszu i nosa, po czym skórę wywróconą jak rękawicę nawłócił na rozwidloną gałąź, rozpartą patyczkiem. Oskrobał ją z błon i tłuszczu, rozplatał zwierza, wyjął sadło i skrom, gołe ścierwo z wyszczerzonymi, czerwonymi zębami cisnął Zagrajowi, który z zajęciem nie mniejszym niż Zdzich przypatrywał się pracy Bogudara.

- Niech i on ma korzyść - powiedział - choć mi się do gardła dobierał.

- Ale teraz ani warknie. Zawždy wie, co ma czynić.

- Mądry pies - przyświadczył Łuzyczanin. - Może by i bobra znalazł, co do wody poszedł z żelazem? Nie wydoli ze stępicą wejść do budy, tedy na brzeg wyleźć musi. Jeno czy mu pies da radę, bo bóbr zęby ma ostre, a z cztery kamienie wagi, miarkując po tropach.

- Co by nie dał! Wilka zadusił, choć mu zwierz pysk rozorał. - Pokazywał poszarpaną bliznę na pysku psa, który merdał ogonem, jakby rozumiejąc, że go zachwalają.

Bogudar przyświadczył:

- Mocny pies. Tedy pójdziemy poszukać. Jeno kaźcie mu iść cicho, to obaczym bobry przy robocie. Powiew idzie z zachodu, to nie pocują.

Weszli w las trzciny, w którym tu i ówdzie wydeptane były ścieżki. Łuzyczanin pokazywał ślady na śniegu, mówiąc:

- Bobrowy trop i w nocy pozna, bo ogon wlecze za sobą, brudzę czyniąc. Ale zda się wam poznać ślady i innego zwierza, skoro łowcą chcecie ostać. Tu wydra przeszła.

Pokazywał zygzakowaty trop sporych łap z błoną między palcami, mówiąc:

- Gronostajowy trop też łatwo poznać, a jest ich tu sporo. Podwójnym łańcuszkiem się ciągnie, prawy ślad zawždy cokolwiek ku przodowi. Kuna zaś, gdy spokojnie idzie, przednie łapki stawia razem, a tylne jedna za drugą, odwrotnie jak zając. Wiewiórka zaś, gdy kica, obie pary równo stawia, zadnie wężiej i ku przodowi.

Przerwał i wskazując niemal niewidoczne wzniesienie na śniegu, mówił:

- Tu stępica jest. Dobrze ją trzeba zakryć, bo jeśli zwierz pomiarkuje, to obejdzie. A pamiętać gdzie, by samemu w nią nie wleźć, bo no-

gę skaleczy, a i stępicę zgubić można. Dlatego trzeba stawiać niezbyt wiele, ale co dzień zmieniać miejsce, bo i sprężyny wypocząć muszą. Gdy zbyt długo napięte, siłę tracą.

Tracił z lekka gałązką i śnieg podskoczył, aż się zakurzyło, a Zdzich ujrzał zębate żelazne drzewiczki, które zatrzasnęły się ze szczękiem.

- Przy zakładaniu też uważać trzeba, bo prężyna mocna jest, a podpórka tak trzyma, że jeno dotknąć, a puści. Przytrzaśnie rękę, to i kości może połamać, a już najmniej ciężko skaleczy, i po łowach. Łowią też bobra we wnyki i w stopce, i samostrzałem, ale stępica najlepsza, bo jej z wierzchu nie widać, a bóbr ostrożny jest.

Wykopał ze śniegu narzędzie, przymocowane łańcuszkiem do krza, objaśniając:

- Wiązać też dobrze trzeba, gorzej, gdy nie ma do czego, jak to na bagnie. Wtedy kołek bić, ale trafi się mocniejszy zwierz, to wyszarpienie i z żelazem pójdzie, jako i ninie. Szukajmy, ale cicho, to bobry już przy pracy obaczmy, bo pod zachód wychodzą.

Podsunęli się, aż przez rzędną trzcinę dojrzeli ciemną powierzchnię sporego jeziora, utworzonego na rzece przez bobry, które zbudowały długą na kilka stajń tamę. Jak stogi siana na łące sterczały z jeziora spore kopczyki, do pięciu łokci wysokie, z gałęzi i trzciny, utkane kamieniami i oblepione mułem. Jezioro obmarzało już po brzegach, ale w wielu miejscach lód był obłamany, a z wody wystawały ogołocone z gałęzi pnie. Sporo ich też leżało przy brzegu, a między nimi uwijały się ciemnobrunatne zwierzątka tnąc zębami pnie na kloce i ściągając nad wodę konary. Jeden zsunął się do wody i holując sporą gałąź w trójkątnym pysku, płynął cicho. Wylądował na jednym z kopczyków i długo mozolił się, by konar odpowiednio umieścić, po czym zanurkował, pokazując płaski ogon, i przez dłuższy czas widać go nie było. Wreszcie wypłynął i skierował się do brzegu, ale Zdzich nieostrożnie nadepnął na suchą trzcinę, która trzasnęła. Płynący bóbr trzepnął o wodę ogonem, jakby kto siarczysty policzek wymierzył, i zniknął. Ani się obejrzeli, a brzeg był pusty, woda na jezioro wygładziła się i żaden ruch nie zdradzał życia.

- Teraz nieprędko się pokażą - powiedział Bogudar. - Trzeba mojego bobra z żelazem poszukać.

Ruszyli wzdłuż brzegu, nie ukrywając się już, ku miejscu, skąd zebrał się bóbr. Wyraźny ślad prowadził do wody.

- Do budy z żelazem nie wnidzie, a i pływać mu ciężko, choć pływak jest przedni. Gdzieś przy brzegu siedzieć musi.

Istotnie, gdy mijali lekkie wzniesienie ze stojącą na nim wierzbą, usłyszeli głośny plusk, a pies skoczył naprzód. Po wodzie rozchodziły się kręgi, ale zwierzę zniknęło.

- Trzeba poczekać. Bóbr przez kilka pacierzy wytrzyma pod wodą, ale przecie wypłynąć musi. Jenó nie dać mu odetchnąć.

Oblamał suchą gałąź i czekał. Po dłuższej chwili zwierciadło wody prysnęło opodal i ukazał się trójkątny pysk bobra. Bogudar cisnął gałązkę i bóbr zniknął, ale Zagraj skoczył i płynął szybko, łeb położywszy na wodzie. W miejscu gdzie bóbr się zanurzył, zatrzymał się, rozglądając się za zwierzem. Istotnie, tym razem bóbr nie wytrzymał już długo i wynurzył się o parę kroków, a pies rzucił się ku niemu. Jeszcze usiłował nurkować, fale jednak zdradziły kierunek, w którym płynął, a gdy ukazał się znowu, pies capnął go za kark i szamotali się, ale niedługo i po chwili pies skierował się do brzegu, wlokąc sporego zwierza, który już się uspokoił.

Bogudar, odbierając zdobycz, powiedział:

- Zmyślny pies. Jenó ziać go chwycić gotów, bo mróz bierze, tedy pójdziemy prędko.

Zagraj jednak sam pomyślał o sobie i popędził naprzód. Zastali go już w szałasie, gdzie Bogudar zaraz rozdmuchał ognisko i wziął się do przygotowania wieczerzy.

Zdzich z zadowoleniem przysiadł się do ognia, myśląc, że milej i poręczniejszej gospodarzyć we dwójkę. To samo widno myślał jego towarzysz, gdyż odezwał się:

- Dobrze by nam się społem wiodło. Aże mi dziwno, że można gębotworzyć i zatroszczyć się o kogo.

Istotnie zabiegał koło Zdzicha jak koło dziecka. Zdjął mu przemo-kłe ciżmy, a na zziębnięte nogi naciągnął bobrowe skóry, które przy-

jennie grzały. Nie pozwolił mu się krzątać przy wieczerzy, a potem rad patrzył, jak chłopak łapczywie wziął się do jedzenia. Gdy Zdzich z kolei jął karmić psa, Bogudar powiedział:

- Dobrze jest mieć coś swojego, choćby psa. O samego siebie ani się zadbać nie chce.

- A syn dawno ci pomarł? - zapytał Zdzich.

- Niedawno - odparł Łuzyczanin głucho.

- Jeden był?

- Były jeszcze dwie córeczki, młodsze... Zdzich wiedział już, że i ich nic ma. Zapytał ze współczuciem:

- Pomarły?

Gdy Bogudar milczał, Zdzich ciągnął:

- A żona?

- Pomarła.

- Zaraza jakowa była?

Bogudar gryzł knykcie. Potem rzucił przez zaciśnięte szczęki:

- Gorzej niż zaraza... Niemce. Z głodu pomarli... na własnej ziemi. Zdzich nie wiedział, co mówić. Widział, jak szklą się oczy towarzysza, i własne go piekły. Odchrząknął i rzucił:

- To nie mogłeś łupieży jakowych sprzedać, a spyży kupić! Bobrów u was nic ma?

Bogudar zaśmiał się gorzko.

- Są! I drogie. Schwytają cię, że łowisz, za żebra na haku powieszają na odstraszenie. I trzy dni można tak zdychać, jak robak, co go dzierzba na tarninowy kolec nawlecze...

Zdzichowi krew pulsowała w skroniach ze wzburzenia.

- To się bronić nie możecie?! - zakrzyknął.

Łuzyczanin kiwnął głową.

- Bronić się? Czym i jak? Niewolniki my bez sił. Jako bydłem nami orzą, jenó nie obroczą jak bydła. Daj wam Bóg, byście się choć wy obronili, gdy na was przyjdzie...

Rozmowa się urwała. Bogudar krzątał się koło wieczerzy, a Zdzich siedział, głęboko zadumany. Bogudar, chcąc odwrócić jego myśli, zapytał:

- Jakoże się wam łowy zdały? Z takim psem, jak wasz, nie straciłbym ni jednego żelaza, ni zwierzątko.

Zdzich nie zaraz odpowiedział:

- Ja bym wolał łowy na grubego zwierza, gdzie nie chytrności jeno, ale męstwa potrzeba.

- Trzeba też i broni, i sfory, i ludzi do przelaju. Wróćcie doma i wyrośnięcie, będziecie grubego zwierza bić. Ninie nie dla was to jeszcze... dla mnie zaś nigdy.

- Książę Bolko młodszy był niż ja, gdy dzika ubił. Nie lęka się niczego. Mówią, że ni jednej bitki nie przegrał. On by i cesarzowi poradził.

- Daj mu Bóg! Niechby nas choć pomścił. Okrył ciepło Zdzicha, po czym sam ułożył się i wkrótce zasnął.

Zdzichowi nie do snu jednak było. Smutna dola Łuzyczanina wstrząsnęła nim głęboko. Usnął dopiero przed świtem i obudził się, gdy Bogudar krzątał się już koło śniadania. Ale i jedząc, Zdzich dumiał nad czymś, a gdy Bogudar zbierał się do wyjścia, powiedział:

- Pożegnać się nam przyjdzie.

Bogudar spojrział zaskoczony. Żal i smutek widniały na jego twarzy. Powiedział jednak spokojnie:

- Dzień, dwa dobrze wam się zabawić łowieniem, ale iście nie dla was to. Doma wracać musicie.

- Nie wrócę do dom.

- A cóże wam czynić! I rodziciele muszą być niespokojni?

- Radka, siostra moja, miarkowała, co zamierzam. Już tam macierz jakoś uspokoi. A rodzic nie stoi o mnie. Od czasu gdy z niewoli pogańskiej wrócił, wydzierżyć w domu nie Iza. Niewolników, co mu książę dał, palcem włodarzowi tknąć nie pozwoli, choć się wałkonią. Mówi, że sam wie, co to pod batem pracować. A mnie to pierze. Wadzę mu doma, tedy sobie pójdę.

Bogudar powiedział w zamyśleniu:

- Nie musi być zły człek, jeno nieszczęśliwy. A choćby i najgorszy był, ani to do prawdy podobne, by syna nie miłował. Tedy cóż czynić myślicie?

- Do książęcia pójdę. Sam pacholęciem wojować począł, tedy i mnie pewnikiem przyjmie. Nie wiem tylko, gdzie go szukać.

- Gospodarz mój, Rasko, we Wrocławiu książęcia widział niedawno, który do Krakowa miałjechać. Jeno i na wojaczkę czas wam jeszcze.

- Juści, że zaraz rycerzem nie ostanę. Ale za giermka mógłbym być. Przyuczę się i bronią robić, i konia zażywać. A w domu co? Ojciec, choć wojak, kaleka, o wojnie ani gadać nie chce, ani do konia mi przystąpić nie Iza, bo mnie raz łoszak kopnął. Pójdę ja do Wrocławia.

Bogudar, widząc, że chłopak się uparł, powiedział z westchnieniem:

- Winna tu być niedaleko droga z Żagania do Legnicy. Choć do niej was odprowadzę, a tam kupców spotkać możecie i do nich się przysiąść. Rad bym i całkiem z wami poszedł, ale teraz, kiedy moje ręce potrzebne, nie Iza, ani „Bóg zapłać” nie rzekłszy, rzucić gospodarza, co mnie przytulił, a i stępcice odnieść by trzeba.

-Nie pójdę ja gościńcem ani z kupcami nie pojedę - odparł Zdzich, który co innego miał na myśli.

- Tedy do jakowej osady, bo mróz przybiera i nijak wam samemu w pustaci nocować.

Zbierać się jęli do drogi. Zdzich, widząc, że Łuzyczanin wiąże bobrowe skóry, zapytał:

- Wždy tu wróćcie. Po cóż to bierzecie?

- Wasze są. A w mieście niczego darmo nic dają. Przedacic, pieniądze się wam zda.

-Nie wezmę - odparł Zdzich stanowczo. - Tyś łowił, twoje są. Ja zaś sobie poradzę. W ostatku swoje paści przedam, bo i w mieście nic po tym, i dźwigać ciężko.

Uparł się, postawił na swoim i wyruszyli, kierując się na wschód wzdłuż strumienia, który przebyli, bo mimo wszystko Zdzich obawiał się, iż na północnym brzegu szukać go mogą. Przed wieczorem naszli opuszczoną budę smolarza, w której przenocowali, i rano żegnać się przyszło. Bogudar żegnał się z nic ukrytym żalem, bo zdążył już przywiązać się głodnym sercem do chłopca. Zdzich jednak pocieszał go, że jeno rycerzem zostanie, przyśle po niego, i dopytywał się, gdzie żyje. I jemu żal było się rozstawać, ale nie po to z domu uciekł,

by opiekował się nim kto inny. Chciał spróbować, jak się żyje same-mu, i przekonać siebie i innych, że obędzie się już bez opieki. Dlatego też nie przyjął skór. Sam nałowi zwierzaków na futra, korzystając z nabytego już doświadczenia, otrzymanych objaśnień i usług psa. Po-tem pójdzie ku Odrze, a Odrą i bez gościńca, i bez niczyjej łaski trafi do Wrocławia. Toteż gdy Bogudar zniknął mu już z oczu, skierował się ku lasowi okrywającemu wyniosłość na skraju bagien i jeziorok, za którymi leżał jego dom. Pies zawieruszył się gdzieś zaraz, ale Zdzich nie troszczył się o to, wiedząc, że wróci.

Szukał kunich śladów i zastawał żelaza, kładąc po jajku na wabia. Zjadłby je sam chętnie, bo czczy był, ale łupieże ważniejsze, by je w Głogowie sprzedać za potrzebne przedmioty. Ryb na przynętę dla wydr nałowi się, a tchórze i gronostaje potrafią sami z Zagrajem wy- kopać spod korzeni.

Gdy Zdzich, skończywszy swe zajęcie w lesie, skierował się ku ba- gnom, pies nadbiegł. Dogał i przyniósł zająca, i sam sobie wymie- rzył nagrodę, zzerając cały tył i bebechy. Ale reszta starczy na pieczeń, o której Zdzich myślał z przyjemnością, choć było dopiero południe. Przyrzadzi ją wieczorem, bo dzień w grudniu krótki, a jesz- cze trzeba coś upolować.

Mimo że mróz ku wieczorowi przybierał, obydwaj z psem zgrzali się do potu, rozkopując jamę tchórze. Zagraj darł ziemię łapami, a Zdzich rąbał korzenie, aż wreszcie dobrali się do zwierza. Spory był i futro miał piękne: połyskliwy i długi, czarny włos na białym niemal puchu. Za taką skórkę, jak prawił Przeda, najlepiej płacą, ale i tchórz nie oddał jej tanio. Naprzód omal nie uciekł, a gdy wreszcie legł za- duszony, Zagrajowi krew ciekła z pokaleczonego pyska, a Zdzich, który wmieszał się do rozprawy, poczuł, że zgrzytnęły mu o kości w ręce zęby drapieżnika, ostre jak szpilki. Pomyślał, że nie darmo srebrem płacą za łupieże, i zagryzając z bólu wargi, oglądać się po- czął za miejscem odpowiednim na rozpalenie ogniska i nocleg. Znał w lesie zakątki, gdzie starczyło zrobić z gałęzi daszek, by zyskać jakie takie schronienie przed przenikliwym wiatrem, który o zachodzie wstał od bagien. Ale zanadto był znużony i głodny, by wracać. Dotarł

jeno do gaiku opodał, by opał mieć pod ręką. Z westchnieniem pomy- ślał o miękkim legowisku i gotowej stawie, jaka czekała w domu, niedalekim jeszcze. Ale oparł się pokusie i, sykając z bólu, jął rąbać susz i gałęzie na ognisko, by starczyło do rana. Obecność psa doda- wała mu otuchy.

Zagraj rozwalil się wygodnie na przygotowanej podściółce i patrzył obojętnie na krzątanie się Zdzicha, a łapczywie - na resztę zajęczego ścierwa, które Zdzich odzierał ze skóry. Pies zeżarł ją natychmiast, wraz ze łbem i skokami, i wcale nie taił, że uważał, iż także reszta lu- pu jemu się należy, skoro sam go zdobył. Zdzich zazdrościł psu, że nasycił już choć pierwszy głód, nie będąc zmuszony czekać, aż pie- ceń będzie gotowa. Posolił mięso i nasadziwszy je na patyk, służący za rożen, wziął się do krzesania ognia. Ale liczne gwiazdy wyroiły się już na niebo, zanim wąty jęczyzek płomienia chwycił susz i polizął połana. Przyłgął do nich chciwie i różowe światło ogniska wyparło zimną poświatę nieba. Zdzich zawiesił mięso na koziołkach nad pło- mieniem z uczuciem dumy i ulgi.

Po chwili rozchodzić się zaczęła woń skwarzącego się mięsa. Pies podniósł łeb - z kącików pyska ciekła mu ślina. I Zdzich poczuł oskomę tak mocną, że nie mógł czekać dłużej. Wyciągnął chleb, jął krajać po kawałku i przypiekać nad płomieniem, oganiając się Zagra- jowi. Sam siebie powstrzymywać musiał, by nic zjeść całego, nim się zając dopiecze, bo nieprędko świeży mieć będzie. Pokręcił rożen, do- rzucając trzasek, i z niechęcią myślał, że szafas trzeba by postawić, choć byle jaki. Czuł, że gdy sobie poje, nic będzie mu się chciało ru- szyć. Już teraz kleiły mu się oczy i ogarniała nieprzeparta senność. By ją odegnąć, starał się myśleć o przyszłości. Zdzich słyszał, jak we dworcu mówiono, że pewnikiem wojna jakowaś się gotuje, bo książę ludzi z grodów ściąga.

Waleczne czyny zaczęły się przesuwac przed oczyma Zdzicha, a nawet nie przed oczyma, bo łącniej marzenia widzieć, gdy się przy- mknie powieki. Potem pomieszały się i usnął twardo.

Ale i we śnie marzyły mu się łowy. Zagraj osadził dzika i ujadał zawzięcie. Zdzich wiedział, że trzeba co rychlej skłuć zwierza, bo uj-



dzie lub potnie psa, ale członki skuła mu taka niemoc, że ręką ni nogą ruszyć nie wydoił. Pomału zbierał zmysły, ale ruszyć się nie mógł i wciąż słyszał psie ujadanie. Wreszcie z trudem otworzył powieki. Z ogniska żar jeno pozostał, pieczeń zniknęła, a Zagraj ujadał opodal. Poprzez szczekanie słychać było jakby ludzkie głosy.

Pierwszą myślą Zdzicha było, że to jego szukają. Zrobiło mu się niewyraźnie. Ojciec go pieścić nie będzie jako drzewiej matka, gdy odnaleźli zagubionego! Ale przecie Zagraj nie szczekałby jak na obcych. Upewnił go zaraz nieznany męski głos:

- A obacz no tam, kto się przytulił w brzezynie. Zdzich posłyszał głuchy tętent kopyt po śniegu.

Ponad krzem zjawił się koński łeb, a nad nim brodata twarz pod futrzaną czapą. Nieznajomy krzyknął na Zagrają, który doskakiwał koniowi do pęcín:

- Pójdź precz, psi synu, bo kopytem w zęby oberwiesz!

Dostrzegł niewielką postać Zdzicha i dodał z pewnym zaskoczeniem:

- Cóż ty, raku, robisz tu po nocy?

- Raków se w rzece szukajcie, kiedy wiecie, gdzie zimują. Nie wam się będę sprawiał - odparł Zdzich zuchwale, ale głos wyszedł wątko przez zaciśnięte szczęki:

- Głupiś! Ale i takiego szkoda, bo zamarzyłbys tu do rana. Pójdźże!

Gdy jednak Zdzich się nie ruszył, nieznajomy zeskoczył z konia i przystąpił do chłopca, mówiąc:

- Do Przedśława Łabędzia jedziem od księżęcia, to cię weźmiem z sobą.

Sprzeczne uczucia zakotłowały w Zdzichu: ciekawość, z czym jada, niepokój przed spotkaniem z ojcem i tłumiona chęć znalezienia się pod dachem. Usiłował powstać, ale nie mógł. Nieznajomy spostrzegł to, gdyż zawołał:

- A pójdźcie no tu!

- Co tam? - odpowiedział mu inny głos i po małej chwili podjechał drugi jeździec i zeskoczył z konia. Pierwszy powiedział, wskazując na Zdzicha:

- Spał tu widno na mrozie, bo wstać nie może.

- Tedy śniegiem go rozetrzem i prędko pod dach, Niedaleko już być musi.

Nie pytając o nic, rozebrali Zdzicha do naga i tarli śniegiem, aż krzycząc zaczął, że pali go całe ciało.

- Pali, to dobrze - powiedział wojak, który zdawał się rozkazywać.

Ubrali chłopca prędko, brodacze wzięli go pod pachę jak szczenię i zaniósł do stojących opodal sań, przy których zastali jeszcze dwóch jeźdźnych. Owinęli Zdzicha wraz z głową w niedźwiedzią szubę i położyli na saniach. Jeszcze dobrze nie leżał, już usnął.

Zdawało mu się, że śpi dopiero chwilę, gdy ktoś go szarpać zaczął. Posłyszał nad sobą głos Radki:

- Wstańże, śpiochu! Od księżęcia poselstwo do rodzica. Jeszczem go tak radego nie widział. Najspodobniejsza pora, byś mu się pokazał.

Zdzich zebrał się migiem i pobiegł do świetlicy. Przedśław stał wyprostowany, z podniesioną głową. Zdało się, że wyrósł. Surowe oczy świeciły hamowaną radością. Ale oczy Zdzicha przyciągnęły leżące na stole, widno księżęce dary: pancierz z polerowanych, lśniących jak srebro łusek żelaznych, naszywanych na długi niemal do kolan, łosiowy kubrak, miecz frankoński z prostymi jelicami i głowicą z zielonym kamieniem, w bogatej pochwie, zdobionej srebrem, na pasie z kutych klamer mosiężnych; trójkątny szczyt, nabijany guzami, i szłom ze sztabą osłaniającą twarz i kolczugą spływającą na kark, z wymalowanym znakiem rodu, Łabędziem. Taki sam, jaki zapamiętał Zdzich, gdy ongiś żegnał ojca. Zapatrzył się i nie słyszał, co ojciec mówi do stojącego przed nim rycerza:

- Możecie panu rzec, żeście mnie naszli w dobrym zdrowiu i sile, a za pamięć wdzięcznym. Juści, że konia nie dosiędę, ale i nie trzeba komesowi na grodzie. Tedy mniemam, że słusznie ufność swą we mnie może położyć, że jakom nigdy krwic swej nie żałował, tak i teraz żałował nie będę, by za łaskę odpłacić. A wypocząłem już do syta i więcej, tedy ani dnia nie będę zwlekał i nie mieszkając, udam się do Głogowa, strażę objąć na przeprawie. Przez te lata nieszczęścia zależałem pole, od wyrostka jednak broń dźwigałem i wojnym użył więcej niż czego innego, tedy i wrychlc przypomnę. Spokój zresztą teraz.

- Tym się nie ubezpieczajcie. Pokoju z cesarstwem nie będzie nigdy. Cesarze głoszą, że świat cały ich władzy podległy. Zmieniło się wiele przez czas, gdyście siedzieli w pogańskiej niewoli. Stary cesarz pomarł, młody - całe Niemcy w garści dzierży. Zawszy cesarze takiego pana mieć tu radzi, co by ich słuchał jako pies rogu, by lennem mogli frymarczyć; raz temu, raz innemu sprzedając, jak ninie z Czechami. A Bolko ani słuchać, ani płacić nie myśli. Tedy, ile może, wojów ściąga, by ich mieć w gotowości, gdy uderzyć przyjdzie i załogi słabe ostaną. Tym bardziej baczyć trzeba. Książę rad będzie waszej gotowości, gdy mu młodego Pietrka zwolnicie, któremu też cni się w Głogowie. Po prawdzie pan niezbyt się spodziewał, byście znowu dom i rodzinę rzucić chcieli, tyle lat będąc jej pozbawieni.

- Z sobą ich wezmę. Tego żróbka pod ręką mieć muszę - powiedział Przedśław, wskazując na zasłuchanego Zdzicha. - Znarowił się w babskim ręku, ale już ja go ujeżdżę. Podziękuj rycerzowi Mikorze, jako i ja dziękuję, że cię znalazł i odwiózł - dodał, zwracając się do Zdzicha - a Bogu, że mi z włosem trafiło, bobyś kija pokosztował jako nigdy.

Zdzichowi aż ognie były na twarz z podniecenia. Nic to, że pierwsza próba samodzielności się nie powiodła. Mogła skończyć się gorzej, zwłaszcza z ojcem. A tak nie tylko, że mu się sprawa upiekła, ale pojedzie do Głogowa. Ciągnęło go nowe życie, a już jeśli wojna będzie z cesarzem, jak powiada rycerz Mikora, to i nie będzie musiał czekać, aż dorośnie, by się spotkać z Niemcami i pomścić krzywdy, o jakich mu prawił Bogudar.

Zagrają tylko żal mu było, bo psów z sobą nie brali, gdyż ciasno było w Głogowie. Ale nie za morze przecie wyjeżdża i nieraz skoczy, by go odwiedzić. Na równi ze wszystkimi gotował się do wyjazdu.

## V. NOWE ŻYCIE

Przepraw na Odrze broniło wiele grodów, od Raciborza na południu do dalekiego Wolina przy ujściu rzeki. Nieraz widziały nieprzyjaciół pod swymi bramami i niejednen z nich przeszedł do historii. Broniły nawet, zanim zaczęła się historia, zrazu każdy swojej ziemi, potem już wspólnie ziemi polskiej, gdy Mieszko i Chrobry umacniali swe zachodnie granice przed cesarskim naporem. Trzymały się jakby za ręce wałami i przesieką na bagnistych brzegach Odry, Bobru i Nysy, szczerząc zrazu na wroga jeno zęby swych ostrokołów, potem zapierając się przed nimi wałami z drzewa, gliny i kamieni lub nawet murem.

Gdy nie stało Chrobrego, Głogów przechodził różne dzieje: zmienił panów, wygląd, załogę, ale odbudowywał się po pożarach, łątał podmywane powodziami umocnienia i po staremu tkwił na rzeczonym Ostrowiu, gotów bronić przeprawy. Jedni umierali, rodzili się inni, a że rodziło się więcej, niż umierało, ciasno było w grodzie, który w obrębie swych umocnień niewiele ponad sto w czworaki ustawionych domów mógł pomieścić; ciasno w domach, przeważnie jednoizbowych, i ciasno na uliczkach biegnących z południa na północ i ze wschodu na zachód, tak wąskich, że nie wszędzie wóz się przecisnął. Najciaśniej zaś było wyrostkom, którzy nigdy na miejscu nie usiedzą, dlatego wszędzie im go za mało.

Po zachodniej stronie grodu stało kilka okazalszych budynków: kościół drewniany ze spadzistym dachem z gontów i małą wieżyczką, obok obszerna plebania z niewielkim sadem od strony wałów i nic większym cmentarzykiem od strony kościoła, gdzie odrobinę miejsca zmarłym przeznaczono; ku południowi zaś oddzielony jeno małym dziedzińcem dworzec komesa, dowódcy i sędziego grodu, z kaplicą pod wezwaniem św. Jerzego, patrona wojaków.

W spokojnym czasie w górę i w dół rzeki płynęła kupią, jaka gdzie jeno była na świecie, i tu ją wymieniano na targach za płody miejscowej gospodarki: skóry i futra, воск i miód, suszone mięso, konie, bydło, zboże i rzemieślnicze wyroby. Gród był też składem towarów, zbiorów z książęcych włości i danin, jakie ludność płacić musiała w naturze. W grodzie pełnili usługi przy naprawie i budowie umocnień - zarówno niewolni, przypisani do ziemi książęcej czy rycerskiej, jak i wolni kmiecie, zwani narocznikami.

W czasie wojny ludność ta stanowiła załogę grodu na równi z nielicznym rycerstwem. Zresztą, gdy wojna szła, chronił się do grodu, kto żył i wydażył, a przede wszystkim zamieszkali na podgrodziach wolni i niewolni rzemieślnicy. Kto broń mógł udźwignąć, brał udział w walce.

Niemą była odpowiedzialność grodowego komesa, ale niemą też władza i zyski.

Za Hermanowych czasów gród znacznie podupadł, bo książę cesarzowi hołdował, tedy i bronić przed nim nie miał czego. Ale gdy Bolko z krzywą gębą a żelazną ręką zawładnął polską krainą, wygnawszy zdradzieckiego brata, gród musiał straż objąć z powrotem.

Przedstaw ze swymi przybył do Głogowa nocą, nikogo nic uprzedzając, bo wstyd mu było, że nie na koniu, jak rycerzowi przystało, lecz na saniach wjeżdża jak mnich lub baba. Zdzich ledwo zdołał doleżeć do rana, tak go paliła ciekawość obejrzenia nowego miejsca. Żał mu było psiego towarzystwa, ale obiecywał sobie, że znajdzie w zamian rówieśników do psot i zabawy.

Nie brakło ich na grodzie. Gdy przełknąwszy byle jak polewkę, Zdzich wyszedł na pokryty śniegiem dziedziniec przed dworcem, z drzwi plebanii wysunął się jakiś chłopak. Patrzyli na siebie wzajem z ciekawością.

Sąsiad niewiele był starszy od Zdzicha, ale na smagłej twarzy zaczynał już mu się sypać ciemny puszek. Czuprynę miał czarną jak krucze skrzydło, kędzierzawą i niesforną. Niezbyt był wysoki, ale barczysty.

Nieznacznie sunęli ku sobie jak dwa nieznanne psy, gdy spotkają się z nagłą.

Uwagę Zdzicha odwrócił jednak drugi wyrostek, który wyszedł za pierwszym. Podobny był do niego, jeno smuklejszy. Nim go Zdzich zdołał obejrzeć, wyszedł trzeci, potem czwarty i piąty, coraz młodszy, na końcu zaś może czteroletni pędrak. Wszyscy patrzyli z ciekawością na Zdzicha.

Jakby zmówieni byli, wszyscy nagle jak jeden pochylił się i nabrawszy w dłonie wilgotnego śniegu, zasypali Zdzicha śnieżkami. Nie zdołał przed wszystkimi uskoczyć, raz za razem rozpryskiwały się na nim celne pociski. Jeden ugodził go w czoło z niezwykłą siłą, aż Zdzichowi gwiazdy zamigotały w oczach zaproszonych śniegiem. Otarł je dłonią i pochyliwszy głowę, jak żbik skoczył na napastników, szepił się z najstarszym; inni chcieli się rzucić na Zdzicha, ale zaniepokojony krzyknął niezwykle grubym głosem:

- Precz! Sam poradzę!

Zaczęli się wodzić za łby, ale zacięty i zwinny Zdzich wkrótce wziął górę, mimo że przeciwnik był silniejszy. Czarny musiał się cofnąć raz i drugi, wreszcie obaj zwałili się na ziemię. Zdzich jednak był na wierzchu i wsuwał przeciwnikowi pięścią pod żebra, ile włązło. Bracia znów skoczyli na pomoc pokonanemu, ale zapał tym razem cienko jak zarzynany kogut:

- Precz!

Odstąpili, ale i Zdzich wstał, otrzepując się ze śniegu. Rozległy się okrzyki. Obejrzał się. Dokoła stała gromada wyrostków różnego wieku. Witano widocznie jego zwycięstwo.

Pokonany podniósł się również. Lewą ręką zaczerpnął śniegu, który przyłożył do podbitego oka. Zdzich poczuł, że mu krew kapie z nosa, i także tamował ją śniegiem. Niespodzianie przeciwnik wyciągnął dłoń.

- Mirek mi jest! Gniewu nie ma. Ale się nie spodział, byś mi poradził.

Zdzich miał na końcu języka chępliwą odpowiedź, że nikt go jeszcze nie pokonał, ale się pohamował i rzekł tylko:

- Mnie Zdzichem wołają.

- Mnie Małek - mnie Mojek - mnie Mroczek - mnie Mściech - oznajmili się po kolei bracia, ściskając Zdzichowi dłoń na znak rozejmu i przymierza. I najmłodszy przystąpił, wyciągnął rękę do Zdzicha i powiedział poważnie:

- Mnie Miłek.

Zdzieli mimo woli zaśmiał się i wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Mirek rzucił:

- Idźże, zabo!

- Sameś żaba - odparł małek. Obrażony śmiechami, oddalił się dostojnie, powiewając wyłazącą z porciał koszuliną. Ale gdy śmiech nie ustawał, wsadził piąstki w oczy i pobiegł ku domowi. Wtem dopadła go Radka, która od paru chwil przyglądała się zajściu. Porwała go na rękę, mówiąc:

- Nie wstyd to? Taki duży chłopiec, a beksa!

Natychmiast przestał płakać, ale przytulił twarz do jej ramienia.

Przyjaźń między młodymi była zawarta i stanowisko Zdzicha w grodzie ugruntowane.

Ruchliwa, gospodarna, gadatliwa i uczynna małżonka kapelana, Pękawka, jeszcze łatwiej zżyła się ze słabowitą i nieśmiałą żoną komesa, Wyszuną, nad którą nie proszona objęła opiekę, jakby mało miała kłopotu z sześcioma urwisami i stadami hodowanych gęsi. Jednych i drugich nigdy doliczyć się nie mogła i ustawicznie biegła po grodzie rozdakana, najczęściej w poszukiwaniu najmłodszej pociechy, z której wystarczyło oko spuścić, by zniknęła natychmiast.

Ale teraz zmieniło się na lepsze. Miłek obraził się na braci, że go za nic mają, i przestał się z nimi wałęsać, natomiast zaprzyjaźnił się z Radką i Pękawką po kilka razy na dzień wysyłała małżonka do komesowego dworca, gdzie niemal bez ochyby znaleźć można było zgubę. Pleban chętnie tam zachodził, bo i on z Przedśławem przylgnęli do siebie. Komes był małowówny, a Wyźga rad wypoczywał od terkotania małżonki, wrzasków młodszego pokolenia i gęsiego harmideru.

Wprawdzie od czasu gdy chłopcy stowarzyszyli się ze Zdzichem, dobrze jeśli na wieczery wracali do domu, natomiast aż nazbyt czę-

sto przylatywał ktoś do plebana ze skargami na psoty wyrostków, które nie oszczędzały nikogo na grodzie, a coraz to przybierały na sile.

Nietrudno się było domyślić, gdzie szukać głównego winowajcy, gdyż zaczęło się to od przyjazdu Zdzicha, ale zrazu nikt nie ważył się nachodzić komesa, który onieśmiała grodzian. Wiadomo było zresztą, że Zdzich z Mirkiem zawsze razem trzymają, tedy winę i karę po połowie zaliczyć należy.

Mirkową połowę odrabiał Wyźga sumiennie, zwróciło jednak jego uwagę, że gdy dawniej karcony Mirek darł się wniebogłosy, choć nieraz śmiał się potem w kułak, gdy myślał, że ojciec nie widzi, teraz milczał jak kamień.

Widno jakaś zaraza padła na gród, bo psoty mnożyły się jak myszy i już żadną miarą wszystkich dwom wyrostkom przypisać się nie dało. Sprawców nijak dojść nie było można, a karceni chłopcy milczeli jak zakłęci.

-Za moich czasów wyrostki miększą miewali skórę - mawiał ten i ów z ojców, odkładając narzędzie kary w poczuciu bezsilności. Po czym szedł przeważnie na plebanie, jeśli nie poskarżyć się, to choć wyzalić. Wyźga jeno wdychał. Zamierzał wysłać Mirka do katedralnej szkoły do Wrocławia, pragnąc wychować sobie następcę na urządzie i beneficjum. Już sam pomiarkował, że nic z tego nic będzie, a inni utwierdzali go w tym przekonaniu. Pismo znając i łaciny zarwawszy nieco, Wyźga próbował sam go uczyć, ale teraz gwoździem by chyba chłopca trzeba do ławy przybić, by nad księgą wysiedział.

Chodziły natomiast szeptki, zrazu ciche, potem coraz głośniejsze, że Zdzich, niech jeno dorośnie, jak nic zastąpi komesa, bo swoją drużynę umie trzymać w karbach i jak prawy wódz nią rządzi. Nikt nie wiedział o zaprzysiężonej tajemnicy, że Zdzich jakoby zakon psotników założył, do którego nie każdemu dane było przystąpić, bo nie każdy próbę męstwa, cierpliwości i milczenia znieść wydolił. Za to przyjęty chadzał w chwale i stawał jeden za drugim, choćby rękę uciąć przyszło. Najwięcej tych cnót wykazywał Mirek, bo zbierał lanie za siebie i za Zdzicha, którego ojciec rzadziej teraz karciał, nie bardzo wiedząc, co się działo na grodzie. Ale gdy ludzkie gadanie doszło do jego uszu, zadumał się ponuro.

Po prawdzie nie szło na grodzie, jak trzeba. Stary innymi wyręczać się musiał, by wykonania jego rozkazów pilnowali, bo częste bóle w kalekiej nodze unieruchomiały go po parę dni, przez co ćwiczenia wojów i roboty naroczników szły opieszale. Nawet gdy chodził, stuk jego kuli na chodnikach z dranic, którymi wyłożone były uliczki i wolna przestrzeń koło wałów, z dala przestrzegał o jego nadejściu, nikogo tedy nie zdołał przychwycić na niedbalstwie, a obszedłszy raz gród, wypoczywać musiał i wiadomo było, że nieprędko drugi raz nadejdzie. Chcąc tedy - nie chcąc, przez palce patrzeć musiał na zaniebdania i udawać, że nie słyszy, co szepcą. Z goryczą jeno myślał, że zadaniu swemu sprostać nie wydzi. Dobrze, że wojny nie ma, a na zwykłe graniczne napaści gród z natury dostatecznie obronny. Może i tak ma być, że spokój należy się Przedślawowi na stare lata. Przez całe życie naczuwał się dość, czas odespać. Radka mu dogadzała, jak mogła; żeby nie syn, miałby spokój.

Zdzich miał niepokój. Paliło się wiecznie pod jego jasną, kędzierzawą czupryną. Ciągłe czymś był zajęty, zawsze się spieszył. Gdy go nie było w domu, stary nigdy nic miał pewności, gdzie przebywa i co nowego zbroi; gdy był, drażnił ojca, jakby nie słysząc jego uwag i łajniań. Przedślawowi uwidziało się, że syn go lekceważy dlatego, że nieruchawy jest i stary. Utkwiło to w nim jak cierń, który wbił się do reszty w żywe mięso, gdy raz, stając po zachodzie na wale, posłyszał urywek rozmowy strażników.

- Po licha tu stać na mrozie i niby bram pilnować, kiedy wyrostki łązą przez mur i częstokół, gdzie i kiedy chcą. A powiedz któremu co, to ci jeszcze odpyskuje.

- Zdzichowa to nauczka! Ale co mu zrobisz, kiedy własny rodzic rady se z nim dać nie może? Od głowy ryba cuchnie.

Komes stał jak skamieniały, aż przeszli. Gdy jeno ucichnął głos kroków, podążył do domu tak szybko, jak tylko pozwalało kalectwo. Po drodze mruczał do siebie:

- Rady se nie dam? Jeszcze mnie nie znają.

Nastroszony jak puchacz, mijał plebanię, gdy uwagę jego zwrócił krzyk dochodzący z wnętrza. Pękosława nigdy nie żałowała głosu, ale

lament jak na nią nawet był niezwykle, aż w uszach świdrował. Wtórowały mu miarowe odgłosy uderzeń. Pewnie pleban młóci Mirka. Coś poważniejszego stać się musiało. I znowu nie dojdzie, kto nabroil! Staremu gniew resztki włosów podniósł na łysinie i prawie biegnąc, pokuśtykał do domu.

Zdzich stał koło komina. Lodowa skorupa, którą pokryty był od stóp do głów, tajała w ciepłe, tworząc pod nogami kałużę. Przedślaw, hamując jeszcze wściekłość, zapytał:

- Cóż zaś nabroileś?

Zdzich jeno ramionami wzruszył. Komesowi przebrała się miarka. Złapał chłopca za kark i walić ją łagą. Zaciął się, że nie przestanie, aż chłopak spraszać się zacznie. Musi go złamać! Ale w tej chwili wpadła Radka. Widząc, co się dzieje, krzyknęła:

- Rany Boga! A za cóż?!

I skoczywszy do ojca, chwyciła go za rękę. Odtrącił ją gwałtownie.

- Odejdź, bo sama oberwiesz.

- Żebyście mnie ubić mieli... - zaczęła i wybuchnęła płaczem.

Pomiarkował się, ale złość mu nie przeszła. Pchnął Zdzicha i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Siedział w komorze, ponury i zgryziony. Jeszcze i Radka przeciw niemu! Obwiesić się przyjdzie! Słyszał przez drzwi krzątanicę i głosy chłopaków z sąsiedztwa, przewijające się jeden po drugim. Potem rozszedł wysoki głos Pękawki, wreszcie do komory zapukała Radka.

- Wyżga do was przyszedł - powiedziała.

Nie patrzyła na ojca, nic przystąpiła z pieszczotą jak zwykle, gdy wiedziała, że go coś gryzie. Staremu ciężko się uczyniło na sercu, ale odparł szorstko:

- Zaraz wyjdę.

Nie spieszyło mu się. Pewnie pleban utyskiwać przyszedł jak za zwyczaj, a może ze skargą na Zdzicha. Przedślaw zaś czuł, że nie da chłopcu rady. Po raz pierwszy córka stanęła też przeciw ojcu, za Zdzichem, miast, jak zwykle, tylko brata wypraszać. Poczł się ogromnie samotny.

Posiedział chwilę, ale dłużej nie przystało zwlekać. Wyszedł przygotowany na skargi i wyrzuty. Zdumiał się, gdy Wyżga ścisnąć go jął z wylaniem. Patrzył na plebana pytająco. Wyżga pomiarkował, że Przedślaw nie wie o niczym.

- Nie gadał wam Zdzich? Żeby nie on, nie byłoby Miłka. I tak ledwośmy go odratowali. Ale już dobrze. Kwiatu lipowego dostał na poty i śpi pod pierzyną.

Widząc jednak, że komes patrzy chmurnie, a wciąż nie wie, o co idzie, zaczął składować:

- Poleciały chłopaki na gnatkach ślizgać się po Odrze. A Miłek, że to ostatnio boczyli się na siebie, poleciał osobno. Widzieli juchy, że za nimi idzie, ale miast go zawrócić, uciekli mu. A na rzece aż czarno od wyrostków, więc zgubili malca z oczu. A tu wrzask się zrobił koło mostu. Tedyż Mirek przybiega i widzi, że na odmarzlinie za palem Zdzich jedną ręką za krawędź lodu się trzyma i ino patrzeć, jak go woda pod lód wciągnie, a inni stoją i wrzeszczą. Nijak było dostąpić, bo lód cienki na prądziku, tedy Mirek deskę z mostu udrzeć kazał, po niej podpełznął do Zdzicha i za kudły go ułapił, aż inni dostąpili i razem ich wyciągnęli. Dopiero okazało się, że Zdzich Miłka w rękę dzierży, zda się, już utopionego. Pognali z nim do domu i Boga chwalić, dychać począł, gdyśmy wodę z niego wyleli. Mirek za niedozór co dostał, to dostał, a wam podziękować przyszedłem za Zdzicha, bo żeby nie on, strach pomyśleć... moje chłopię najmilsze, jako kamień...

Wyżga aż się wzdrygnął na tę myśl i dodał:

- Nieraz człek Bogu wymawia, że go sześcioma wisusami pokarał, bo spokoju ni chwili. A niechby jednego odebrał!... tfu! - splunął Wyżga od uroku.

- Mnie jednego starczy za pokutę grzechów całego żywota - powiedział Przedślaw.

- Co prawicie! Zdzich się udał jak mało który. A że urwis? Myśmy to lepsi byli? U nas dwunastu braci było, a uchowałem się ja jeden. Co z młodu nie pomarło, to legło. Żeby nie ja, nie byłoby komu oczu rodzicielom zamknąć - niech im światłość wiekuista świeci! Lepiej to więcej mieć potomstwa.

- Udał wam się Zdzich, tedy jemu dziękujcie, nie mnie - szorstko przerwał komes.

Wyżga nie wiedział, czym podrażnił starego.

- Miłek sam podziękować mu przyjdzie. By się jeno nie rozchorzał, bo nie tylko wody się opił, ale i przemarzył do kości.

Miłek wstał na drugi dzień, jakby nigdy nic, natomiast rozchorzał się Zdzich. Leżał rozpalony i majaczył od rzeczy. Wyszuna jeno płakać umiała, ale Pękawka, mając doświadczenie na swojej szóstce, wzięła się leczyć tak skutecznie, że na czwarty dzień Zdzich patrzył już przytomnie i wołał jeść.

Ciężkie to były dni dla Przedśława. Radka, zajęta przy Zdzichu, nie troszczyła się o ojca, a co gorsza - jakby żal miała do niego. Komes czuł się stary, opuszczony i nikomu niepotrzebny. Ale twardy był i nie chciał się poddać. Całymi dniami stał na wałach i snuł gorzkie myśli. Żeby tak wojna, pokazałby jeszcze, kim jest. Do Zdzicha nie zachodził. Czuł, że z nim przegrał sprawę.

Zdzich natomiast zdał się nie pamiętać. Gdy Radka zaczęła przed nim ojca tłumaczyć, roześmiał się jeno.

- Co mi tam! Sto razym się ojcu wymigał, gdy było z czego, raz darmo oberwałem. Wyjdę na swoje.

Wyrwał się z łoża, ale Pękawka nic puszczała i leżał jeszcze, gdy Miłek przyszedł z uroczystym podziękowaniem. Ubrany był jak do kościoła na Wielkanoc i niósł ogromny kołacz z pszennej mąki, na mleku i miodzie upieczony, zdobny w gwiazdki, kwiatki i figurki z ciasta, jak na wesele. Nic pozwolił Radce pomóc sobie w dźwiganiu i sam go złożył u stóp Zdzicha, po czym podał mu rękę jak dorosły i trochę jeno sepleniąc po dziecinnemu, gładko wypowiedział, jak go ojciec nauczył:

- Wdzięczność moja większa niż ja i wraz ze mną urośnie. A jakoś ty za mną w wodę skoczył, tak ja za tobą skoczę w ogień. Tak mi Boże dopomóż. Amen.

Mówił z taką powagą, że Zdzich pohamował śmiech, wiedząc już, że malec jest drażliwy. Natomiast zażartował:

- W wodę mogę skakać, bom od tego Łabędź. Zaś do ognia nie będę, tedy i ty za mną skakać nie musisz.

- Przecieżś chłopiec, nie łabędź - odparł Miłek.

- Zapytaj kogo chcesz na grodzie, to ci przytwierdzi - rzekł Zdzych, zatykając sobie usta.

Ale Miłek patrzył nieufnie. Zamyślił się.

- Żebyś był łabędź, tobyś i latać mógł. Bo pływać to i inni chłopcy wydolą - wyraził wątpliwość.

- Ale nie tak jako ja. A żebyś wiedział, że i latać potrafię. Będą je-sienią ciągnąć łabędzie, z nimi polecę.

Miłek nie bardzo uwierzył, zresztą w tej chwili niepokoił się, czy kołacz będzie smaczny, więc Zdzych musiał go rozpocząć i kosztowali długo, aż zjedli bez mała połowę. Po powrocie do domu Miłek był bardzo zamyślony, tak że Pękawka przypuszczała, iż się przejadł. Jego zaś trapiły wątpliwości. Wreszcie nie mógł wytrzymać i zapytał ojca:

- Czy Zdzych jest łabędź?

- Łabędź - przytwierdził Wyzga.

Teraz już Miłek był pewny, że Zdzych prawdę powiedział. Ino czemu nie lata? Pewnie to jest tajemnicą, którą Zdzych tylko jemu zdradził. Wiedział od braci, że Zdzychowych tajemnic rozgadywać nie wolno. Okaze się godnym zaufania!

## VI. POMRUKI

O wojnie mówiono wciąż, ale chodziła stronami, Łońskiego roku ksiązę w Czechach wojował, dotrzymując układu Kolomanowi, który napadnięty przez cesarza, bronił przepraw na Wagu. Bolesław, chyłkiem przeszedłszy niedostępne góry, dotarł o dwa dni drogi do stolicy Czech. Świętopełk musiał porzucić cesarza, by własny tron ratować. Uratował go Zbigniew, podjudziwszy Pomorzan do napaści na Polskę fałszywą wieścią, że pobity Bolesław wydany został w cesarskie ręce. Ale ksiązę, dniem i nocą nadążając z małym jeno oddziałem jazdy, zadał kłam przeniewiercy, a doczekawszy nadejścia większych wojsk, obiegił Wieleń, który poddał się. Rozjątżrzeni przeniewierstwem woje wycięli załogę, wbrew zakazom księcia. Ale latoś uporczywi Pomorcc znowu na Mazowszu szczęścia próbowali. Potłukł ich wojewoda Magnus, odbierając jeńców i łupy, ksiązę jednak postanowił spokój uzyskać od północy i zebrawszy znaczne siły, wraz z palatynem Skarbimircem za Noteć pociągnął. Nic szedłby tam całymi siłami, gdyby od cesarza coś groziło. Nad Odrą spokój był, a i w Głogowie spokojniej się uczyniło.

Sposób na uspokojenie wyrostków znalazł Janik Jaksza, sam jeszcze młodzik, który zleczone miał ćwiczenia naroczników we władaniu bronią. Nie nawykłym do niej chłopom niesporo szły, a gapiące się wyrostki jeszcze pokpiwały.

-Potraficie lepiej?! - zadrwił Janik. Zagryzłszy wargi, by nie parsknąć śmiechem, wręczył Zdzychowi łuk. - Tyzcś całym wodzem tej zgrai - powiedział. - Pokaż im, jak się strzela.

Oczy wszystkich zwróciły się na Zdzicha, który zarumienił się. Odmówić było nijak, a nie czuł się na siłach napiąć twardego łuku. Powiedział przeto:

- Jeno mi cięciwę załóżcie.  
- W bitce też będziesz starszych prosił, by ci cięciwę zakładali? Tobi się dopiero wrogci kładły... ale ze śmiechu. Wojak we wszystkim sam sobie radzić musi. Próbuj! Jeno ci pokażę jak.

Naprowadził cięciwę, zdjął i oddał łuk Zdzichowi, który z pąsem na twarzy ze zmieszania i wysiłku próbował naprowadzić cięciwę w rowek. Zda się, że pętla już, już dochodzi, gdy łuk złośliwie wykręcał się w rękę i trzeba próbować na nowo, a sił za każdym razem mniej. Poniechał wreszcie i szepnął:

- Nie wydołę.  
- Tedy może Mirek? Onze śmiał się najgłośniej. Mirek najsilniejszy był z gromady. Pomiarkował już, że trzeba od razu wyteńczyć wszystkie siły. Skupił je, zacisnął zęby i naprowadził cięciwę.

- Dobrze! - przychwalił Jaksę. - Teraz spróbuj strzelić.  
Mirek nabrał do siebie zaufania, a nawet rozdeła go przewaga nad Zdzichem. Udując, że mu nie nowina, założył strzałę i ciągnąc z całej siły cięciwę, usiłował doprowadzić ją do brody jak dorośli.

Ale w pół drogi lewa ręka dzierzająca łuk załamała mu się, cięciwa wymknęła z palców prawej i ciężka strzała upadła bezsilnie, prawie pod nogi Janika, który powiedział z kpina:

- Do rodzzonego ojca mógłbyś strzelać bez obawy, że zostaniesz sierotą.

Zabrzmiął wybuch śmiechu, ale Mirek groźnie potoczył oczyma, a Janik dodał:

- Macie łuk i idźcie się bawić na stronę, gdzie jeno sami z siebie śmiać się będziecie. A skończę z narocznikami, to do was przyjdę, także się pośmiać.

Przyszedł, ale się nie śmiał, choć kpiarz był z niego, jeno przyniósł miększy łuk i cierpliwie pokazywał, jak należy się z nim obchodzić. Na zakończenie powiedział:

- Wojaczka to rzemiosło, uczyć się jej trzeba. Jeden zdatniejszy się rodzi, drugi mniej, ale gotowym wojakiem nie rodzi się nikt, zajędo rycerz czy chłop. Tedy i śmiać się nie ma z czego.

Zostawił ich i do zmroku mozolili się, po czym wracali jak połamani, rąk i pleców nie czując. Ale rankiem, nim Jaksę przyszedł ze swymi narocznikami, Zdzich już ćwiczył swoją zgrają, choć niejednemu płakać się chciało z wysiłku. Janik przyjrzał się; ani pochwalił, ani zganił, jeno odchodząc, rzekł:

- Innego łuku trzeba, by niemieckiego rycerza w kowanej zbroi ubić, innego, by gęś lub gołębia ustrzelić. Przyjdźcie do mnie południem, to wam pokażę, jak się łuk i strzały robi. Nie zawsze targ jest pod bokiem, by nowy kupić, a prysnąć może i najlepszy łuk.

Od tego zaczęła się nauka, nieraz ciężka i trudna, ale zapal pokonywał wszystko.

Jeno lody spłynęły, Zdzich ze swymi druhami wyniósł się na lasy i bagna lub na błoniach nad rzeką szedł o lepsze w rycerskich ćwiczeniach, zaś młodsze wyrostki, pozbawione przywództwa, nie tak już były zuchwałe.

Wiosna tego roku nadeszła wczesna i ciepła. Przedstaw siadywał na przyzbie w słońcu, na stołku wyciętym z pnia z trzema kikutami gałęzi miast nóg. Piwo popijał i jakieś pogodniejsze myśli musiały mu chodzić po głowie, bo nawet uśmiechał się czasem do nich pod wąsem.

Ani się obejrzał, jak przyszło lato, suche i skwarne, a urodzajne tak, że zboża w spichrzach pomieścić nie było można i w kopach stało na rżyskach, czekając omłotów. Szybko w spokoju czas płynie! Ino patrzeć, a znów będzie jesień.

W pogodny dzień sierpniowy siedział stary, jak zwykle, na podcieniu. Drewniany kikut wyciągał przed siebie, rad, że go w suchym cieple po kościach nie lupie. Pociągał domowego piwa, które go rozmarzyło.

- Wreszcie spokoju doczekał - mruknął do siebie.

Jakoż ze Zdzichem lżej było. Stary przestał go karcić, a chłopak jakby spowaźniał. Śmignął w górę po chorobie, na twarzy jego ukazał się delikatny, jasny puch. Jeszcze parę lat, dojrzeje i rycerzem ostanie, ani chybi nie byle jakim. Do księcia go wysłać, by się zaprawił i łaskę zyskał, a potem niechby urząd wziął po ojcu. Komes czuł, że czas mu spocząć. Ożeni się Zdzicha i wtedy przyjdzie Przedstawowa godzina. Wnukami się będzie zabawiał, niechby ich było i dwunastu, a jeszcze



gorsze urwipolcie niż Zdzych, karać ich nie będzie, ba, nawet Zdzychowi nie zezwoli, choćby gród zburzyli. Pomszczą się na ojcu za dziada! Stary uśmiechnął się do tej myśli i chciał piwa pociągnąć z glinianej czaszki, lecz pusta już była. Nie odwracając się, zawołał:

- Radka! Piwa!

- Migiem będzie! - odpowiedział głos z głębi domu i szybki tupot zwiastował, że zapowiedź niepłonna. Dziewczyna pędziła, ino długie kosy powiewały za nią, skrząc się w słońcu, i omal nie upadła, z nagła się zatrzymawszy.

- Nie umieram jeszcze z pragnienia, tedy i nieść możesz spokojnie.

Połowę wychlapałaś - rzucił stary, zaglądając do sporej konewki.

- Nie! Jeno tyle nalałam, bo się wam zagrzeje, nim wypijecie. Upał dziś, że oddechu brak. W loszku najmilej, bo chłód. Że się też wy tak skwarzyć możecie?

- Staremu najmilej ciepło. Przynajmniej mi nogi nie łamie i nie wykręca jak w pluchę lub mroz.

-Jakóż wam wykręcać może, kiedy jej nie macie? Przedślaw wzruszył ramionami.

- Wiem ci ja to? Nie mam, a czuję ją zawždy.

- To może dusza waszej nogi ostała?

- Mądra z ciebie białka. Juści, może dusza. Trzeba plebana zapytać. Pewnikiem zaraz nadejdzie, przyniesie no drugi kubek.

- Nie nadejdzie, bo do Wrocławia wodą pojechał - odparła.

- Teraz? We żniwa? Nie mówił mi nic. Po co?

- Pono wieści jakoweś są, że wojna ku nam idzie. Stary zerwał się z niezwykłą żywością, wywracając stołek, i sam się zatoczył na drewnianej nodze.

- Skąd wieści? - warknął. - Mnie pierwszemu wiedzieć jako komesowi!

- Mirek mu rzekł. A skąd wieści przyszły, nie wiem.

- Jeśli Mirek wiedział, to jeno od Zdzicha. Gdzie się ten jucha podziewa? Dam ja mu, jeno wróci!

- Nie zaczynajcie znowu - odparła dziewczyna. Stary usiadł, sapiąc gniewnie, a Radka głaskała go po łysinie, aż się uspokoił i mruknął:

- Rozpuści się do reszty, gdy ręki na sobie czuł nie będzie.

- Wstydno mu przed drużyną, by go karcic jak niedorostka. Za żralo się ma.

-Żrały! Szczeniak jest, i tyle.

- Zdzych prawi, że książę Bolko młodszy był, gdy oszczepem ubił niedźwiedzia, a w piętnastu leciech już był pasowanym rycerzem.

- Z księciem mu się równać! - fuknął stary. - Bolko od małego nic jeno rękę, ale i rozum miał, a Zdzych, głupi, nawet nie miarkuje, że mnie winien pierwszemu rzec, co wie, bym ja wiedział, co poczynać.

- Głupi to on nie jest. Do Bytomia pojechał zaraz, sprawdzić, co gadają, a Mirka do was posłał; był ci tu, aleście jeszcze spali.

- Spałem, bo noc całą wały obchodzić muszę - burknął Przedślaw zły, jakby się córce sprawiając. - Strażują jak z łaski, gdy ino oka nic czują na sobie. Tak ci tu wszystko idzie jak ta moja noga - dodał z goryczą.

Wziął kostur i ruszył, jakby mu lat ubyło. Radka zawołała za nim:

- Zdzychowi już pokój dajcie!

- Obaczym - odmruknął. - Niech jeno wróci.

Sama myśl o wojnie zdała się czynić z Przedślawia innego człowieka. Pierwsza, która tego doświadczyła, była plebanowa, przezywana przez chłopców na grodzie Purchawką, choć gdy Mirek słyszał, prał za przewisko, ile wlażło. Pękata była, brodawkę z długim włoskiem miała na nosie, a krzyki jej słyhać było z jednego krańca grodu na drugi, jeszcze echo oddawało. I teraz leciała od mostu, zawodząc i pomstując, Przedślaw, posłyszawszy ją, chciał skrócić w uliczkę, ale dostrzegła komesa i przyskoczywszy doń, terkotać ją, jakby kto młyn puścił:

- Gąski moje niewinne, jako ci anieli białe, po rzece sobie pływały, trawkę skubały...

- No, to skubały. Czegóż ode mnie chcecie? - usiłował jej przerwać, ale nie słuchała, jeno trajkotała dalej:

- Kamieniami je potłukli, jako śnieg leżą na łące niebożęta moje, jeno ta krew się czerwieni niewinna, na ścierni dopiero paść się miały, bo chude to, że na ząb nie ma co wziąć...

- Pilnować trzeba było -jeszcze się hamując, usiłował jej przerwać.

- Nie brak u was wyrostków w domu - burknął, ale nie słuchała, jeno chlapiąc i nos wycierając w zapaskę, darła się coraz cieńszym głosem:

-Nijakiego porządku na grodzie, jeno się włóczą od czasu, jak waszZdzich...

Tupnął drewnianą nogą, przybladłszy.

- Wasz Mirek od mego Zdzicha nie lepszy. Gęsi i tak lichy by po-  
brało, bo wojna idzie, a ja mam ważniejsze sprawy niż wasze gęsi.

Odwrócił się i odszedł ostrym krokiem, o ile pozwalało mu kalectwo.

Pękawka po raz pierwszy w życiu stała z otwartą gębą, słów nie mogąc znaleźć.

Przedślaw zapomniał szybko o tym zajściu, bo myśl miał zaprząt-  
niętą czym innym. Docierały nieraz do Głogowa wieści o tym, co się  
po świecie dzieje. To Wyżga je z Wrocławia przywiózł, to z sąsied-  
nich grodów, Krosna i Bytomia, przyszły. Słyszał Przedślaw, że ce-  
sarz zażądał od Bolka hołdu i daniny, a ksiązę odmówił. Ale Bolko  
lepsze przecie wieści mieć musiał i z rychłą napaścią widno się nie  
liczył, skoro w trzy tysiące pancernych na Pomorze pociągnął. Same  
grody przecie nie wstrzymają cesarza, jeśli całą siłą uderzy. Ku jesie-  
ni się zresztą ma, późno wyprawę zaczynać, tedy w tym roku widno  
nic już nie będzie, boby ksiązę granicy nie ostawił bez osłony.

Przedślaw sam sobie się dziwił, co go nagle poderwało, skoro  
o wojnie z cesarzem przebąkiwano od dawna, a i teraz nic pewnego  
nie doniesiono. Może to wąż coś zdradził staremu wojakowi, a może  
dlatego, że wieść przyszła od Zdzicha.

- Łebski pacholek - mruknął komes do siebie. - A nie zawadzi pu-  
ścić ludzi nieco w ruch. Zastali się. Żniwa się kończą, czas będzie  
wziąć w garść wojów i naroczników, zbiory zwieźć i w żywność gród  
zaopatrzyć.

Ruszył przed siebie, by wydać zarządzenie. Zapadła już ciepła noc  
sierpniowa, a wciąż jeszcze po grodzie rozbrzmiewał głos komesa

i drewniane mosty dudniły pod kołami wozów ciągnących ze zbiora-  
mi do spichlerzy przy świetle pełnego księżyca.

Uspokoilo się dopiero koło północy, ale Przedślaw, choć zegnany,  
do dom nie poszedł. Stał na południowym moście i patrzył na wodę.  
Noc była upalna i chłód, pociągający od rzeki, mile rzeźwił zdyszane  
płuca. Stary patrzył na ciemną płaszczyznę wody. Czasem rzuciła się  
ryba, rozdzierając powierzchnię gładkąjak czarne sukno, i na powsta-  
łych kregach zaigrały miesięczne blaski. Księżyc już zachodził. Do-  
koła po niedawnym gwarze zapanował spokój i cisza. Woda szeptała  
sennie, mijając podpory mostu.

Ale staremu nie do snu było, nie czuł spokoju. Stroskany, patrzył na  
rzekę, której zwierciadło, wiosną podchodzące niemal pod dyłowania  
mostu, po upalnym lecie zapadło gdzieś nisko w dół. Woda, najważ-  
niejszy obrońca, nie obiecuje ochrony. Pozostają mury, a w końcu -  
ludzkie serca.

Przedślaw niecierpliwie przejechał szeroką dłonią po łysinie. Wody  
nie doleje, ale mury może umocnić. Nie umiał sam przed sobą zaprze-  
czyć, że je zaniedbał. A serca? Własnego był pewny; ale inne? Nigdy  
jeszcze tym ludziom nie przewodził w walce i, po prawdzie, trzymał  
ich dotąd zbyt miękko. Cóż począć? Może da się jeszcze odrobić za-  
niedbania, jeśli czasu starczy.

Ruszył ku grodowi. Stuk drewnianej kuli w powszechnej ciszy za-  
dudnił jakoś złowieszczo po dyłowaniach mostu. Dreszcz przeniknął  
Przedślaw: zatrzymał się.

- U licha! - zaklął. - Jeszcze by tego brakło, by mnie własne serce  
zawiodło. - Dotychczas nigdy jeszcze nie zawiodło go w walce.  
Czyżby i serce się zestarzało?

Chciał ruszyć dalej, gdy w ucho wpadł mu odgłos, jakby chrobot  
wiosła o brzegi czółna, który dochodził z dołu rzeki i zbliżał się wol-  
no, bo pod prąd dość bystry. Stary szybko pokuśtykał ku przystani  
u przyczółka, gdzie na wbitych w dno palach stał pomost, z którego  
zwykle ładowano i wyładowywano towary. Miód, воск, sól, łupieżę  
szły do dalekiego Wolina i w świat do Nowogrodu, Danii i Szwecji,  
a w zamian przychodziła broń, żelazo, sól, jantary, ozdoby srebrne

i tkaniny. Przy niskim stanie wody ruch na rzece ustał, a pomost ster-  
czał wysoko nad jej powierzchnią. Przedstaw patrzył na zbliżające się  
czołno. Choć miesiąc już zaszedł, komes rozróżnił w mroku kilka  
niewielkich postaci, które wiosłowały sprawnie, kierując czołno przez  
spokojny spłacheć wody ku przystani. Od ciemności jaśniejszą plamą  
odbijała Zdzichowa czupryna. Czołno otarło się o pale i Przedstaw  
usłyszał głos syna:

- Na brzeg komiegi nie wyciągać. By mi o świcie wszyscy byli. Po-  
jedziem raz jeszcze.

Wspiał się na pomost, gdzie ze zdziwieniem zobaczył ojca. W mil-  
czeniu patrzyli na siebie, a inni wylazili kolejno i stawali, cokolwiek  
niepewni, czy stary z nawyku łajac nie zacznie. Niemale było zdzi-  
wienie, gdy Przedstaw rzekł do Zdzicha:

- Pójdź do dom. Uradzim, co dalej poczynać.

Zdzichowi zdało się, że urósł, tak go duma rozparła. Sam dowódca  
grodu z nim uradzać będzie! Zrównał się z ojcem i naciągnął nogi, by  
iść z nim krok w krok jak żrały. Stary zapytał:

- Skąd wieści o wojnie?

- Byliśmy w naszym dworcu za Kocimi Górąmi kłapacze łowić na  
bagnach. Włodarz nam rzekł, że spotkał uchodzącego z północy chło-  
pa, który prawił, że wojska niemieckiego cesarza ciągną i palą a łupią.  
Tedy Mirka tu odesłał, a sam z towarzyszymi do Bytomia popłynął,  
bo myślałem, że może tam co wiedzą.

- A wiedzieli?

- Nie wiedzieli nic, ale komes Falisz zaraz pchnął podjazd ku Kro-  
snu. Ponoć zawždy tamtędy Niemce szli, tedy mniemał, że i teraz  
pobjdą, bo przeprawy tam najłatwiejsze.

- Jeśli tamtędy, to widno na Poznań. Tedy nas ominą.

- Nie mówcie! To siedzieć będziem jako białki, gdy inni będą wo-  
jować?

- Głupiś! Obaczyłbyś, co to wojna, gdy cesarz zwali się z całą po-  
tęgą, a u nas ni trzech setek wojów nie doliczy.

Zdzichowi krew uderzyła do twarzy. Z wahaniem zapytał:

- Nas nie rachujecie?

- Juści! - odrzekł stary zgryźliwie a drwiąco. - Zęby cesarz o was  
wiedział, z dała by Głogów omijał.

Zdzichowi zdało się, że znowu zmalął; powiedział, nadrabiając miną:

- Ale wieści nikt wam tak prędko nie przyniesie jako my.

- Nie przyniesie, bo nie mogę z ludzi się ogałacać, gdy nie wiada,  
co będzie, a w grodzie roboty, że mądry bądź, za co prędeż się brać.  
Częstokoły powywracane... przez wasze wałęsanie - warknął, nagle  
/eźlony - mur i wały się sypią, a struga, co od zachodu z najgorszej  
strony ich bronii, zamulona i niemal wyschła przez te upały...

Przedstaw zaklął pod nosem, bo czyszczenia i pogłębienia strugi  
zaniedbał. Zdzich, samochcąc, oliwy chlusnął do ognia:

- Powaliły się częstokoły, bo pogniłe, nie bez to, żeśmy przez nie łazili.

- Dam ja ci się odszczeniwać! - Przedstaw rozdrażniony był, ale  
pohamował się i dodał spokojniej: - Rozkazywać się nauczyłeś, a słu-  
chać - nie. Gdy o wojnie rzecz, tom ja tu komes, nic rodzic; nic pa-  
sem też karać będę zuchwalstwo i nieposłuszeństwo. Żle by wyglą-  
dała karność, gdyby mi każdy pachol śmiał przyganiać. Na wojnie  
nieposłuszeństwo - to śmierć. Zrozumiałeś?

- Juści - odparł Zdzich i urósł znowu. Poszli do domu. Wyszuna,  
mimo że noc była późna, nie spała jeszcze. Niepokój, jaki na grodzie  
zapanował, udzielił się i jej, a pogłębiała go jeszcze nieobecność mę-  
ża i syna. Roztrzęsiona, przyjęła ich wyrzutami, ale Przedstaw fuknął:

- Teraz słuchać i milczeć będziecie. Wieczereż dawaj i spać!

Zasiadł, zły i zamyślony. Nie skończyli jeść, gdy odezwał się do  
Zdzicha:

- Pojesz później. Ninie skocz mi po starszyznę. Zdzich zerwał się,  
ale spłoszona Wyszuna wtrąciła nieśmiało:

- Wždy świtać będzie niedługo. Nie możecie pachotka posłać albo  
i do rana zaczekać? I wam samym spocząć by się zdało, boście nie-  
młodzi.

- Ktom jest, da się widzieć. Wszyscyśmy wczasowali za długo -  
odburknął. - Teraz nie pora.

- Choć chłopca ostawilibyście w spokoju. Nieżrały jeszcze!

- Żrały był do psot, niech się trud znosić nauczy, jeśli wojem chce być.

Obejrzał się za Zdlichem, ale chłopak wyszedł już, we drzwiach natomiast stała Radka. *Zapytała:*

- Może piwa wam dać?

- Zegnałem się. Ty zawsze wiesz, córuchno, czego mi trzeba.

Zrzucił kabat i otarł spocone czoło. Radka postawiła napój i rzekła przymilnie:

- Będzie się wam lepiej spało po piwie. Może wam ciżmy zdjąć?

- Jakie zaś ciżmy! Wždy jedną ino mam. A spać nie będę, bo zaraz dziesiętnicy zebrać się winni.

- Zbiorą się to, gdy o tej porze sen najlepszy, a pracowali do północy? - odezwała się Radka.

- Już ja ich rozbudzę! - warknął.

Jakoż, choć niezbyt długo dali czekać na siebie, szeszał ich, aż paździerzec leciały. Zdlich, onieśmielony, za rękaw ojca pociągnął i zapytał:

- Macie mi jeszcze co do rozkazania? Bo jeśli nie, to czas mi.

Przedślaw spojrział na pobladłą z bezsenności twarz chłopca i rzucił jakoś niepewnie:

- Spocząłbyś. Nad siły nie bierz.

- W dół rzeki pojedziem. Prześpię się w łodzi.

- Pilna sprawa wieści otrzymać. Tedy jedź, a wracajcie co rychlej.

Rękę wyciągnął, by pogładzić syna po zwichrzonej czuprynie, ale już chłopca nie było.

## VII. ZNAD RENU

Szlachetny rycerz Gotfryd de Kalw niczym się jeszcze w swym dość już długim życiu nie odznaczył. Nie odznaczał się przede wszystkim bystrością, na skutek czego nie wiedział, co się gdzie na świecie dzieje. Siedział na swym zameczku nad Renem i zaczynał tyć, bo lubił dużo i dobrze jeść, a do wina ze swych winnic tak nawykł, że nawet gdy wyjeżdżał, czego nie lubił, zabierał z sobą parę baryłek. A że baryłki trudno wozić, brzuch zaś miał ciężki, wyruszał z domu rzadko i niechętnie i byłby spokojnie rozplynał się w tłuszczu, gdyby nie to, że dość późno ożenił się z młodą i piękną Dorotą von Schwanzburg-Rothauslein, która w przeciwieństwie do małżonka bystra była i lubiła we wszystkim odmianę: w winie, ludziach, strojach i miejscach.

Toteż życie Gotfryda odmieniło się, jakby kto kartę odwrócił. Wino pijał coraz to inne, bo albo w gości jeździł z młodą małżonką, albo do niego zajeżdżano, w ciągu kilku dni nieraz całoroczny zapas wypijając. Na stroje zaś i klejnoty dla młodej małżonki wydawać musiał więcej, niż przynosiły niezbyt obszerne włości, i wkrótce ujrzał dno pełnej niegdyś skrzyni. Ścisnęło się na ten widok jego otłuszczone serce i dwie łzy, wielkie jak fasola, upadły na dno. Nawet nic pieniędzy żał mu było, jeno przeczuwał, że w życiu jego nastąpić musi jakaś zmiana, a zmian bardzo nie lubił.

- Przepowiadała mi wróżka, że zgubię mnie niewiasty - mruknął. - Bronilem się, jak mogłem. A oto się zaczęło.

Poszedł po rozum do głowy, gdzie długo i bezskutecznie go szukał.

Głowił się zwłaszcza, jak odzyskać serce młodej małżonki, które wyraźnie stygło, w miarę jak opróżniała się skrzynia.

Nieraz widział, jak błękitnymi oczyma wisiła na ustach młodych rycerzy, prawiących o bohaterskich czynach i wspaniałych łupach, jakie przywozili z dalekich wypraw.

Tędy była droga, ale jakie przygody przeżyć czy łupy zdobyć można, siedząc przy żonie na swym zamczku lub najwyżej jeżdżąc w gości do sąsiadów w okolicy? Trzeba się ruszyć dalej, jeno jak i gdzie? Tęsknota jest dobrą przyprawą miłości, a gdy wróci z łupami i sławą, serce młodej małżonki znowu zapłonie jak gasnące ognisko, gdy do niego pęk chrustu dorzucić.

Aż pewnego wiosennego dnia z gromadą innych gości zjechał na zamek Swicherus, rycerz magdeburskiego arcybiskupa. Bywały i wymowny, prawił wiele o walkach z północnymi poganami. W walkach tych zyskał sławę pogromcy Słowian, majątność i znaczenie, za wzór stawiany rycerstwu, które krzyż ponoć niosło na wschód w uporczywych zmaganiach. Nie mniejszą korzyść dla duszy, a zysk dla kiesy przynoszą, jak wyprawa do Ziemi Świętej, tę mając przewagę, że bliżej i przez morze jechać nie trzeba. Magdeburski episkopat pismo wystosował do sejmu, jaki cesarz na dzień Św. Izydora zwołał do Merseburga, wzywające wszystkich, komu tylko sponiewierany krzyż rani mężne serce, do krucjaty przeciw zuchwałym a w skóry jeno odzianym poganom. Pismo brzmiało:

„Powstali przeciw nam i odnieśli powodzenie bardzo okrutni poganie, mężowie nie znający litości i szczytający się złością swego nieludzkiego usposobienia. Niech więc wszyscy spieszą na wojnę Chrystusową i niech przybędą na pomoc rycerzom Chrystusa. Poganie ci są bardzo źli, ale ziemia ich jest bardzo dobra, mięsem, miodem i mąką opływa, a jeśli sieją uprawi - dostatkiem wszystkich płodów, tak że żadna z nią porównana być nie może. Tak twierdzą ci, którym ziemia ta jest znana. Dlatego też Sasi, Frankowie, Lotaryńczycy, Flandryjczycy, przesławni zwycięzcy, tam będziecie mogli i zbawić wasze dusze, i jeśli się wam spodoba, zdobyć na osiedlenie bardzo dobrą ziemię. Ten, który sprawił, że Galowie, wyruszywszy z najdalszych kresów Zachodu, zatriumfowali ramieniem Jego męstwa nad Jego nieprzyjaciółmi na najdalszych ziemiach Wschodu, ten sam da wam wolę i moc, byście mogli ujarzmić wspomniane ziemie i nieludzkich pogan, by wam we wszystkim dobrze się działo”.

Swicherus z ramienia arcybiskupa jeździł po całych Niemczech, budząc pobożny zapal i przyrzekając, oprócz sławy i zysków, odpust zupełny bez żadnych opłat.

Gotfryd z dawna przemysliwał, czyby nie wyruszyć do Ziemi Świętej. Możliwość zdobycia sławy i zbawienia tańszym kosztem była nie lada gratką, ale zwyczajem swym byłby się długo namyślał, aż sprawa spełzłaby na niczym. Tym razem jednak powzięcie postanowienia ułatwiła mu pobożna małżonka. Nie bacząc na to, że może ostać niepokieszoną w żalu wdową, dała przykład męstwa i własnoręcznie, pomagając sobie kolanem, wtoczyła jego brzuch w przyciasny już nieco pancierz, którego dawno nie miał na sobie. Zapewniała, że po kilku dniach konnej jazdy brzuch z pancierzem ułożą się. Ucałowała tłuste policzki Gotfryda z dawno zapomnianą serdecznością i obawy jego uspokoiła poręczeniem, że doskonale radzi sobie będzie bez niego, a czekać z tęsknotą, choćby i dziesięć lat, byle tylko wrócił ze sławą i łupami. Sama wyniosła stółek, po którym dostojny rycerz wdrapał się na konia, a potem z wieży nad bramą długo powiewała białą chusteczką, póki nie obeschła z pożegnalnych łez.

Gdy zniknęła z oczu orszak Gotfryda, składający się z czterech knechtów, siłą oderwanych od małżonek, które w przeciwieństwie do pani zalecały im powrót najpóźniej na zniwa i przestrzegały przed mieszaniem się do bitki, szlachetna Dorota westchnęła z ulgą. Odetchnął też rycerz Gotfryd, każąc sobie ściągnąć pancierz, który mu brzuch uciskał, i okryć nim baryłkę wina leżącą na wozie, by jej nie nagrzały ciepłe promienie słońca, wino bowiem nagrzane traci smak.

Nim dotarli do Merseburga, brzuch pana Gotfryda istotnie spadł na tyle, że już bez pomocy kolan dał się wtoczyć w zbroję, by, jak przystało, okazałe wjechać do miasta wraz z tłumem innego rycerstwa, wśród którego rej wodzili przybywający ze wschodnich i północnych marchii, zaprawieni w ustawicznych bojach z poganami, wasale duchownych książąt.

Sejm był obeszany jak nigdy, a list magdeburskiego episkopatu wzbudził powszechny zapal. Sam cesarz przewodzić miał wyprawę i wyznaczył zbór wojsk w Erfurcie. Konno i zbrojno ciągnęli lennicy:

z bliskiej Saksonii, Bawarii i Miśni; szli Frankowie i Szwabi, a nawet nie brakło rycerstwa z dalekiej Lotaryngii i Flandrii. Ciągnęli i duchowni wasale: koloński arcybiskup Fryderyk, magdeburski Adalgot, biskup Bruno trewirski, Erlung wiirzburski i Bruno spirski. Halbersztadzki Reinhard jeno poczet przysłał, sam przybyć nie mogąc. Stanęli i postronni wasale, natomiast bezskutecznie czekano na najpotężniejszego lennika, czeskiego Świętopełka, którego wojska, najlepiej znające kraj i pogańskie sposoby wojowania, służyć miały za przewodników i straż przednią wyprawy. Wiadomo już zresztą było, że skierowana jest nie przeciw połabskim poganom, lecz przeciw Polsce, której zuchwały książę odmówił śmiało Henrykowi posłuszeństwa i trybutu.

Pisał Henryk do Bolka: „Niegodnym cesarza byłoby i przeciwnym prawom rzymskim wkraczać z orężem w rękę w kraj wroga, a zwłaszcza swego lennika, pierwej nim się go zapytało o pokój, jeśli chce być posłusznym, lub o wojnę, jeśli stawiać chce opór. Dlatego zawiadamiam cię, że albo zgodzisz się brata swego przyjmując, oddając mu połowę królestwa, a mnie płacić corocznie trzysta grzywien trybutu lub tyluż rycerzy dostarczyć na wyprawę, albo jeśli się czujesz na siłach, spróbujemy mieczem podzielić królestwo polskie”.

Ale Bolesław widno niezbyt się obawiał cesarza, gdyż odpowiedział: „Jeżeli pieniędzy naszych lub rycerzy polskich żądasz jako daniny, to mielibyśmy się za niewiasty, a nie za mężów, gdybyśmy wolności swej nie bronili. Zaś do przyjęcia człowieka buntowniczego lub do podzielenia z nim jednolitego królestwa nie zmusi mnie przymoc jakiegokolwiek obcej władzy, a chyba tylko jednomyślna rada moich ludzi i postanowienie mojej własnej woli. Gdybyś dobrocią, a nie zuchwalstwem żądał pieniędzy lub rycerzy na pomoc Kościołowi Rzymskiemu, uzyskałbyś na pewno nie mniej pomocy i rady u nas, jak ją znajdowali twoi przodkowie u naszych. Zatem bacz, komu grozisz. Jeśli chcesz wojować, znajdziesz wojnę”.

Wielu rycerzy z Zachodu po raz pierwszy słyszało o polskim kraju i ci najłatwiej uwierzyli, że poganin a Słowianin to jedno, choćby się i ochrzczył pozornie. Wschodnie natomiast rycerstwo, które lepiej zna-

ło te sprawy, wolało nawet ciągnąć do Polski, gdzie zasobne miasta i grody więcej obiecywały łupu niż wsie pogańskich Połabian.

Pogodne i suche lato, sposobne do wyprawy w bagniste okolice, miało bezpłodnie i Henryk sierzcił się na Świętopełka o zwłokę. Kanclerz Adalbert jednak wieści miał, które ją usprawiedliwiały: niepokoje wybuchły w Czechach, a winę znowu ponosił chytry i zajadły polski książę. W ubiegłym roku, gdy cesarz walczył na Węgrzech, zbił nadwornego żupana Wacka i Mutinę Wrszowca, którzy granicy czeskiej bronić mieli, i omal nie zajął Pragi. Żupan Wacek, by siebie usprawiedliwić, pomówił Mutinę o znowę z Bolesławem. Podejrzliwy a nieufny Świętopełk wyróżnąc kazał podstępnie cały potężny ród Wrszowców, liczący trzy tysiące zdatnych do broni mężów, w obawie, że sprzyjają Borzywojowi. Zamęt powstał w kraju. Do Polski, gdzie już przebywał Borzywój, zbiegło wielu Wrszowców, powiększając liczbę jego stronników, których i w Czechach nic brakło. Osłabiło to siły cesarskiego lennika, hamując jego poczynania.

Cesarz postanowił tedy ruszyć bez niego, dając posłuch zapewnieniom zdradzieckiego Zbigniewa, że niech jeno wojska cesarskie wkroczą do Polski, wnet zbiegną się Zbigniewowi stronnicy, najlepszymi będąc przewodnikami we własnym kraju. Kanclerz przestrzegał, by nie ufać zapewnieniom Zbigniewa, bo gdy z wiosną sam wtargnął na Śląsk, przegnali go stamtąd chłopci siekierami i drągami. Wiadomo było jednak, że Zbigniew ma po swej stronie arcybiskupa Marcina i niektórych możnowładców. Cesarz postanowił przeto wyruszyć, bo czas naglił. Suche lato namnożyło brodów na rzekach i wysała wilgoć z bagien, które w dawniejszych wyprawach niejednego pochłoneły żelaznego jeźdźca wraz z koniem, gdy ulgnał jak chrabaszcz w żywicy. Co więcej, Bolesław z całymi siłami bawił na Pomorzu, zajęty zdobywaniem grodów. Gdyby uderzyć zaraz, droga na Poznań łatwa była jak nigdy. Henryk ruszył wojska i przeszedłszy bez przeszkód Nysę pod Gubinem, przez nikogo nie napastowany, pociągnął starym szlakiem niemieckich wypraw pod Krosno.

Początek zapowiadał się łatwo i rycerz Gotfryd zacierał ręce. W szczęśliwą godzinę wyruszył. Palenie nie obwarowanych osad

i branie w niewolę bezbronnej ludności nie przedstawiało większego niebezpieczeństwa. Wprawdzie cały łup stanowiło trochę bydła i żywności, które zjadano zaraz, bo zapasy wyczerpały się na skutek przydługiego czekania, ale przyjdzie kolej i na miasta. Tymczasem układał sobie, co będzie opowiadał Dorocie, gdy powróci jako zwycięzca, przywożąc na dowód prawdy swych słów niewolników o błękitnych oczach, które patrzyły na zwycięzców z przerażeniem i nienawiścią. Gdy nastaną jesienne słoty, będzie znowu siedział w swym zameczku przed kominem, przy grzonym winie, i opowiadał o przewagach cesarskiego rycerstwa nad barbarzyńcami, a młoda małżonka będzie wisiała spojrzeniem na jego ustach.

Pierwsze jednak wątpliwości naszyły Gotfryda pod Krosnem. Gród był potężny i szczyrzył na napastników zęby swych częstokołów. Stronników Zbigniewa, którzy ułatwić mieli przeprawę, jakoś widać nie było, a gdy cesarz sam spróbował, pierwsze niemieckie trupy popłynęły w dół Odry. Zaniechał tedy dalszych prób i postanowił czekać na Świętopełka, o którym miał już wiadomość, że wyruszył i drogą na Kłodzko i Legnicę ku niemu nadszedł. By nie tracić czasu, Henryk wysłał znaczniejszy oddział pod Berengariuszem z Sulzbachu w dół rzeki pod Lubuszę - przyrzeczoną magdeburskiemu arcybiskupowi - by z nagłą naskoczywszy, zajęli gród i tam zabezpieczyli przeprawę. Berengariusz namawiał nawet Gotfryda, by z nim pociągnął, ale szlachetny rycerz wołał wyprawę po żywność, o którą bardzo był dbały, zaś łupem nie chciał obciążać się przedwcześnie.

Ale i z żywnością zmieniło się na gorsze. Osady zastawali przeważnie puste, przestrzeżona już ludność z dobytkiem uchodziła w lasy, a gdy próbowano tam szukać, nie wszyscy wysłani wracali, a ci, co wrócili, to przeważnie z pustymi rękoma.

Rychlej natomiast, niż się spodziewano, wrócił oddział Berengariusza. Grodu wprawdzie nie dostał, ale za to przywiózł wiadomość, że w dzień Św. Wawrzyńca Bolesław w wielkiej bitwie rozbił w puch siły pomorskie i zdobył Nakło. Jeno pomniejszych grody opór mu jeszcze stawiają, ale pozbawione z zewnątrz pomocy, nie obiecują długiego oporu. Gdy z nimi skończy, będzie mógł całą siłą przeciw

Henrykowi obrócić. Cesarskie wojska wprawdzie trzykrotnie były liczniejsze i lepiej uzbrojone, ale Henryk wiedział już, że jako wódz nie sprosta Bolesławowi. Zwołał przeto naradę, na której postanowiono zamiast na Poznań ciągnąć na Kraków, opóźniając w ten sposób spotkanie z Bolesławem, a przyspieszając ze Świętopełkiem. Po drodze zaś zdobędą Śląsk, broniony jeno przez kilka grodów, który sam już opłaci wyprawę.

Zwinął tedy cesarz obóz pod Krosnem, gdzie głodnawo już być zaczęło, bo spustoszona okolica nie dawała dostatecznego zaopatrzenia, i przeszedłszy na prawy brzeg Bobru, ścinając kolano Odry, ruszył wprost na Głogów.

Szli wolno, szeroko zagarniając kraj, by łatwiej w żywność się zaopatrzyć. Pochód mieli spokojny, pogoda sprzyjała i trzeciego dnia zbliżyli się znowu do rzeki. Gdy stanęli na noc obozem, strażnicy doniosły, że opodal znajduje się niewielki gród Bytom, ze sporym podgroziem i osadami.

Cesarz natychmiast wyznaczył kilkunastu rycerstwa i znaczny oddział knechtów, pod wodzą Swicherusa, z poleceniem zbadania obronności grodu i sprowadzenia żywności i jeńca.

Tym razem rycerz Gotfryd dał się łatwo namówić do udziału w przedsięwzięciu, wciąż bowiem był w obawie, że żywności braknie, a Swicherus zapewniał, że wyprawa niczym nie grozi, gdyż gród jest niewielki, leży po tej samej stronie rzeki i kto wie, czy nie uda się - z nagłą zaskoczywszy - ubiec go bez walki i przeprawę na rzece uzyskać. W tym zaś wypadku biorący udział rycerze liczyć mogą na łaskę cesarską i nagrody.

Gotfryd nakazał swym knechtom obudzić się dobrze przed świtem, by czas miał pożywić się i przybrać, spieszyć się bowiem nie lubił. Śnił właśnie, że wrócił do domu i czule wita się z młodą małżonką, gdy ktoś zaczął go trącać. Myśląc, że knecht, obrócił się na drugi bok, mruknąwszy przekleństwo, ale szarpanie nie ustało, rozganiając marzenia. Nad nim stał sam Swicherus, mówiąc:

- Wstawajcie, do biesa! Czeakać na was nie będziem. Byście nie żalowali straconej sposobności!

Gotfryd zerwał się i począł wołać o śniadanie, ale gdy nikt się nie zjawił, wypadł przed namiot. Wszyscy czterej knechci spali w najlepsze, pochrapując chóralnie, skuleni pod wspólną derą, bo noc była chłodna. Na ten widok rycerz zaczął ich okładać drzewcem lancy, wrzeszcząc:

- Psiewiary! Śpi jeden z drugim jak doma! Wstawać, bo pasy drzeć będę!

Spod dery wychyliły się cztery rozczochrane łby, z mierzwą we włosach. Przecierali pięściami zaspane oczy, bez zapалу biorąc się do naciągania cizem, które zdjęli na noc. Ten widok jeszcze bardziej rozsierdził rycerza Gotfryda.

- Rozdziewa się jeden z drugim jak do kąpieli. Wojna jest i wojak każdej chwili gotów być winien. Śniadanie warzyć. Konia siodłać! Zbroję dawać! A migiem...

Sam był boso, bo miał nagniotki, które mu bardzo dolegały. Wlazł z powrotem do namiotu i z żalem spojrzął na ciepłe jeszcze legowisko. Usiadłszy na nim, wciągał cizmy, sykając, i słuchał odgłosów odchodzącego oddziału, który istotnie nie czekał na niego. Nic to! Na koniu dogna ich wkrótce, knechtów nie biorąc, bo i szkoda. Nużby którego skaleczono? Miał nadzieję, że dostanie kilku słowiańskich niewolników, ale przezorny był. Zanim to nastąpi, wołał nie narażać swoich knechtów, bo ziemia bez chłopca nic niewarta. Poganiał ich jednak, czekając na śniadanie, którego nie mógł darować, chcąc sił nabrać przed walką. A nie musi nadażyć na jej początek. Starczy, jeśli przyjdzie przed końcem, zbierać owoce zwycięstwa. Nareszcie przybranemu już w zbroję sprowadzono konia, a dwaj knechci w nadmiarze gorliwości, którą chcieli rycerza udobruchać, podsadzili go tak, że przeleciał na drugą stronę i legł jak długi. Podśmiewając się w garść, pozbiali klnącego i gdy wreszcie znalazł się w siodle, wbił ostrogi w boki rumaka, który popędził, na ile mu podeszły wiek i spory ciężar jeźdźca pozwalał.

Oddział Swichera zniknął tymczasem w sinawym mroku przedświt. Z obozu do grodu było jeno kilkanaście stajni, lecz grząski, torfiasty łąg, w którym konie zapadały się po pęciny, hamował po-

chód. Szli cicho i zbliżyli się już na tyle, że przez mgielkę poranną widać było pierwsze budynki osad, a trochę dalej szarzały zarysy wałów i częstokolów grodu. Odzywały się dopiero pierwsze ptaki, zresztą cisza była. Widno spało jeszcze wszystko.

Swicherus, zacierając ręce, wydawał ostatnie rozkazy i piesi ruszyli biegiem, otaczając poszczególne domostwa, trochę zdziwieni, że nigdzie nawet pies nie zaszczekał. Swicherus natomiast z konnym rycerstwem stanął na drodze wiodącej do grodu, czekając, kiedy fala uciekających podgrodzian rzuci się ku bramom, by wjechać na niej do środka. Jasno już było, jeno mgła zacierała widok. Gdy między domami rozległy się wrzaski, podsunął się bliżej i wówczas poznał, co się dzieje. Z domów, szop, stajen i chlewów wysypali się polscy woje i skoczyli zażarcie na napastników. Swicherus podniósł przyłbicę, by sprawdzić, czy go wzrok nie myli, po czym żgnął konia i skoczył ku walczącym. Zuchwali Polacy, przestrzeżeni już widocznie o nadejściu wojsk cesarskich i mając wiadomości o ich ruchach, usunęli z podgrodzia niezdolną do broni ludność, a wojów ukryli w budynkach. Choć nieliczni i gorzej zbrojni, wielu położyli w pierwszym zaskoczeniu, a teraz walczyli z zaciekłością, wypierając napastników ku bagnistemu łągowi.

Pod ciężarem jednak pancernego rycerstwa zachwiali się i stawiając zacięty opór, ustępować zaczęli ku rzece i grodowi. Knechci zdołali przyjść do sprawy po zamieszaniu i pierwsze promienie słońca oświetliły krwawą rzeź.

Swicherusowi jednak znowu zaświtała nadzieja, że jednym zamachem gród ubiec zdoła, jeżeli złamie opór polskich wojów stanowiących widocznie załogę grodu. Ale i komes Falisz, który z polskiej strony dowodził, spostrzegł, że tak się stać może, skrzyknawszy więc ku sobie co cięższych i lepiej zbrojnych wojów, skoczył na pancernych. Zamigotały w słońcu miecze, zadźwięczały zbroje i zbite kolistko zaczęło się przewalać i kołysać. Po chwili pękło jednak, rozsypując się na szereg pojedynków. Falisz skoczył na Swichera i w pierwszym starciu obalił go wraz z koniem, ale nie zdołał dokończyć, bo już dwóch innych na nim siedziało, którym odcinać się mu-



siał. Swicherus zerwał się i z trudem dosiadłszy spłoszonego konia, pognął ku łęgowi, a za nim kto jeno od przeciwnika odczepić się zdołał. Widząc ucieczkę rycerstwa, kto żył z knechtów wymykał się ze skrztu i walka zamieniła się w pościg. Polscy woje gonili z wrzaskiem, siekąc i kłując, kogo dopadli. W jednej chwili bitwa przetoczyła się na kraj łęgu i wówczas ogromny krzyk targnął spokojnym powietrzem poranka. Z łęgu nadchodził kilkaset ludzi liczący oddział ciężkiej jazdy. Blaski grały na pancierzach i hełmach. Byli już tak blisko, że Swicherus ani przez chwilę nie miał wątpliwości, kto nadchodzi. Na tarczach i hełmach widniały obce znaki. Na czele jechał tęgi, młody wojak z białym jednorozcem na błękitnym szczycie. Szczęściem dla Niemców grząski łęg nie pozwalał rozpuścić koni. Zbliżali się z wolna, ale gdy dojdą, żywa noga nie ujdzie z napastników. A ogromne wojsko cesarskie tak blisko, że niemal głos mógłby dolecieć. W ostatniej rozpaczy Swicherus zawrócił i uderzył na ścigających, modląc się pobladłymi ustami do swego patrona. W ocalenie jednak nie wierzył.

Gotfryd ruszył pędem, ale jeno go wiatr owionął, gniew mu przeszedł, a wróciła rozwaga. Odgłosy dolatujące od strony grodu wskazywały, że walka już się rozpoczęła. Bez jednego rycerza bitwa się odbędzie; byle zdążyć przed zakończeniem. Zwycięzcami są ci, co żyją, dla poległych walka jest przegrana. Gotfryd nie mógł bez wzruszenia myśleć o tym, że Dorota została wdową. Pohamował konia, któremu zresztą nie bardziej się spieszyło niż panu. Szelma Henczko nie naobroczył go widocznie i rumak sięgnął pyskiem do obfitej trawy. Rycerz nie mógł jednak czekać, aż się koń napasie; poderwał mu łeb i pchnął go naprzód.

Nigdy jeszcze nie był tak wdzięczny sobie i koniowi, że się nie spieszyli, mimo że za małą chwilę gnał z powrotem do obozu, aż grudy leciały spod kopyt jak z procy. Gdy bowiem przeciskał się przez chaszczę na skraju łęgu, za którym widniały już budynki bytomskiego grodu, z zagajnika odległego o pół stajania wynurzył się oddział jazdy

idący kłusem i zwolniejszy na grząskim gruncie, szedł na odgłos bitwy. Gotfryd ani przez chwilę nie wątpił, że to Polacy. Stał jak żona Lota zmieniona w słup soli, oddech hamując, a gdy oddalili się na strzelenie z łuku, popędził w przeciwnym kierunku.

Obóz był już na nogach. Przy ogniskach warzono strawę, pojono i obroczone konie, knechci czyścili broń. Sam Henryk wyszedł już z namiotu i, szepcząc poranne pacierze, czekał na polewkę i wieści z Bytomia. Nagle brzydko zaklął: ktoś pędził, obalając ludzi po drodze, i omal nie wpadł na samego cesarza. W ostatniej chwili zdarł konia i mimo poważnej tuszy zeskoczył. Nie oddając nawet należnego pokłonu, krzyknął:

- Bolesław!

- Zgłupiałeś! - wrzasnął Henryk. - Bolesław na Pomorzu wojuje.

- Sam widziałem... mnóstwo pancерnej jazdy... szli za Swichrussem. Wygubią go... do nogi.

Cesarza złość porwała; jeśli prawda - na Bolesława, jeśli nie - na Gotfryda. Warknął:

- Zełgałeś, koniowi za ogonem pojedziesz, aż flaki z ciebie wytrzęsą. A nic...

Urwał, bo nie stało mu pomysłu, co by uczynił z Bolesławem. Jeno trzeba go naprzód pokonać. Krzyknął na giermka:

- Leć do wielbego pana Adalgota, niech procarzy i łuczników w te pędy pchnie za Swichrussem!

Zwracając się zaś do trębaczki, rozkazał:

- Trąbić do bitwy!

Wojska, rzucając rozpoczęty posiłek, jeły stawać w sprawie, gdy cesarz ruszył do namiotu, by przywdziać zbroję. Uspokoił się już. Jeżeli Bolesław iście nadszedł, to wojska musi mieć pomęczone. W otwartej bitwie nie dostoją cesarskim liczbą ni uzbrojeniem. Gdy je rozbije, kraj stanie przed nim otworem. Weźmie za zeszłoroczne niepowodzenia odwet nad wrogiem, który mu pod Preszburgicm ślubował, i zmusi go do uległości. Pożywiał się naprędce, czekając na walsali, by plan bitwy ułożyć.

Nim jednak się zebrali, przyszły wieści z pola walki. Procarze i łucznicy Adalgota wyciągnęli Swicherusa z ostatniej toni. Bytomianie cofnęły się za tyny, pałac podgrodzia, by nie przeszkadzały obrońcom, pancerny zaś oddział, który, po śladach miarkując, nie liczył więcej niż trzysta koni, nie spiesząc się odszedł w lasy poniżej grodu. Rycerz Wigerich, który odsiecz przewodził, próbował go tam ścigać, ale zewsząd posypały się na niego pociski. Straciwszy kilku ludzi, uznał za rozsądniejsze cofnąć się, bo konnych i tak nie dopadnie, a obawiał się zasadzki. Wziął przy tym dwóch rannych jeńców, którzy okazali się chłopami z okolicznych wsi. Nie ulegało już wątpliwości, że to nie sam Bolesław nadszedł, lecz jakiś oddział wysłany przodem, by cesarskie wojska niepokoić i chłopów przeciw nim podnosić. Dla odstraszenia przykładu kazał przeto Henryk jeńców powiesić, a po naradzie postanowiono poniechać Bytomia i ciągnąć na Głogów, gdzie lada dzień spodziewano się nadejścia Świętopelka z Czechami. Zeszło do południa, zanim pochowano poległych z oddziału Swicherusa, niemal całkiem zniesionego, po czym, spożywszy posiłek, wojska ruszyły. Pochód przestał być bezpieczną wędrówką, pierwsza potyczka skończyła się niepomyślnie. Do Głogowa dzień tylko był drogi, ale szli wolno, szeroko rozrzucając straż od rzeki do pasma wzgórz ciągnącego się wzdłuż niej aż za Głogów. Duch w wojsku przygasł.

Zadowolony z przebiegu sprawy był jedynie rycerz Gotfryd de Kalw. Cesarz uznać musiał, że jego to było zasługą, iż oddział Swicherusa od ostatecznej klęski ocalał, i własną ręką włożył rycerzowi złoty łańcuch na szyję. Henryk nie odznaczał się hojnością i wołał złoto brać niż dawać, tedy głośny stał się w całym wojsku zaszczyt, jaki spotkał Gotfryda. Rycerz sam się dziwił łatwości zdobycia na wojnie zaszczytów i sławy, a jadąc przemyślał, jak to przedstawić Dorocie, by największe sprawić wrażenie. Uwierzy we wszystko, skoro ujrzy taki dowód, jak złoty łańcuch od samego cesarza. Pięknie będzie świecił na białej szyi pani Doroty. Rycerz Gotfryd pełen był najlepszych myśli. Oczyma duszy widział już rycerski pas i złote ostrogi, jakimi cesarz po zwycięstwie ozdobi najbardziej zasłużonych.

Z przepelnionego błogością serca postanowił wspaniałomyślnie wybaczyć knechtom, którzy zaspali i zaniedbali go obudzić. Na postoju zawołał ich i rzekł:

- Odpuszczam wam ranne niedbalstwo. Zaś na drugi raz...

Pomyślał, co mają czynić, i umocniwszy się w przekonaniu, że do bitki spieszyć się nie należy, ciągnął:

- Nie budźcie mnie, póki się sam nie wyśpię. Jeny śniadanie ma być gotowe, gdy wstanę - dodał surowo, by całkiem nie wyszli z karności.

Knechci odczuli rzadki przypływ łaskawości i najmowniejszy Henczko, skrobiąc się po kudłatym łbie, powiedział:

- Bo wróciłibyście do dom. Tam się i wyśpicie najlepiej, i śniadanie wam do łoża podadzą...

- Zbiory zwieźć trzeba - dorzucił gospodarny Fryczko.

- Winobranie skoro się zacznie - przypomniał pijanica Peszko.

Babom ciężko i samym cni się - zakończył Hanslik. Wiadomo było, że swojej boi się bardziej niż samego pana, a surowo mu przykazała wracać rychło.

Jeden cios za drugim padał w słabe strony pana Gotfryda, ale w świeżym odznaczeniu znalazł siłę, by się oprzeć pokusie. Groźnie odparł:

- Ostaniem, póki nie zwyciężym, bo dopiero wtedy cesarz nagrody będzie rozdawał. Starczy z łupów i na mąkę białą, i na wino. Mogę ja trudy znosić, choć do wygod nawyklęm nic takich jak wy, gbury, możecie i wy. Zaś baby mogą czekać.

- Nasze ta mogą, choćby nie chciały - odparł Henczko - ale na zamku zawsze gości kupa.

- Milczeć! - wrzasnął szlachetny rycerz. Splunął i poszedł położyć się w cieniu, bo słońce doskwierało i niewyspany się czuł.

## VIII. Z WOLNEJ WOLI

**P**o zwycięskiej potyczce, choć wiele trudu i krwi kosztowała, komes Falisz nie spoczął na wawrzynach i ludziom spocząć nie dał. Gdy tylko pomiarkował, że cesarz z wojskiem odszedł pod Głogów, zwołał zdolnych do walki naroczników i przemówił:

- Spróbowaliście już Niemca. Choć i żelazo z wierzchu, pod pancerzem skóra nie twardsza od naszej, jeno dobrać się do niej. A serca widno miększe, co i nic dziwota; na swoim obejściu nawet kundel mężniejszy od wilka. Poszedł rycerz Bogusław za cesarzem, by Głogowowi z kolei pomoc dać, jako i nam dał. Jego rzecz, jak się przez cesarskie wojska przedrze, bo obchodzić czasu nie starczy. Ale i z jego pomocą Głogów niemocen całą siłę cesarską na sobie utrzymał. Pomogli głogowianie nam, na czas przestrzegając, i my im pomoc dać musim.

Spojrzał po wojach. Znał każdego z nich, jakby go od małego chował, i wiedział, czego może od nich oczekiwać. Gdy przyszli do grodu przed rokiem, surowe to było, nie obyte z bronią. Dziś pokazali, że nie darmo trudził się komes nad nimi. Jeno że niewielu ich było. Falisz ciągnął:

- Pójdziecie każdy do swej wsi. Baby z dziećmi i dobytek w lasach ubezpieczyć, a zdatnych do broni zebrawszy, koło cesarskich się kręcić, w bitkę się nie wdając, bo z gołymi pięściami kiryśnikom nie dostoi. Trzeba będzie na obóz uderzyć, Bogusław to uczyni, bo pancernych ma. Zdarzy się zaś, że który z cesarskich się odbije, sprawić go. Nadejdą księżę, sami postanowią, kiedy bitwę cesarzowi wydać, a wy jeno niepokoić go macie i żywność odcinać. Nie masz takowego rycerza, co by nie śpiąc i nie jedząc bić się wydolił. Niechże tedy Niemce nie śpią i nie jedzą. Rozumiecie?

- Co by nie? - odpowiedzieli gromadnie.

- Tedy z Bogiem i daj Bóg obaczyć was w zdrowiu, a bodaj i w rycerskim pasie; choć nie ten rycerz, co na konia siada, jeno, co serce ma mężne.

Mieli się ku wyjściu, a komes zwrócił się do Koska.

- Ty, Kosek, urazy nie chowaj, zem ci i dopiekl kiedy, bo kark masz twardy, a ręce do broni zdatniejsze niż do pracy. Ostrzejszego żróbka twardszą dłonią trzymać się musi. Teraz pęd wziąć możesz. Stawaj jeno tak zawsze, jako dzisiaj stawał, a nie będę się wstydał, żeś z mojej wyszedł ręki. Tu masz, byś mnie wdzięcznie wspominał.

Wręczył mu nóż w pochwie srebrem objanej i poklepawszy po barku, odszedł opatrzeć gród, który niemal bez załogi zostawał, pełny był natomiast bab, dzieci, wyrostków i niezdolnych do walki. Falisz był jednak dobrej myśli. Cesarz nie wróci, a gdyby znowu podjazd wysłał, gród się obroni. Mężne serca znajdują się wszędy: i w chłopskich, i w chłopięcych piersiach:

- A póki ich nie zabraknie, nie zjedzą nas Niemce - mruknął do siebie.

Komes Falisz myślał o Kosku i o synu komesa Przedsława, Zdzichu, który go przestrzegł o nadejściu cesarza, a potem ze swymi wyrostkami do walki się pchał, aż ich złajac musiał. Odeszli z Bogusławem, daj Bóg, by się szczęśliwie przedarli, bo niełatwa to sprawa.

Kosek rozpuścił nogi, jakby się lękał, że cesarz ujdzie jego zajadłości, która wzrosła jeszcze, gdy przeszedł szlak cesarskiego pochodu. Na nie ostyglYM obozowisku niemieckich wojsk zastał trupy wisielców, do których ściągaly już z lasów kruki, sadowiac się na drzewach jak czarne owoce. Nic miał czasu pogrześć nieszczęśliwych, gwizdnął jeno kamieniem w gromadę ptactwa, które zerwało się i jak chmura wicherzyć się jęło w powietrzu, wypełniając ciszę odludzia ponurym krakaniem. Pogroził im pięścią, mruknąwszy:

- Poczekajcie! Ścierwa wam nie zbraknie.

Dziś rano po raz pierwszy zabijał ludzi w walce. Wzrastała w nim zajadłość, gdy mijał spalone przez cesarskich osady. Zgliszcza dymity jeszcze. Jeno pogorzeliisko puste było, widać ludność na czas prze-

strzeżona uszła w lasy. W drugim zastał trupy, nadjedzone już przez wilki. Nad zwłokami niemowlęcia siedział beznamiętny pies i wznosząc pysk ku niebu wył przeraźliwie, jakby pomsty stamtąd wzywając psim głosem, gdy ludzkich już nie stało. Kosek zgrzytnął zębami i pognał dalej, jakby kogoś ścigał. Nie czuł znużenia, nie zatrzymał się nawet na nocleg, gdy zaszło słońce i pogodna noc legła nad krajem. Znał już okolice i nie zważając nawet na ścieżki, parł przed siebie. Świtało, gdy ostatnim tchem dotarł do Moczydła. Pierwsze dymy wznosiły się już ku pogodnemu niebu, ale spokój tu panował i cisza, jakby nigdzie na świecie nie było wojny i zniszczenia. W progu chaty natknął się na ojca.

- Wróciłeś? To i dobrze, bo nie wiada, w co prędzej ręce włożyć. Zmamiłeś się - dodał, patrząc na zapadnięte policzki i zaczerwienione z bezsenności oczy Koska.

Matka, posłyszawszy głos syna, wybiegła witać. Oddała jej uścisk i powiedział:

- Jeść dajcie i na drogę przyszykujcie, bo zaraz nam dalej.

- Gdzie dalej? Spoczniej, a potem siano zwieźć trzeba, póki sucho - rzekł Rasko.

- Wždy wojna. Co tam siano! Za cesarzem nam ciągnąć na Głogów, bo nie utrzyma się gród bez pomocy.

Wszedł do izby, a rodzice za nim. Rasko usiadł i, patrząc na syna, odezwał się spokojnie, chociaż czuć było, że mu gniew ściska gardło.

-Co ci o siano?! Gadziny bez zimej tym, co masz we łbie, nie nakarmisz. Pusty żłób będzie gryzła? Dawnoś do lasu uciekał, by na rok do Bytomia nie iść? A ninie o Głogów się troskasz. Myślałby kto, żeś wielkorządcą śląskim ostał.

- Głupi byłem. Nie ostałem ci śląskim wielkorządcą, jeno widziałem, jak Niemce sobie poczynają, gdy siły na nich nie ma. Ni dzieciom nie przepuszczą.

- Głupiś był i głupiś ostał. Pracować ci się nie chce, ino by cię nosiło. A na przednówku korę będziesz jeść miast chleba. Tańsza twoja skóra niż barania, nikt ci za nianie nie da.

- Toś ty głupi - odezwał się z kąta głos Sapka - skoro siano masz w głowic, gdy o życie sprawa.

- Jeszcze nie o nasze - odburknął Rasko, ale dziad zeźlił się:

- Czekaj, aż o twoje będzie! Cały kraj zniszczą, jeno Moczydło ostanie. Gębę trzymaj, niech Kosek prawi, z czym przyszedł.

-Kazał komes Falisz narocznikom wsie podnieść i za cesarzem ciągnąć, spyżę mu odcinać i spokoju nie dawać.

-Nie masz takowej powinności, i ja nie pójdę - ze złością wtrącił Rasko.

- Ostań! Ja pójdę - odparł Sapek i jał wkładać chodaki. Do Bogudara zaś, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, powiedział:

- Skocz zwołać chłopów. Powiedz, że wieści są o wojnie i rozkaz od komesa.

Siedzieli w milczeniu i Kosek pożywiał się łapczywie. Przed domem słychać było głosy gromadzących się już ludzi. Sapek powiedział do wnuka:

- Pójdzi! Opowiesz, coś widział i słyszał.

Kosek stanął przed zgromadzonymi nieco zmieszany. Ale gdy zaczął opowiadać o walce pod Bytomiem i okrucieństwie cesarskich wojsk, rozognił się i zakończył:

- Kazał komes Falisz iść na Niemca. Ojciec prawi, że nic masz takowej powinności. Chcecie, to pójdźcie ze mną, nie - to pójdę sam.

- Poszedłbym - kręcąc brodę, powiedział najbliższy stojący Żuk. - Jeno jak baby ostawić same bez pomocy w żniwny czas, a dziatki bez osłony w wojenny?

- Rasko ostanie - rzekł Sapek drwiąco. - Ja idę za niego, bym się wstydać nie musiał. Ręce mam zgrabiałe, aleć nie jeno ręce na wojnie, potrzebne. Niejedno widziałem, przydam się.

- Wszyscy pójdziem! - krzyknął młody Węza, który narocznikiem był w Bytomiu. - Stary Sapek wie, co robi, nic nam się mądrzyć.

- Rasko ostanie - powtórzył Sapek, patrząc na syna. - On ma swój własny rozum... siano zwieźć musi.

- Nie ostanę! - krzyknął Rasko ze złością.

- Czemuż to się rozmyśliłeś? Cóż Śląskowi do Polski, Moczydłu do Śląska, a tobie do Moczydła? Póki ci własny dach nad głową nie płonie, śpijże se pod nim, gdy głupi wojują.

- Ostawcie, ojciec! - zachnął się Rasko, - Z gromadą pójdę...

-Widzisz! Z gromadą. Nawet owce łącniej się w stadzie wilkom obronią. Tym łącniej, im gromada większa. Tedy gotować się wszyscy. Kto topór ma, z toporem, kto widły - z widłami. Choć i kij sękaty lepszy niż goła pięść. Jutro o świcie ruszamy.

Zgromadzeni zaczęli się rozchodzić. Baby podniosły lament, ale nikt na to nie zważał. Wieścina zapłakana wzięła się do wypiekania chleba, by swoich zaopatrzyć na drogę. Rasko burknął zły:

- Nie becz. I tak ci lepiej będzie niż innym, co same ostaną. Ojciec ci pomoże.

- Ojciec nie pomoże - odezwał się Sapek - bo idzie takoz.

- Wždyście za mnie iść mieli...

- A tak pójdę z tobą...

Rasko wzruszył ramionami i dodał:

- Bogudar ostanie. Byście siano zwieźli...

- Pójdę i ja - rzekł Łuzyczanin cicho.

Rasko skręcił się ze złości.

- Nic ci komes nic ma do rozkazywania, boś obcy.

- Swój jestem - szepnął Bogudar.

- Tak mi za chleb płacisz? Teraz, gdyś najpotrzebniejszy?!

- Wybacz! Krew drozsza od chleba. Za nią mi naprzód odpłacić.

- Dużo ty Niemcom udziałasz! - rzekł Rasko lekceważąco.

- Ile wydolę.

Nazajutrz wschodzące słońce widziało ciągnące zewsząd gromady. Sunęły cicho jak wilcy za konnym rycerzem, który się w ich dziedzinę zapuści, czujne i baczne, kiedy zachwieje się w siodle, by skoczyć mu do gardła.

## IX. NAD SIŁY

Po żmudnym i znojnym dniu Przedślaw szedł nad Odrę. Z grodu skrzęt jeszcze dochodził, ale na rzece zaciągał się już spokój wieczorny. Fioletowomiedziany pas oparów na zachodzie, przechodzący tęczą żółtych barw w zielonkawy błękit letniego pogodnego nieba, kładł się odwróconym porządkiem na rzece, jeno zmacony i drgający. Przeciwległy brzeg ciemniał wraz z niebem i zdał się odsuwać w mrok. Z rzadka zamrugąła budząca się gwiazda i coraz wysypywały się dalsze, aż niebo roziskrzyło się jak ciemny kobierzec zarzucony klejnotami.

Komes patrzył na niebo, ale nie gwiazd tam szukał, jeno oznak, czy deszcz nie nadchodzi. Rzeka od wczoraj znowu obniżyła swe zwierciadło, a mury jeszcze się nie podniosły, ani serca. Krzywiono się na surowość i wymagania komesa, do których nikt nic nawykł; w dusznym skwarze za ciężko było noc po nocy pracować. Nawet dzieci Przedślaw nie zwolnił, choć one jeszcze najchętniej taplały się od rana w bajorze, wyczerpując muł, który spłycił strugę chroniącą gród od zachodu. A Zdzych i jego towarzysze po staremu się włóczą!

Włóczą się? Zdzych wieści miał przywieźć i nie wraca. Przecie wojna idzie, kogoś Przedślaw musiał wysłać. A to chłopak bez doświadczenia, dziecko prawic! Niepokój wzrastał w piersi ojcowej. Senność ogarniała komesa po nie spanej nocy i mozolnym dniu, ale tkwić będzie na pomoście przystani choćby do rana. A rano? Rano trzeba dalej poganiać ludzi, by zwozili kamień na naprawę murów i na pociski do kusz, cięli tramy na częstokoły i belki do zrzucania na oblegających, ostrzyli broń i przygotowywali bosaki do spychania nieprzyjaciół pnących się na mury. Stary znów tęsknie spojrzął na niebo, czy nie dostrzeże chmurek i oparów zwiastujących deszcz. Wolałby już, by go łamało w obciętej nodze, ale jak na złość nic boli nic, a niebo czyste i głębokie. Jeno te gwiazdy mrugają, dalekie, obojętne...

Nagle zabłysło coś i granat nieba przekreśliła jaskrawa smuga błasku, która trwała przez chwilę, coraz to słabnąc, aż wtopiła się w mrok. Gwiazda spadająca! Czyja? Przedślaw spojrział, czy nie brak którejś, ale kto by się rozeznał w tym mrowiu! Może to jego gwiazda? Burknął pod nosem słowa od uroku, ale niepokój pozostał. Gęsto zwykły spadać gwiazdy o tej porze, ale i na wojnie niejedną położył głowę; byle nie Zdzych! Stary sam przed sobą przyznać nie chciał, że o nim pierwszym pomyślał, ujrawszy spadającą gwiazdę. Splunął jeszcze dla pewności i nadstawił ucha, czy nie posłyszyci chrobotu wiosła. Księżyc dźwignął się na nieboskłonie i pojaśniało na rzece, ale nic widać na niej nie było. Przedślaw westchnął.

Nagle wyteżył słuch i wzrok. Zamajaczyło coś na południowym brzegu i jakby głosy jakieś doszły komesa. Upewnił się zaraz, gdy zadudniły na moście kopyta jednego, dwóch, potem wielu koni. Nie wrogi przecie, bo straża stoi za mostem. Kto by mógł być?

Zatrzepotało serce w starej piersi i sfolgowało. Poznał głos syna, a za chwilę i jego jasne kędziory, które załśniły w księżycowym świetle. Doszedł też Przedślaw jakiś obcy, dźwięczny, męski głos. Komes ruszył naprzeciw i zaraz usłyszał słowa syna:

- To rodzic! Mówiłem, że spać jeszcze nie będzie. Wraz się rozmówić możecie.

Byli tuż. Obcy zeskoczył sprężysto z konia i stanął przed komesem. Rosły był, gibki w pasie, w barach szeroki, choć na twarzy ledwie wąs mu się wysypał. Skłonił się przed komesem i wesoło zaczął:

- Jam jest Bogusław Bończa z Sulikowie. Syna wam odwożę, ale prawdę rzec, zabrać go chciałbym. Lecz o tym później. Posiłki przywiodłem, które cesarskim w oblężeniu przeszkadzać mają, nim księżę nadciągnie.

- Zwólcie do dworca - odparł Przedślaw. - Spoczniecie i pożywicie się, a ja tymczasem starszyznę zwołam na naradę.

Z ciekawością patrzył przy tym na młodego, ale sławnego już woja, którego wyrostkiem pamiętał z czasów kołobrzeskiej wyprawy.

- Pożywię się chętnie, bom zgłodniał, ale spocząć nie czas. Ino pa-trzeć, jak będziecie mieli nieproszonych gości - odparł Bogusław.

Ruszyli ku dworcowi komesa. Przedślaw szedł, trzymając rękę na ramieniu syna, jakby się chciał upewnić, że wrócił i że mu nie ucieknie. A Bogusław prawił:

- Dalibyście mi chłopca! Wkrótce z cesarskimi tańcować nam przyjdzie, a Zdzych każdą dziurę zna i po ćmie prowadzi jak we dnie. Przez cesarskie wojska nas przewiodł.

Poklepał chłopca po ramieniu i dorzucił:

- Będzie z niego wojak, jakich mało.

Pierś Przedślawy podniosła się dumą, nie mniej niż Zdzychowa, ale zarazem niepokój go przeniknął. Z młodych lat pamiętał, co to tańcować z małym oddziałem pod wielkim wojskiem. Nic dla chłopca to zabawa, jeszcze takiego jak Zdzych: zuchwałego a niedoświadczonego. By ominąć odpowiedź, bąknął:

- Co ta dzień chwalić przed wieczorem? Dużo wojów przywieśliście?

- Trzystu. Ale chłopcy na schwał.

- A cesarz ilu ma?

-Z dziesięć tysięcy - zaśmiał się Bogusław. - Ilu to na jednego? Ale nic to, my w swoim kraju rąk najdziem dość, jeno nie ma co w nie włożyć.

- Wy choć konie będziecie mieć pod sobą, a las za płccyma. A my jako gwóźdz w ścianie.

Bogusław spoważniał i zapytał:

- A jakoż w grodzie?

- Co mogę, robię. Ale czy się utrzymam, nie wiem. Ludzie zależeli pole, częstokół i mur niedzisiejsze, zmurszały, a najgorzej, że woda opadła. Brodów musiało przybyć i rów od zachodu niemal wysechł.

Bogusław odparł dość twardo:

- Księżę nakazał, by gród utrzymać, póki on nie nadciągnie.

- A kiedy nadciągnie? - zapytał, również sztywniejąc, Przedślaw.

- Gdy jeno nadąży. Wojska ma pomęczzone, bo z wojny przecie idą. Choć rany przyschną im muszą. Może nadciągnąć za niedzielę albo dwie, a cesarz może być jutro... albo i dziś - dodał, spoglądając na niebo - bo Kurki już wzeszły.

Weszli do domu Przedstawowego i wszczął się ruch. Bogusław jadł, co było pod ręką, nie chcąc nawet na uwarzenie stawy czekać, towarzyszy zaś wysłał gród obejrzyć. Przedstaw chmurny był i sapał gniewnie. Wodza mu tu przysłało! Nie wytrzymał wreszcie i wygarnął:

- Ukrywać nie mam co, jako jest na grodzie, ale ja wam ludzi waszych nie oglądam.

- Obejrzyjcie - spokojnie odparł Bogusław. - Razem grodu bronić mamy, zda się wiedzieć, na co liczyć można.

- Razem, nie razem - burknął Przedstaw gniewnie. - Wy zrobicie, co wydolicie, a czego nic, to nie. A ja, wydolę czy nie wydolę, siedzieć muszę... Tedy wam łącno rzec, że gród winienem utrzymać.

- Mnie księżę za wykonanie rozkazu odpowiedzialnym uczynił, tedy zrobię wszystko, póki nie lęgniem do ostatniego.

- Możecie lec, bo mężów jeno macie, a nie baby i dzieci jako ja.

- Baby i dzieci jeden żywot mają, jak i każdy z nas. Ale rozumiem, że serce mężom i ojcom mogą odbierać. Tedy ja tu ostanę grodu bronić, bo tak mi księżę rzekł: „Pomiarkujesz, że w Głogowie wszystko, jak należy, z pola będziesz pomagał, pomiarkujesz, że nie, sam się masz tam zamknąć”. Każcie zwołać starszyzną, by wiedzieli, żem ja tu wódz, i by rozkazy odebrali, bo ino patrzeć, jak się zacznie. A oto sygnet księżęcy na znak, że w księżęcia imieniu mówię.

Przedstaw wstał. Czerwona jego twarz uczyniła się purpurowa. Zdało się, że go krew zaleje.

- Mnie to mówicie, com już ludzi wodził, gdy wam matuś nos i zadek ucierała! Lec potrafię, tak jako i wy. Chyba mnie związać każecie, jeśli się dam, bo pókim żyw, jam tu wódz i nikomu nie ustąpię.

Zdzich słuchał, zmartwiony. Żal mu było ojca, a polubić już zdołał wesołego Bogusława, który zdał się wojnę mieć za zabawę, choć wiedział, że o życie gra. Chłopak chwycił ojca za rękaw, szepcząc:

-Ojciec! Co wy?

- Precz, szczeniaku! Jajo od kury mędrsze! Ktom jest, pokażę...

Bogusław nad podziw spokojnie odparł:

- Tedy się raduję, że pewni siebie jesteście. Księżę wielce was poważa, ale wie, że starość i kalectwo marni na wojnie towarzysze.

- Na wojniem się zestarzał i z wojnym kalectwo wyniósł, tedy i życie mogą na niej położyć. Jenom nie myślał, że mnie księżę na wyraj tu ustanowił, jako okulałego konia... - głos się załamał staremu.

Bogusław wstał i odparł z życzliwością:

- Wierzę, że grodu nie poddacie, a o to jeno idzie. Tedy ostańcie na dowództwie i zaufajcie mi, że pies prędzej pozbędzie się kleszczy, niż cesarz się ode mnie odczepi.

Z żalem spojrzął na Zdzicha stojącego u drzwi w pomieszczeniu i skłoniwszy się, wyszedł. Za chwilę tupot kopyt oznajmił, że odjechał wraz z towarzyszami. Przedstaw odetchnął, ale się nie rozchmurzył. Głęboko go dotknęły wątpliwości księcia, a zarazem wiedział, że wziął na siebie ciężar, któremu może nie wydołać.

Radka, która z sąsiedniej izby przysłuchiwała się zajściu ze ściśniętym sercem, weszła cicho i dzban piwa postawiła na stole. Przedstaw przygarnął dziewczynę, tuląc jej głowę do swej twarzy. Czuł, że niepokój o dzieci nic podnosi w nim serca. Wiedział, jaki jest los bezbronnych w zdobytych grodach. Z westchnieniem wstał, by obejść straż. Do ciężaru lat i kalectwa przybyło jeszcze brzemień odpowiedzialności nad siły. Bronić się wydoli dzień, dwa, może trzy. A potem?

Odegnął od siebie myśli czarne jak kruki.

## X. PRÓBA

**L**edwie Przedślaw usnął o świcie, ktoś zaczął go trącać. Z trudem rozwarł oczy. Stał przed nim setnik Janik Jaksza i wołał: - Zbudźcie się! Zacznie się chyba!

Zerwał się Przedślaw i wyszli ku wałom. Idący na jutrznię ludzie zawracali szybko. Zza rzeki docierał gwar jakby odległej bitwy. Stary posłuchał przez chwilę i mruknął:

- Musi Bogusław cesarskim przeszkadza, że strażą się zwodząc.

A zwracając się do Jaksy, rozkazał:

- Lud z podgrodzi ściągnąć, dyłowania z mostu zdjąć i co żyje, do roboty na wały... póki spokój jeszcze.

Ale niewiele spokoju już było. Wkrótce po wschodzie słońca zaroilo się błonia na lewym brzegu rzeki ludem pieszym i konnym. Dochodzili na dwa strzelania z łuku i stawali obozem. Rozbijali namioty, rozpalali ogniska. W świetle pogodnego poranka policzyć ich było można jak na dłoni: mrowie!

Przedślaw stał na południowej bramie od strony przystani i patrzył chmurnie. Widać było, jak gromady pieszych z toporami pod wodzą dziesiętników szły ku lasowi na Kocich Górach, widno drzewa ciąć na tratwy, mosty i oblężnicze maszyny. U przeciwległego przyczółka mostu ukazała się gromadka jezdnych. Stanęli i jeden z nich, w pozłocistej zbroi, coś mówił do innych, pokazując ręką na gród. Pewno sam cesarz. Przedślaw patrzył na niego przekrwionymi oczyma. Stary kaleka, bez lęku podjąłby walkę z tym młodym człowiekiem. Obrona jednak grodu przed jego wojskami nie w siłę zadanie! Splunął, odwrócił się i odszedł, by doglądać ostatnich przygotowań do obrony. Ani chybi, cesarz wydawał zarządzenia do natarcia.

Dzień znowu zaczynał się żmudny i znojny, ale podniosło się serce w Przedślawie na widok gorliwości, z jaką kto żył, bez różnicy wieku i stanu, od starców do niewiast i dzieci, gotował się do oblężenia. Na

wałach czekali już woje w sprawie, pożywając się na miejscu. Wolna przestrzeń między umocnieniami a pierwszymi domami roila się od ludu, który z podgrodzi i sąsiednich osad ściągnął pod osłonę grodu. Ustawiono beczki ze smołą, kadzie z wodą, sterty paliwa, kupy kamieni. Dzieci i baby znosiły całe naręcza bosaków i strzał, mężowie zwłóczyli na wały głazy, belki i pnie nabijane gwoździami, pod ścianami domów moczyły się szmaty i stały wiadra do gaszenia ognia.

Komes zwrócił się ku zachodniej stronie grodu, gdzie jeno ostrokół i mur broniły dostępu, bo przykopa, napelniona wodami rozlewisk Odry, wyschła niemal, a leżące za nią bagnisko, w zwykłym czasie dla obcego nie do przebycia, teraz świeciło w słońcu zrudziałą szczotką zeschłych trzciny i szuwarów. Oto największa troska. Dawno z tej strony nikt częstokołów ni murów nie poprawiał. Robiono to teraz na gwałt, w obliczu nieprzyjaciela.

Przedślaw stanął przy wieży nad furtką i patrzył chmurnie na wyschłą przykopę. Zazwyczaj przepływała nią dość bystra struga z północnego ramienia rzeki do południowego, zdolna unieść rzucone w nią belki i faszyny. Ninie ledwo sączyła się nitka wody lub drzemały stawki w miejscach, gdzie rów został pogłębiony. By pogłębić go na całej długości, trzeba dwóch niedziel czasu! A tu nie ma może i dwóch dni.

Do wieczora jednak nic zaszło nic nowego, a zrobiono sporo przy umacnianiu wału i częstokołu od zachodniej strony. Komes, cokolwiek uspokojony, odszedł spocząć, bo utrudził się, a na jutro sił mu było potrzeba. Janikowi dozór powierzył i kazał się budzić o drugich kurach. Nad ranem, gdy pora do uderzenia najsposobniejsza, wołał sam być na wałach. Odchodząc, zapytał o Zdzicha, który mignął mu kilka razy w ciągu dnia przed oczyma, ale go nie było. Chłopak wyszedł mu już z ręki zupełnie. Nie czas teraz myśleć o tym! Przedślaw położył się spać.

Pyzaty księżyc wisiał nad grodem i zaglądał do każdego zakątka, wypłaszając cienie, które kryły się przed nim za coraz to inne załamy



murów i budynków. Gdy przejrzał wszystko, pochylił się ku zachodowi, zdradził stanowiska straży cesarskich, posrebrzając ich pancerze, po czym zatoczył się za Kocie Góry i poszedł spać, bo do świtu nie było już daleko. Tymczasem pociemniało i senność ogarniała wojów czuwających na wałach w ciszy przerywanej jeno kwileniem czajek na bagnach.

O tej porze największą czujność należy zachować. Dlatego Janik, choć kury już dawno piał, nie posłał budzić Przedśława, lecz sam postanowił wałami obejść gród aż do dworca komesa. Kroki jego dudniły w ciszy, ten i ów ze straży prostował się przed nadchodzącym, by okazać, że czuwa. W pewnej chwili Jaksa przystanął. Zwróciły jego uwagę liczniejsze i niespokojne krzyki czajek, jakby ktoś je spłoszył. Stał za załamek muru koło wieży i czekał. Po chwili upewnił się, że bagnem ktoś idzie. W ciszy słychać już było szelest zeszlých szuwarów, jeno ciemność nie pozwalała dostrzec nadchodzących. Nie mogło ich być wielu. Janik czekał spokojnie, od wypadku łuk położywszy na przedpiersiu. Wreszcie ujrzał, że dwa niewielkie cienie przebrnęły rów, przemykały się jak węże przez szczybę w częstokole i wspinać się jęły po murze jak koty. Janik postąpił cicho parę kroków i za chwilę tuż koło niego wychyliły się nad blanką dwie głowy, ciemna i jasna.

- To wy, włóczęgi! Żeby tak kto płochniwszy, z łuku by was ustrzeżił, nie bacząc kogo. Gdzie się wałęsacie? Wojna przecie i niczego bez rozkazu czynić nie wolno. Ojciec się pytał o ciebie - dodał, zwracając się do Zdzicha.

Chłopak poskrobał się po czuprynie i mruknął:

-Niechta! Zawinili my czy nie, ale dobrze, żeśmy poszli. Cesarskie się przez rzekę przeprawiają w klin.

- Co prawisz? - syknął Janik niespokojnie. - Wždy brodu tam nigdzie nie ma, a trawę, ile trzeba, nie mogli jeszcze narządzić, i brzegi przepadliste.

- Były, ale nie są. A brodu nie było, ale jest. Ani chybi uderzą. Na własne oczy my cesarskich widzieli.

Jakby na potwierdzenie Zdzichowych słów rozległy się dalekie wrzaski, odgłosy bitwy. Janik nasłuchiwał przez chwilę i rzekł:

- Pewnie znowu chłopci ich niepokoją albo Bogusław im przeszkadza. Ale co zrobią?! Jeno zamieszania trochę. No, młodziki, wy teraz spać, a obudźcie komesa i starszyznę. Ino patrzeć, jak uderzą. Łebski z ciebie pacholek - klepnął Zdzicha po barku. - Szkoda, żeś jeszcze za młody. Sposobność idzie niejednemu wsławić się, a z ciebie wojak będzie na schwał, bo głowę masz i serce.

- Mirek też - rzucił Zdzich rad z pochwały, ale nieco zmieszany, że jemu tylko przypadła.

- Ze wszystkich twoich urwisów woje będą, jak się patrzy, ale nie stać mi tu, jeno robić, co kazałem - fuknął Janik.

Chłopców jakby wiatr zmiótł. Jaksa patrzył za nimi i bąknął pod nosem:

- Niech jeno głowy stąd wyniosą, bo zda mi się, trudno będzie.

Przedśław kuśtykał ile sił ku baszcie nad zachodnią furtą. Ranek wstawał chłodny, niebo już zbiałało, a na wschodzie rozlewała się zorza, różowozłotym światłem nasycając opar ciągnący od rzeki. Stary wspiął się mozolnie na chodnik muru i zdyszany stanął koło Janika. Ludzie nadciągali zewsząd, ale prócz tupotu nóg po dranicach nic było nic słychać. Słyszał jeno każdy własne serce bijące przyspieszonym tętnem, jednym z ochoty, innym z niepokojem. Garść przeciw nawale!

Komes stał przybrany do boju, tyle że bez tarczy, bo w lewej ręce dzierzył kostur, bez którego trudno mu było się ruszać. Choć pancerz przyciasny był już na niego, Przedśław jakby odmłodził. Rozlaną trochę twarz zakrywała żelazna siatka spływająca ze spiczastego hełmu, na którym wymalowany był rodowy Łabędź. Oczy bystro spozięrały spod okapu, ogarniając moczar na przedpolu, jakby chciały przebić mgłę, która kryła nadchodzącego wroga. Komes odezwał się do Janika:

- Pilnuj mi przyczółków, by nam stamtąd nie zagrozili. Młodyś, to możesz skakać, gdzie trzeba. Ja już tu ostanę.

Ruszył wzdłuż muru, patrząc, czy gotowe wszystko. Tu i ówdzie uwagę jakąś rzucił, tam zaklął, ale spokojny był i zdał się pewny siebie. Pewność ta udzielała się ludziom. Czekali napięci jak cięciwy olbrzymich kusz i proc, które miotać miały na wroga głązy i belki. Ku pogodnemu niebu wznosiły się dymy, jedne czarne i gęste z beczek ze smołą, drugie błękitnawe, półprzejryste z ognisk rozpalonych pod kotłami z wodą na przyjęcie ukropem nacierających. Dymy rozrastały się wysoko w górze w pióropusze i zazłociły się od pierwszych promieni słońca.

Zdzych z towarzyszami przyczaił się u stóp muru. Bał się, że gdyby ich ojciec dostrzegł, odpędzi. Ale jeno komes przeszedł, dźwiękając zbroją, Zdzych jak kot smyrznął na mur i spojrział.

Nieprzyjaciel dochodził już na strzelenie z łuku. Szedł ławą szeroką, niosąc przed sobą płotki plecione z łoży i trzciny dla ochrony od pocisków, dźwigając długie drabiny, po których na mury pięć się mieli wojownicy. Dalsze szeregi ginęły w rzadziejącej mgłę. Ale chmary szły. Widno cesarz postanowił spróbować, czy liczbą nie zgniecie oporu od jednego uderzenia.

Nadchodzący zatrzymali się, by nabrać oddechu przed natarciem i jednym skokiem przebyć przestrzeń leżącą pod obstrzałem pocisków. Zdzychowi serce skakało. Czemu nie zaczynają? Nagle, nic wiedząc sam dlaczego, krzyknął:

- Bywajcie! Śniadanie dla was gotowe! Jakby ktoś rozdarł napiętą do ostateczności płachtę ciszy. Wrzask runął z tysiąca gardzieli i rozbił się we wrzawę nieustającą. Zawarczały puszczone z kusz kamienie, zagwizdały strzały, z furkotem poleciały na oblegających belki, ale nacierający nie czekali i co sił kopnęli się ku częstokołom.

Wstrzymała ich na chwilę błotnista przekopa i niejedyn tam legł w mule, a sączącą się rowem strugę zabarwiła krew. Ale już jedni przeszli, a nadchodzili drudzy. Zatrzeszczały łamane i rąbane częstokoły. Chwila jeszcze, a dostawili drabiny i pięć się jęli na mury. Groźba zawisła nad grodem.

Starszyzna, przekrzykując gwar bitewny, wydawała rozkazy, by rażać jeno najbliższych, bo rąk nie stało do spychania drabin, spuszcza-

nia na pnących się belek i głązów, lania płonącej smoły i wrzątku. Z polskiej strony przestały lecieć pociski na dalsze szeregi niemieckie, za to na obrońców sypnął się grad strzał. Stojący koło Zdzicha wojak nagle ręce rozłożył, postąpił trzy kroki w tył i runął w dół jak wór. Jeno gdy leciał, Zdzych zobaczył tkwiącą w oku poległego strzałę. Spojrzał pod mur i dostrzegł, że niejedyn już tam spadł. Baby odnosiły rannych, zabici leżeli jak ryby, które zostawi na łasze z nagła uciekająca woda. Zdzych, rozogniony, pomagał dźwigać belki i głązy, wciągać na mury kotły z wrzątkiem i smołą. Pot zalewał mu oczy, spieczone wargi łąpały oddech, ale zapamiętał się w walce. Nagle poczuł, jak go chwyciła dłoń jakaś, i ujrzał nad sobą ojcową twarz. Chciał się wyszarpnąć w obawie, że rodzic każe mu zejść z murów, ale przez gwar usłyszał wyjęzony i zdyszany głos:

- Leć no co duchu do Jaksy. Jeśli indziej nie nacierają, niech bieży ze wszystkimi tutaj. Ino patrzeć, jak wedrą się na mury.

Zdzych, jak stał, skoczył z dwusążniowej wysokości i popędził, roztrzaskując ludzi po drodze. Na pierwszym skrzyżowaniu uliczek wpadł niemal na Jaksę. - Dokąd pędzisz? - zagadnął go wojak.

- Po was! Bieście ku ojcu ze wszystkim, co macie. Źle jest!

Jaksa chciał jeszcze o coś zapytać, ale Zdzicha już nic było. Dopadłszy muru, stanąć musiał na chwilę, bo tchu mu brakło. Napił się ciepłej, obrzydliwej wody, grzejącej się w kotle, i skoczył pomagać, jak dotąd, w spuszczeniu na wroga kłód i kamieni. Dostrzegł, że ciskano już ostatki. Chwycił porzucony przez rannego czy poległego miecz; czuł, że nadchodzi rozstrzygnięcie.

Jakoż ujrzał, jak na odległym o kilkadziesiąt kroków załamie muru zamigotały miecze w słońcu. Chciał skoczyć w tamtą stronę, ale w tej właśnie chwili stojący przy nim wojak, który bosakiem silił się odepchnąć od muru drabinę ze wspinającymi się po niej wrogami, zwinął się i padł, obalając Zdzicha. Nad blanką muru ukazała się tarcza z wymalowaną wieżą i tęgi z rudą brodą rycerz przesadził blankę. Na swoje nieszczęście potknął się o leżące zwłoki i zatrzymał na samej krawędzi chodnika, chwytając równowagę. Zdzych jak kot skoczył mu na piersi, wojak jednak zdołał chwycić chłopca ręką i obydwaj runęli

w dół. Niemiec upadł na płask i leżał bez ruchu, ale i Zdzych, choć zwałił się na niego, stracił oddech od uderzenia i dźwigał się z trudem. W górze postyszał wrzaski. Na murach cięto się mieczami. Obejrzał się z rozpaczą i odetchnął lżej. Od domów pędził Jakska na czele kilkudziesięciu zbrojnych. W mgnieniu oka dopadli schodów wiodących na mur. Zdzych usiadł. Czarne płaty zawirowały mu przed oczyma.

Gdy się ocknął, zdało mu się, że ogłuchł. Po nieustającej wrzawie, jaka od rana biła w niebo, zapanowała cisza. Nad nim stał Janik. Gdy ujrzał, że Zdzych oczy ma otwarte, zaśmiał się bez troski. Śmiech ten poderwał Zdzicha na nogi. - Co się dzieje? - zapytał.

- Ano, na dziś, chwalić Boga, dość będzie. A ty jeńca wzięłeś - pokazywał rudego wojaka, obranego już ze zbroi, ze związanymi rękami, który ponurym i niespokojnym wejrzeniem mierzył stojących dokoła wojów i baby. - Zbroja łupem ci się należy, ino daj Bóg doczekać, by w sam raz na ciebie była. Pójdź! - pomagał dźwignąć się Zdzychowi. - Dziś już, zda się, spokój będzie, komes także wypocząć odszedł i starszyźnie przyjść kazał na naradę. A twoja drużyna gdzie? - zapytał.

Zdzych poczerwieniał i odparł, zacinając się:

- Ani wiem. Potraciłem ich z oczu.

- Widzisz - zaśmiał się Jakska. - Cóż za wódz, kiedy nie wiesz, co twoi ludzie w bitwie robią? Ale się pociesz. Walnie pomagali! Nie wiem, czy i który nie oberwał, choć takiego najtrudniej trafić, bo mały i kręci się jak fryga.

Zdzych wyszarpnął się z ręki Jaksy i rzucił:

- Polecę obaczyć!

- A przychodź zaraz! - krzyknął za nim Janik. - Do starszyny należysz.

Zaśmiał się wesoło.

## XI. POKUSA

Gdy Jakska nadszedł, narada już się rozpoczęła. Dzień skończył się pomyślnie, straty wroga były ogromne, ale przy jego mnogości niewielkie w porównaniu z tymi, jakie poniosła szczupła załoga grodu. Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a nie będzie kim odpierać nawały, zwłaszcza gdyby cesarz uderzył ze wszystkich stron naraz. Przedślaw milczał ponuro, gdy inni nalegali, by wszcząć układy z cesarzem. Może godzi się, by woje z grodu wyszli, a mieszkańcom żywot i mienie zapewni, choćby się opłacić przyszło. Janik osowiał. Nic lubił myśleć o jutrze, a trzeba było. O głos poprosił.

- Jest tu gdzieś Bogusław ze swoimi. Niechby się w grodzie zamknął. Trzystu takich wojów nie byle siła, a tu oni potrzebniejsi.

- I wodza będziecie mieli, nic kalekę - mruknął gorzko Przedślaw.

- Co zaś prawicie! - odparł Janik żywo. - Jeno dowodzić trzeba mieć kim.

Posypały się zdania, ale przeważało Janikowe: słać do Bogusława, by choć część swych ludzi dał, póki cesarz nie opaszc grodu i nie odetnie dostępu. Przedślaw zgodził się, powstało jeno pytanie, kogo słać i gdzie szukać Bogusława. Mógł być na prawym i na lewym brzegu, w górze lub w dole. Wstał Wyżga, który dotychczas wojakom w sprawę się nie mieszał, mówiąc:

- Urwisy nasze do tego najsprawniejsze. Pływają jak szczuki, a dziurę każdą znają na kilka dni drogi dokoła.

- Zdzych pójść nie może - odezwał się Jakska - bo potłuczony. Śmiejąc się, opowiedział o wzięciu jeńca przez chłopaka i zakończył, zwracając się do Wyżgi:

- Wasz Mirek niech idzie, jeno się ściemni, skoro tak radzicie.

- Niech idzie - bąknął pleban - jeno moja baba niech nie wie, bo jak kura nad kaczetami się rozgdacze.

Stanął na tym i Przedślaw raźniej jął rozkazy wydawać, by ściągnąć pozrzuć głązy i belki z przedpoła, a częstokół jak się da naprawić, gdy rozległ się tupot nóg w sieni i do izby wpadł Zdzych z wypiekami na twarzy.

- Poselstwo od cesarza! - zakrzyknął.

Zerwali się wszyscy. Widno i cesarzowi nie w smak był dzień dzisiejszy, kiedy gadać chce z obłązonymi.

Przedślaw stał z twarzą wyrażającą niepewność i udękę. Nadchodziła pokusa i próba. W sieni zadźwięczały zbroje, drzwi stanęły otworem i ukazał się wojak, który przywiódł poselstwo, mówiąc:

- Graf Wiprecht z Grojca od cesarza Henryka do komesa Przedślawia.

Do świetlicy wszedł rosty, niestary jeszcze mąż we wspaniałej zbroi i okiem potoczył dumnie po obecnych. Potem od stóp do głów zmierzwił Przedślawia i rzekł z drwiącym uśmiechem po polsku:

- Zgaduję, że z komesem tego grodu mówię. Widzę, że się łąco dogadamy, bo nie do wojny wam.

Przedślaw poczerwieniał i odparł gniewnie:

- Jeno uciekać nie mogę, bić - mogę jeszcze, jakoście pewnie dziś pomiarkowali.

Wiedział, że graf jest potężny, krewniak polskich i czeskich książąt, który sam dwa tysiące ludzi przywiódł cesarzowi na wyprawę, ale zeżliło starego lekceważenie. Usiadł i dodał dumnie:

- Siadajcie i wy. Ninie mamy czas do jutra, tedy możem pogwarzyć, choćby o mojej nodze. Piwa się napijecie? Ciepło dziś było.

Bystry graf pomiarkował, że chybił, i z miejsca zmienił postępowanie. Uśmiechnął się.

- Jeno się dogadamy, chętnie się napiję z tak dzielnymi wojakami, których sam cesarz przychwalał, choć gniewać się mógł słusznie za nieposłuszeństwo i zuchwalstwo.

- Wojak zuchwały być musi, posłuszeństwo zaś swemu winniśmy książęciu, który nam grodu bronić kazał.

- I książę wasz winien cesarzowi posłuszeństwo, ale o tym, jako krewniak, z czystej życzliwości z nim samym mówić będę. A wy

tymczasem baczcie, byście nie rozsierzili cesarza, by ciężkich warunków nie postawił książęciu.

- Nie nasza głowa - odparł sucho Przedślaw. - Czego od nas żądacie?

- Byście gród poddali. Cesarskim słowem poręczam wszystkim odpuszczenie dzisiejszej winy, życie i mienie dla wszystkich.

Spod oka spojrzął na obecnych i zmiarkował, że słowa jego zrobiły wrażenie. Dodał z naciskiem:

-Naradźcie się. Jeno miejcie na pamięci, że jutro ze wszystkich stron uderzym. Sami wiecie, czy dużo wam brakło, byście dziś ulegli. Zratował was jen ten szaleniec, co dalszej przepawie przeszkodził. Ale jutro już was nie zratuje, bo go nie ma. A weźmiemy gród siłą, żywa noga nie ujdzie.

Przedślaw pobladł, inni zmieszani szeptać jęli między sobą, a Wiprecht rzucił od niechcenia:

- Tedy zda mi się, że możemy się piwa napić.

Napijcie się, a my tymczasem weźmiemy pod rozwagę, co nam czynić wypadnie. Radka! - zawołał. - Piwa przynieś grafowi.

Sam wyszedł przodem, a za nim inni. Usiedli w obszernej sieni i milczeli ponuro. Nikt nic spieszył się zabrać głosu. Pierwszy odezwał się Janik:

- Nie wierzę, by Bogusława w pień wycięto. Choć iście szaleństwo to uderzać w biały dzień na ubezpieczonego, a wielokroć silniejszego wroga, przecież ktoś musiał ocaleć. Tedy słać nam do niego, choćby po to, by się dowiedzieć, jako sprawy stoją. Wiprecht jawnie serce nam chce odebrać. Kto by tam cesarzowi wierzył, że naszej krwi szczędzi! Swojej żal mu popuścić.

- Juści! - ozwał się Wyżga nieśmiało. - Jeno że w to łąco uwierzyć, iż wołą tanio kupić niż drogo. A wy lepiej wiecie, zali wydolicie gród utrzymać.

- Nie wydolimy - ozwało się kilku jak jeden. Przedślaw rzucił gniewnie:

- Książę trzymać nam nakazał. Nie utrzymamy, nie nasza wina. Ale ja grodu nie poddam.

- Gdyby książę wiedział, jako jest, sam by poddać zezwolił.

- Prawda czy nieprawda, że Bogusław zniesiony, drugiego takiego dnia nie przetrzymamy - rzucił setnik Nieroda.

- Za księżęcia nie mówcie. Swoją rachubę mają, choćby to, że natniem cesarskich, nim gród wezmą. A darmo nie wezmą, jako tu stoję.

- Nie mówię za księżęcia, jeno myślę, że do niego nam słać, sprawę, jako jest, przedstawić.

Inni przytakiwać jęli gorliwie. Nie bali się śmierci, ale o niewiasty i dzieci im szło. Przedślaw przerwał:

- Ani wiada, gdzie księżę bawi, ani cesarz się czekać nie zgodzi.

Jaksa wmieszał się, mówiąc:

- Księżę przyjdzie, wiada, od północy, a prędko zwykł ciągnąć. Pomorze nie za światami, a cesarzowi czoło stawić musi co prędeej. Henrykowi też widno zaciężył dzień dzisiejszy, tedy i jutrzejszy nie po myśli mu, boby do nas nie słał. Pewnie zgodzi się na rozejm. A nam słać do księżęcia. Zezwoli, to gród poddamy, nie zezwoli - tedy i gadać nie ma o czym. Raz kozie śmierć!

Przedślaw wstał i zakończył:

- Da się zwłokę uzyskać, spróbować nic zawadzi, bo i tak myślę, że księżęciu o czas właśnie idzie. A nie uda się, będzie, co Bóg da. Chodźmy do grafa.

Wiprecht tymczasem siedział w świetlicy i, zadowolony z siebie, popijał piwo i zagadywał Radkę. Ducha pognębił w starszyźnie, a teraz próbował, czy z dziewczyny nie wyciągnie, jaki duch w grodzie i jakie straty. Ale dziewczyna, zapłoniona, bąkała półsłówkami. Tedy graf zwrócił się do Zdziecha, który z kąta jarzącymi się oczyma go śledził:

- Zgaduję, żeś syn komesa, bo do siostry podobnyś. Czemuż mi się tak przypatrujesz?

- Strasznie mi się zbroja wasza udała. Szkoda, że nie was w jeństwo wziąłem.

- Że nie mnie? Kogóż ty mogeś wziąć? Chyba takiego jak ty, ino że my takimi nie wojujem.

- A my wojujem. Juści, że rośłego woja wziąłem - odparł Zdziech, przybierając obojętny pozór - ino zbroję miał zwykłą. Wy ta na pewno na mury nie lezicie, tylko innych pchacie. A mój rodzic, choć ka-

łęka, sam walczy. Naprał waszych, ile wzło - powiedział chełpliwie na wiarę, bo w boju ojca nie widział.

- Zadzierzysty z ciebie kogutek - odrzekł graf, trochę podrażniony - ale z wysoka piejesz i trochę fałszywie. U nas też podrostki przechwalać się i zmyślać zwykli.

Zdziech zeźlił się i odpałił:

- U nas nie! A u was nie tylko podrostki. Graf zmarszczył się groźnie, ale pomyślawszy, że z nieletnim ma do czynienia, zaśmiał się z przymusem i odparł:

- W czymże to my się przechwalamy?

- Żeście Bogusława do szczętu znieśli. Dałby się wam! - odparł Zdziech pogardliwie.

Ani myśli nie dopuszczał, by nie miał już zobaczyć Bogusława, z którym polubili się od pierwszego wejrzenia. Graf zeźlił się nie na żarty, zarówno z powodu zuchwalstwa chłopaka, jak i dlatego, że potrzebne mu było, by uwierzono w zniesienie Bogusława, a chłopak mówił z taką pewnością siebie, że widocznie inne w grodzie mieli wieści. Burknął:

- Bo nikt tak prędko ścigać nie wydoli, jako on ucieka.

Ugryzł się w język, bo w złości wydał się z kłamstwem, może przedwcześnie, i rozeźlony krzyknął:

- Wynoś się!

Zdziech wykręcił się na pięcie i już go nie było. Śmiał się, że grafa pozłościł, ale rozumiał, że uzyskana wiadomość ważną być może. Skoczył do rodzica. Właśnie wychodzili do grafa. Prędko powtórzył swą rozmowę z Wiprechtem. Przedślaw jeno rzekł:

- Tedy twarzi być mozem.

Ale gdy szli, powiedział do Janika:

- Widzieli, jak szczwany! I po kim? Matka ciepłe piwo, a ja wojavać umiałem, ale tak objechać kogo bym nie umiał.

- Niechby dorósł... - odparł Janik zamyślony i urwał.

Ale Przedślaw nic nie odrzekł, bo już weszli do świetlicy.

Grat siedział zachmurzony. Zapytał szorstko i groźnie:

- Poddajecie gród?

- Nie! - odparł krótko komes.  
 Wiprecht wstał, jakby się zbierał do wyjścia. Rzucił:  
 - Namyślcie się jeszcze. Miłą macie dziewczeczkę i syn wam się udał. Szczerze by mi żal było, gdyby przez wasz opór zginąć musieli.  
 - Namyślać się nie mam nad czym. Książę grodu bronić kazali, tedy go będę bronił, pókim żyw.  
 - Żal mi was i waszych ludzi, których męstwo sam cesarz podziwiał. Tedy myślę, iż mi wybaczy jeszcze jedno ustępstwo: ślijcie do waszego księcia. Jeśli pycha nie pozbawi go rozsądku, winien się zgodzić, byście gród poddali. I możecie mu rzec, że Świętopelk jutro tu będzie z wojskami. Nie zratuje was nic, choćby sam Bolesław nadszedł.  
 - Słać mogę, ale cóż z tego? Wybronimy się, to grodu nie poddam, nie wybronimy się - nie trzeba wam poddania.  
 Wiprecht udawał, że się namyśla, i odparł:  
 -Cesarz żałuje krwie chrześcijańskiej. Dałby wam rozejm na kilka dni, jeno musi mieć pewność, że po to, byście do księcia słali, a nie dla przewłoki lub by przeciw nam coś poczynać.  
 - Możecie być pewni - odparł Przcdsław.  
 - Pewniejsi będziemy dotrzymania rozejmu, jeśli dacie zakładników.  
 - Ilu?  
 - Pięćdziesięciu!  
 Pokusa była wielka. Zaległo milczenie. Przerwał je komes, czerwieniąc się ze złości, bo czuł, że go Wiprecht w kozi róg zapędza:  
 - Ja pięćdziesięciu wojów nic dam, bo mi tu potrzebni.  
 - Rozumiem - odparł Wiprecht drwiąco. - Ludzi wam brak. My weźmiem i dzieci, choć się wasz syn przechwalał, że i one walczą. Ale mniemam, że gdyby tak źle z wami było, tobyście gród i bez księżęcego zezwolenia poddali.  
 - Jako to wyrostki - mruknął Przcdsław - ciekawe wszystkiego. Nie opędzi się od nich. A co będzie, jeśli się książę nic zgodzą?  
 - Tedy wam dzieci odesłemy. A co potem z nimi się stanie, niech wasz książę weźmie na swoje sumienie.  
 - Ile dni rozejmu dajecie?

- Pięć! Starczy, by się z Bolesławem znieść.  
 - Stoi zgoda.  
 Noc już była, gdy dwa czółna obładowane chłopcami odbijały od przystani. W gwarnym zazwyczaj stadzie panowało milczenie.  
 Niejeden rad był, że w ciemności skrywać łez nie musi przed Zdzichem, choć kto wie, czy i jemu nie stały w oczach. Siedział na dziobie pierwszego czółna, na gród się nawet nie obejrzał. Patrzył na przeciwny brzeg tak dobrze znany, a obecnie dziwnie obcy i wrogi, ze swym miastem namiotów i setkami ognisk, dokoła których kręciły się czarne cienie i szedł gwar, rosnący w miarę jak łodzie pruły ciemną powierzchnię rzeki. Milczenie przerwał siedzący na przedniej ławie Wiprecht, zwracając się do Zdzicha:  
 -Jakoś ci chętność przeszła i nie takiś mocny, jak przódzi. O czymżeś się tak zadumał?  
 Zdzich odparł, siląc się, by głos uczynić obojętnym:  
 - Myślę, czy słowo strzymać.  
 - Zuchwały jesteś. Bacz, byś nie przebrał miary.  
 - Juści, wierzę, że z wyrostkiem możecie zrobić, co chcecie.  
 Wiprecht zamilkł. Postanowił nie tykać Zdzicha i w milczeniu dobił do brzegu; graf opowiedział się straży i oddał jej chłopców, a sam skierował się do cesarza. Zamknięto zakładników w szopie. Gdy zostali sami, wnet rozpoczęły się szepty. Tylko Zdzich milczał jak zakłętý.  
 Kości go bolały i brakowało mu Mirka. Oddałby chętnie swego jeńca wraz ze zbroją, by mógł razem z towarzyszem iść na poszukiwanie Bogusława. Ciężko mu jakoś było na sercu. Nawykły do nieograniczonej swobody, byłby walił pięściami w ściany swego więzienia, ale czuł, że wszyscy baczą na niego i powściągnął się. Ułożył się na słomie i znużony usnął.

## XII. ZNIKĄD LITOŚCI

Jeszcze o zmroku Janik przeprowił się i pognął do księcia, a gdy ciemność zapadła, Mirek, żegnany błogosławieństwem ojca, ruszył ku północnemu mostowi. Rzekę najłatwiej przebyć, płynąc od pala do pala, a choć pływak był tęgą, siłą trzeba oszczędzać, bo jeszcze tej nocy raz albo i dwa razy przepływać mu ją przyjdzie. Stał namyślając się, czy ruszyć w górę, czy w dół rzeki w poszukiwaniu Bogusława, gdy za sobą posłyszał tupot lekkich kroków. Po chwili poznał Radkę z Miłkiem. Malec, ułożony do snu przez matkę, gdy jeno wyszła myśląc, że zasnął, wymknął się z domu i leciał ku mostowi prosić brata, by go wziął z sobą. Po drodze natknął się na Radkę i choć się wydierał, uchwyciła go za rękę i razem biegli. Gdy Radka dostrzegła stojącego Mirka, przystanąła i odezwała się:

- Miłka ci przywiódłam, bo leciał tu i nie odczepiłbyś się od pętaka.
- A nieprawda, bo sama tu szła, jakem ją dopadł - odpalił chłopczyk.

Radka wołała, iż nie widać w ciemności, jak się zarumieniła, i aby odwrócić rozmowę, rzekła:

- Trudno w domu usiedzieć. Ojciec się zaciał, ni pary z gęby nie puści, a macierz nic nie gada, jeno płacze. Ja bym też wołała, żeby Zdzych szedł z tobą. Zawżdy we dwóch raźniej i bezpieczniej.

- Widzisz! - krzyknął Miłek. - Weźże mnie z sobą.
- Czyś zgłupiał? Wżdy nawet rzeki nie przepłyniesz.
- Ino mi troszeczkę pomożesz, wydolę.
- Wyoń się, pókim dobry. Ja tu głową kręcę, jak zrobić, by swego dokonać i wynieść ją cało, a dziecię będę sobie brał na nią.

Miłek, urażony nie na żarty lekceważeniem, odwrócił się i mruknął:

- Sameś dziecię!

Mirek skoczył ku niemu, ale już malca nie było. Znalazł się po chwili, gdy Radka wracała, pochlipując, i nie dostrzegła stojącej za pierwszym węglem małej postaci.

- Nie wstyd beczeć takiej dużej dziewusze? - zaczępił ją. - Ze mną Mirek gadać nie chce ni brać mnie z sobą, choć nigdy nie beczę, a z tobą gada, chcesz bekxa.

Powstrzymała szloch i odparła:

- Coś ci się zda. Spać lepiej idź, smyku.

- A właśnie! Zda mi się! Może i to, żeście się z Mirkiem całowali? Widziałem ci ja dobrze.

Odwróciła twarz i szła w milczeniu, przyspieszając kroku, a malec dreptał za nią, zmieszany, że ją uraził. Zawżdy bywali z sobą w przyjaźni i nieraz go Radka schowała przed matką, póki się jego przewina nie odstała. Chciał ją ułagodzić i powiedział:

- Pocałuj i mnie, to nikomu nie rzekę, żeście się całowali.

Porwała chłopczyka, całując i tuląc, ale rozplakała się na dobre. Głaskał ją po głowie, nie mógł jednak wytrzymać i rzekł:

- Ale bekxa to jesteś.

Nie ona jedna płakała. Wielu grodzian musiało oddać synów w zakład. Wiprecht dobrze obliczył. Serca wszystkim upadły, każdy jeno myślał z niepokojem, czy księżę na poddanie grodu się zgodzi. Szemrali, gdy Przedstaw o świcie wygnał ich do robót przy umocnieniach i do ściągania wyrzuconych belek i głazów. Po co? Poddać się muszą, choćby księżę zakazał. Wczorajszy zapał do walki zgasł, jeno ból pozostał w kościach po nadmiernym wysiłku i niepokój o dzieci. Wstawały wątpliwości, czy cesarz zakładników zwróci. A zwróci, to po to, by za dzień - dwa poszły pod miecz, bo że w razie zwycięstwa spełni swą groźbę, o tym nic wątpił nikt.

Pleban Wyżga po wyprawieniu Mirka uspokoić zdołał swą małżonkę przedstawieniem, że lepiej, iż rzutki chłopak szukać poszedł Bogusława, niż gdyby miał z innymi w zakład iść. Gdy jednak Mirek nie wrócił z zapadnięciem następnego wieczora, pleban biegać jął od mostu do mostu, czekając z sercem pełnym niepokojem i bojąc się iść do domu bez chłopca. O północy, znużony już, utknął na przystani, myśląc, że Mirek na prawym brzegu widno Bogusława nie naszedł i na

lewy przepawić się musiał. Tkwiło w tym niebezpieczeństwo, bo cesarscy kręcili się wszędzie i albo w ich ręce wpadnie, albo, co gorsza, ubiją go, gdyby uciekał. Modlił się Wyźga żarliwie i śluby wielkie czynił, ale w miarę jak czas płynął, odpływała z nim nadzieja. Próżno mówił sobie, że pięciu jeszcze mu zostało, a biedny Przedśław jednego miał jeno i oddać musiał. Nagle ogarnął plebana wstyd. Przedśław swoje robi, jakby nic się nie stało, o wszystko dba i nad wszystkim czuwa, a on, miast drugim serca dodać, własnemu folguje. Od rana modły zarządzi, bo nie on tylko ma o co Boga prosić. Skruszony ruszył ku domowi, postanawiając, że nawet wyrzekaniom Pękawki nie da ucha.

Jeno uszedł kilkanaście kroków, posłyszał naprzód tupot nóg, a potem dojrzał drobną postać. Przy świetle gwiazd poznał Radkę. Dopadła go, wołając:

- Mirek powrócił!

Wrócił istotnie i nie sam. Gdy księżyc zaszedł, odbiły od lewego brzegu w górze rzeki dwie naprędce zbite tratwy, a na nich blisko pięćdziesięciu wojów Bogusława. Gdy się wieść rozniosła, gród cały zerwał się na nogi i kto żyw biegł do dworca komesa obejrzyć przybywającą pomoc. Podniesione serca opadły jednak znowu. Ani jeden z wojów cały nie był, niektórych przynieśli mniej poturbowani towarzysze. Przedśław, gdy ich obejrzał, mruknął jeno:

- Gęby do żarcia i rany do starunku mi przysłał. Wszedł do dworca, chcąc posłać po Mirka, by się wywieźć, co rzekł Bogusław. Choć stukał w sieni drewnianym kikutom, Mirek z Radką widno coś bardzo byli zagadani, bo nie usłyszeli i odskoczyli od siebie, z nagłą przyłapani. Radka, by pokryć zmieszanie, zawołała:

- Po wielebnego lece!... I już jej nie było.

Mirek chrząknął i zaczął opowiadać.

Po długim szukaniu znalazł Bogusława na Kocich Górach. Ludzi już nie ma ni połowy, sam ciężko ranny, że ledwo na koniu usiedzi, ale powiedzieć kazał, że póki choć jeden z nich ostanie, nie popuszczą cesarzowi. Chłopstwo też ściąga zewsząd, a choć do walki wręcz nieprzydatne, żywność odcina cesarskim i obóz dniem i nocą niepokoi.

Bogusław wojów niezdolnych do boju odsyła, bo mu jeno ruchy hamują, a w grodzie mogą się przydać.

- Juści! - rzekł Przedśław, ale nie dodał nic więcej.

Musiał przyznać, że Bogusław nie żałował siebie ni swoich. I on to potrafi. Jeno Zdzych...

Wstał piąty dzień, a Janika nie było. Za to wojska cesarskie obsadziły już oba brzegi Odry, jak daleko wzrok sięgał, a liczne tratwy, stojące przy nich, złożyły się świeżym drewnem na tle zieleni przybrzeżnych szuwarów i krzów, i błękitnego wiru odbijającego rozpaczliwie pogodne niebo. Wiadomo już było, że nadszedł Świętopęk. Wszyscy pamiętali zapowiedź Wiprechta, że gdy Czesi nadejdą, grodu nie zbawi nawet sam Bolesław. Z godziny na godzinę z coraz większą niecierpliwością i niepokojem oczekiwali powrotu Jaksy. Woleliby się poddać z książęciem zezwoleniem.

W miarę jak słońce schylało się z południa, zrazu szeptem, a potem coraz wyraźniej podnosiły się głosy, że poddać się trzeba, choćby Janik nie wrócił. Po obu stronach rzeki widoczne były przygotowane maszyny oblężnicze, a u nasady klina wyspy od zachodniej strony wyrosły, świecące z dala, w promieniach słońca, wieże i zbliżały się ku murom ruchem niewidocznym, lecz ciągłym. Cesarz nie stracił darmo pięciu dni.

Urosły także i w grodzie mury oraz sterty belek i kamieni na nich, ale serca upadły. Mało kto myślał o obronie. Toteż jak błyskawica przebiegła gród wieść o powrocie Janika. Zdrożony był, twarz miał ściągniętą i poszarzałą. Na niczyje pytania nie odpowiadał, jeno, jak stał, ruszył do Przedśława, a już zewsząd tłumnie biegli mieszkańcy dowiedzieć się o swój los. Ale Janik ni pary z gęby nic puścił. Na nalegania starszyny odburknął jeno, że pismo ma od księcia, które samemu komesowi doręczy. Czarne przecucie ogarnęło wszystkich. Czekali ze ściśniętym sercem na przybycie Przedśława, po którego zaraz posłano. Wyźga stał w gotowości, by list odczytać, bo on tylko pismo znał.



Wreszcie w powszechnej ciszy rozległ się stuk kikuta po drewnianym chodniku i ukazał się Przedślaw. Oczyma tłum ogarnął i krzyknął:

- Starszyzna ostanie, reszta precz! Dowie się każdy w swoją porę.

Rozchodzono się niechętnie, mrużąc. Jaksza wręczył pismo komesowi, który nie kwapił się go otwierać, jeno patrzył przekrwionymi oczyma na rozchodzący się tłum. Gdy ostatni zniknęli, skinął na starszyznę i weszli do dworca. Komes usiadł na ławie i, wręczając pergamin Wyździe, rzucił krótko:

- Czytajcie!

Wyźga przeżegnał się, złamał pieczęć i przez chwilę przebiegał piśmo oczyma. Nie potrzebował już czytać; z twarzy jego wszyscy odgadli, co zawiera:

„Niechaj i w myśli niczyjej nie postoi, by uległością wobec wroga życie swe mógł ratować. Jako swojej krwi nie szczędzę, tak i waszej nie będę szczędził. Jeśli się utrzymać nie wydolicie, niechaj kamień na kamieniu ni tram na tramie nie ostanie z grodu, bo nie po to stawiany, by w spokojny czas gęsi w nim hodować, a wrogom za oparcie służyć czasu wojny. Co będę mógł pomocy podesłać, podesłę, a wy trzymajcie się, póki się dech w piersi kołace, bo czas mi droższy od krwi. Kto by zaś mniemał, że mu wybór służy między hańbą a śmiercią, wiedzieć winien, że wybór ma jeno między śmiercią sławną a niesławną. Bo kto mi kłodę pod nogi rzuci, wrogowi się poddając, tego ja na krzyż wbić dam, zaś ścierwo psom cisnę, jako za zdradę się karze. Ale że nie ma takowej rzezi, z której by nikt życia nie wyniósł, tedy niech w niczym sercu nie gaśnie nadzieja, że jemu właśnie los posłuży, jako mężnym zwykł służyć, i nic żywot jeno wyniesie, ale łaskę moją i zaszczyty. A sławą, co nad życie trwalsza i cenniejsza, podzielią się żywi z umarłymi.

Bogu was polecam w życiu i przy zgonie.

Bolesław dux"

W ponurej ciszy rozległo się pytanie:

- Co uczynimy?

Odpowiedział zgrzytliwy śmiech Przedśława, a potem słowa:

- Niech mnie drugi raz nikt nie zapyta, jeśli łeb chce mieć na karku. Ja lżej zniósłbym krzyżowanie, bo jedną nogę mam mniej od was. Ale mnie nie ukrzyżują.

I zwracając się do Jaksy, dodał:

- Jedźcie zaraz do cesarza. Niech dzieci oddaje, jako przyrzekł i niech uderza. A my - na mury!

Odwrócił się i wszedł do komory. Inni wychodzili, milcząc. Ściśnięte nad miarę serca stwardniały. Nie czekać znikąd litości.

Cesarz nie omieszkał wykorzystać rozejmu w celu przygotowania maszyn oblężniczych i środków przeprawy, mimo że niezbyt się liczył z koniecznością zdobywania grodu. Wiedział, że nadzieja poddania się rozbroi serca obrońców, a dognębi je oczywista przemoc, jakiej musieliby stawić czoło bez żadnych widoków powodzenia. To też gdy Jaksza przyniósł mu wieść, że gród się nie podda, i zażądał zwrotu zakładników, Henryk zawrzał gniewem. I jemu zależało na czasie, a straty, jakie poniósł przy pierwszym uderzeniu, nie obiecywały taniego triumfu. Gniewu jednak nic dał poznać, lecz powiedział obojętnie:

- Litość okazać chciałem nad wami, a zwłaszcza nad niewinnymi niewiastami i dziećmi. Odrzucacie ją, tedy na nią nic liczcie. Wkrótce pożałujecie swego zuchwalstwa i niewdzięczności.

Janik jeno głową skinął.

- Będzie, co Bóg da. Tymczasem po zakładników przyjechałem.

- Mógłbym ich wydania zgoła odmówić, boście rozejmu nie dotrzymali. Wasze wojska i chłopstwo ni chwili spokoju nam nie dały, że się niczym przed wilkami oganiać trzeba. Ale, jakom rzekł, sam zakładników odeślę. Rozejm kończy się jutro o wschodzie. Mam czas.

To rzekłszy, wyszedł, a Janik stał z zaciśniętymi pięściami. Czuł, że się jakiś podstęp gotuje. Nie było przy układach mowy o podjeździe Bogusława ani osadnikach, choć dobrze zapisali się na cesarskiej skórze, mszcząc rabunek i pożogę. Ninie Henryk mówi o nich, by warunków nie dotrzymać. Z ciężkim sercem wracał Jaksza do gródka. Przyjął go płacz i lamenty niewiast, które czekały na odesłanie synów.

Na grodzie nikt nie spał tej nocy. Wyżga zarządził całonocne nabożeństwo dla wyblągania powrotu dzieci, ale tylko niewiasty wzięły w nim udział. Przedślaw bowiem wszystkich mężów, od wyrostka do starca, zapędził na mury, kończąc przygotowania do odparcia nieprzyjacielskiej nawały, której niechybnie rankiem należało oczekiwać.

Noc była chłodna, przy rozpalonych tedy ogniskach pożywiali się woje na miejscu. Ten i ów zdrzemnął się. Przed rannym świtem zbudził śpiących niezbyt odległy gwar w górze rzeki, a potem skroś mgły, wstającej z wód, przezierała przez chwilę jakby łuna wielkiego ognia. Domyślano się, że to Bogusław ze swym oddziałem i chłopami niepokoi nieprzyjaciela, ale wkrótce cisza zapanowała, a świat okryła zimna, mleczna mgła, przenikając do skóry. Kto żył, kulił się przy ogniu. W ciszy przedświtu słychać było zbliżający się coraz bardziej skrzyp drewna o drewno. Ani chybi, toczono oblężnicze wieże i tarany.

Mgła siadła i wkrótce zajaśniał nad głowami blade błękit porannego nieba, natomiast dołem leżał mleczny tuman, jak niezmiernie jezioro sięgające od wzgórz na lewym do borów na prawym brzegu rzeki. Nad nim, jak korabie, zamajaczyły szczyty oblężniczych wież toczonych pod mury i z nagłą zaświeciły złotem, gdy słońce wychyliło się zza lasów.

Rozbłysnął dzień, a zgasła żywiona jeszcze nieśmiała nadzieja, że cesarz chłopców odeśle przed natarciem. Dzielili oblężonych od walki już tylko chwile. W opadającej coraz niżej mgle słychać było bliskie głosy wydawanych rozkazów.

Nagle wzdłuż wałów rozległy się szepty, potem krzyk przeleciał i zamarł. Wieże wynurzyły się już z mgły. Na przedniej ścianie każdej z nich widniały drobne postacie. Można je było już rozróżnić. Zakładnicy! Tak dotrzymywał słowa cesarz Henryk V! Na najwyższej, która zmierzała ku baszcie nad zachodnią furtą, po jasnej, lśniącej w słońcu czuprynie wszyscy poznali Zdzicha. A na baszcie stał Przedślaw i patrzył na syna.

Wieże wyrastają w oczach z wolna, ale nieubłaganie. Już są w zasięgu pocisków. Ni jedna ręka nie dźwiga się ku obronie. Jak wał długiego rośnie napięcie, niby potworny łuk, który albo wypuści pocisk

z niezmierną siłą, albo rozprysnie się w drzazgi. A cięciwę zda się dźwżyć, z dala widoczny na baszcie, świecący w swej zbroi komes Przedślaw.

Prawdziwy łuk dźwży w rękę. Wie, że on musi wypuścić pierwszy pocisk jako hasło do walki. Inaczej nie padnie ani jeden. Za chwilę będzie za późno. Już wyskoczyli wojownicy zza wież i pod osłoną tarcz przerzucają przez strugę belki, po których wieża podejdzie pod mur. Potem jeno most spuścić na łańcuchach - i gród zdobyty. A Przedślaw stoi, jakby złym urokiem zaklęty w kamień. Patrzy na syna już z bliska. Przez łzy, które ćmią mu oczy, postać chłopca rozłamuje się na kilka zatartych postaci. Podnosi napięty łuk i opuszcza go znowu. Mruga szybko oczyma.

Nagle w ciszy rozległ się czysty i donośny głos Zdzicha:

- Bijcież! Z ojcowej ręki nic boli!

### XIII. W CESARSKIM OBOZIE

Narada, jaką cesarz zwołał nazajutrz po nieudanym uderzeniu, była krótka i milcząca. Henryk, który przeniewierstwem spodziewał się osiągnąć łatwy i tani triumf, sam był zaskoczony strasliwą zaciętością oporu i stropiony ogromnymi stratami. Na nic się nie zdało pchać na mury jedną falą wojsk za drugą, by liczebną przewagą zgnieść obronę. Tłumy pod murami w braku dostatecznej ilości drabin przeszkadzały sobie wzajem, a stanowiły niezawodny cel, tak że żaden pocisk obrony nie szedł na marne. Nie pomogło nawet, że oddział rycerstwa magdeburgskiego arcybiskupa, ze Swicherusem na czele, przełamał opór przy zachodniej bramie i wdarł się do grodu. Miast popłoch wywołać wśród bezbronnej ludności, jak zazwyczaj bywa, napotkał stado rozszalałych wilczyc, które rękoma, zębami, nożami i co która chwycić zdołała, rozdarły wprost napastników w kawałki. Swicherus, który sam jeden cudem ocalał, trząsł się na samo wspomnienie, a w uszach świdrował mu jeszcze strasliwy ryk jednego z towarzyszy, którego wiemy z rozwianymi włosami i pianą wściekłości na ustach żywcem jak raka wrzuciły do kotła z wrzątkiem. Cesarz odgrażał się, że z nawiązką pomści okrucieństwo, ale nie podnosiło to ducha w ludziach. Każdemu mogło się trafić, że wpadnie w ręce zionących pomstą grodzian, którzy nie ulitowali się nawet nad własną krwią. Gdy wieczorem natarcie się załamało, dalsze straty powodowało wybieranie rannych z wału trupów pod murami, gdyż wiadomo było, że ni jeden ranny nie ujdzie z życiem. Nikt zaś już nie wątpił, że gród nie podda się, póki kołace się w nim choć jedna żywa dusza. Toteż twarze dostojników były mroczne jak niebo, które od rana zaciągnęło się oparem, a ku południowi czarne chmury nadciągnęły z zachodu. Pogoda, dotychczas nad podziw sprzyjająca wyprawie, zdała się również odwracać od cesarza. Gdy skierował do wasali zapytanie, co radzą poczynać, by z grodem

skończyć jak najprędzej, nikt się nie odezwał. Po dłuższej chwili graf Wiprecht mruknął:

-Jeno poselstwa już nie wysyłajcie. Nie najdziecie zresztą nikogo, kto by chciał iść.

Cesarz sam wiedział, że grodzianie z nim gadać nie będą, a kto by się ważył stanąć przed nimi po tym, co zaszło, straci życie.

Ale Wiprecht co innego miał na myśli, która krwawy rumieniec wywołała na jego twarzy. Gdy prowadzono chłopców, by ich przywiązać do machin, graf spotkał Zdzicha, który patrzył na niego. Wstyd było dumnemu mężowi zejść z ostatniej drogi bezbronnego wyrostka. Obecnie graf żałował, że tego nie uczynił. Gdy Zdzich miał go bez słowa, coś skłoniło grafa, by powiedzieć:

- Gród się podda i nic wam nie będzie...

Urwał, bo pycha nie pozwoliła mu sprawić się przed zuchwałym chłopakiem, który i tak nic byłby mu uwierzył. Spojrzenie, jakie mu rzucił miast odpowiedzi, stało za najgorszą obelgą. Nie wyrzut w nim był, ale pogarda. Wiprecht chciał udać przed sobą, że ją lekceważy: pogarda wyrostka wobec potężnego grafa, z którym sam cesarz liczyć się musi! Ale nie mógł i skręcał się bezsilnie. To, czego nic powiedział chłopcu, mówił teraz sam sobie i też nic wierzył: że nie jest winien temu, co się stało. Rozum i sumienie mówiły mu, że gdyby zagroził cesarzowi odejściem wraz ze swymi dwoma tysiącami najlepszego wojska, cesarz musiałby odstąpić od haniebnego zamiaru, który w dodatku chybił. Niesława, jaką się okrył cesarz, spada i na Wiprechta. Teraz buntował się i ogarniała go wściekłość: na samego siebie i na cesarza. Gdy Henryk uchwycił się jego odezwania, by rozruszać naradę i zdania wywołać, Wiprecht dodał zgryźliwie:

- Sił macie dość, by zgnieść jeden gródek. Takie podstępny jeno strat są przyczyną.

Radzicie tedy uderzać? - zapytał cesarz udając, że nie rozumie zarzutu.

- Radzę kończyć, póki nic nadejdzie Bolesław i słota. A ma się na jedno i drugie. Pono zaś nie Głogów był celem naszej wyprawy. Po

tym, coście tu uczynili, nikt z nami gadać nie będzie, a gąb nie zamkniecie, by się sława tego postępu nie rozniosła - dodał drwiąco.

- Bolesław gadał będzie, gdy go cisnę na kolana. A umarli milczą - rzekł cesarz dumnie.

Wiprecht wzruszył lekceważąco ramionami. Pamiętał, że przed dwoma laty Henryk poniósł klęskę od hrabiego Flandrii, w zeszłym roku od Kolomana. Już to wodzem nie jest przednim. Mając zaś przeciw sobie takiego wodza jak Bolesław, myśli wyrównać braki samochwalstwem, wobec klęsk poniesionych pod jednym gródkiem. I nieprawda, że umarli milczą. Wołają najgłośniej i nie sposób ich zagłuszyć.

Cesarz wstając, zakończył:

- Wojska dziś wypoczywały. Uderzym znowu o świcie. A nadzieje Bolesław, tym lepiej. Jedna bitwa zakończy całą wojnę.

- Jedna wygrana bitwa - poprawił graf. - Ale to lepiej od nas wie i Bolesław.

Dziwna myśl nasza Wiprechta: gdyby on stanął po stronie Bolesława, wynik wojny nie budziłby żadnych wątpliwości; a obecnie nie był pewny, jak się skończy.

Większe jeszcze niż wśród dostojników zniechęcenie zaczęło się szerzyć między rycerstwem, największe wśród prostych wojów, których krew wodami Odry spłynęła najobficiej. Cesarskie przemieszczenie, które u wielu znalazło uznanie, gdy obiecywało krwi szczerzyć, budziło sarkania, gdy chybiło. Raz rozpoczęte, szerzyły się nadal. Na dobitkę drobny, ale dokuczliwy deszcz całą noc szemrał po płótnach namiotów. Nad ranem przeszedł w mżawkę, a potem w mgłę tak gęstą, że na pięć kroków nic nic było widać. Gród zniknął z oczu i żaden odgłos nie dochodził stamtąd, ale w ciszy tej tała się groźba. Wojska stawały w sprawie, posłuszne jeszcze rozkazom, ale bez wiary w powodzenie.

Rycerz Gotfryd w swym namiocie przywdziewał zbroję, stękając i przeklinając w duchu swe wyróżnienie, dzięki któremu powierzono mu dowództwo nad setnią knechtów Adalgota, gdy ich dowódca poległ. Gotfryd słusznie podejrzewał, że przyczynił się do tego Swiche-

rus ze złośliwości. Chętnie byłby oddał dowództwo wraz z łańcuchem, który nie wydał mu się już tani. Szedł na czele oddziału, do ostatniej chwili pewny, że obędzie się bez przelewu krwi, i walecznie poganiał swych ludzi niosących drabiny, pomny na nagrodę przyrzeczoną temu, kto pierwszy wedrze się do grodu. Gdy zaś niespodzianie walka się rozpoczęła, nijak już było wycofać się. Gotfryd z trudem wlaził na drabinę na czele swych ludzi, z trwogą myśląc o tym, co czeka go na murach. Szczęściem nic doszedł, bo gdy sięgał już blanków, bosaki odepchnęły drabinę, która runęła w tył, i niejedni legł z połamanymi kośćmi! Rycerz Gotfryd wyszedł bez większego szwanku, bo spadł aż do bagnistej przykopy, której muł złagodził uderzenie. Wbiło go jednak w gęste błoto, tak że żadnym sposobem nie mógł się sam wydostać i przeżył najgorszy dzień w swoim życiu, tkwiąc w zasięgu pocisków jak mucha w mazi, niezdolny poruszyć się ani zasłonić, bo tarczę gdzieś licho wzięło. Trwoga jednak doszła do szczytu, gdy cesarskie wojska cofać się zaczęły. Mimo że przedtem zdało się Gotfrydowi, iż nawet głosu już nie zdoła z siebie wydobyć, ryczał jak zarzynany wół i ludzie zbierający rannych wydobyli go z błota i zawlekli do obozu, gdyż o własnych siłach nie mógł się ruszyć. Henczko i Fryczko długo płukali go w rzece, zanim dało się zdjąć zbroję i odzież przesiąkniętą mułem cuchnącym trupami. Utyłany do niepoznania, zgoła niedostojnie wyglądał i nic budził widno szacunku, gdyż knechci gryźli brody, by pohamować śmiech. Gdy słabym głosem usiłował ich skłąć, że niezbyt ostrożnie obchodzą się z jego potłuczonymi kośćmi, pyskаты Henczko powiedział z lekceważeniem:

-Nieraz my wieprza płukali na ubój i wiemy, jak to czynić. A wy-dolicie lepiej, myjcie się sami, bo my nie umiemy inaczej.

Rycerz płazem puścił zuchwalstwo, bo porównanie zdało mu się złowróźbne. Raz rozluźniona karność nie chciała już wrócić. Dzisiaj knechci zaspali znowu i Gotfryd zbierał się do walki z sercem pełnym czarnych przeczuc, natomiast z pustym brzuchem. Schudł już i tak, co będzie dalej? A najgorsze, że dalej może wcale nie być. Tyłu rycerzy

odjechało już do Niemiec z sianem w brzuchu', by na wieki spocząć w ojczystych zameczkach. Pono własna ziemia jest lżejsza. Gorzej tym, co leżą w mule przykopy. Szlachetny rycerz omal sam w nim nie pozostał. Wzdrażał się na myśl, że trzeba tam będzie iść znowu.

Szczyściem silny deszcz, w jaki z nagłą przeszła mgła, odłożył te rozmyślenia wraz z natarciem do pogodniejszego dnia, natomiast wszystkich knechtów pognano z toporami w las po budulec na tratwy i machiny, bo onegdaj niemal wszystkie wieże uległy zniszczeniu.

Rycerz Gotfryd przeleżał do południa, ale choć rozbity się czuł, głód spędził go z legowiska. Wyszedł właśnie poszukać czegoś do jedzenia, gdy straszliwy wrzask od strony lasu oznajmił, że dzieje się coś niezwykłego. Knechci biegli w zamieszaniu do obozu, rzucając narzędzia, a z ich bezładnych opowieści wynikało, że w biały dzień tuż pod cesarskim bokiem opadły ich gromady chłopstwa. Cesarz wysłał zaraz jazdę z rozkazem wywieszania pojmanych na miejscu, ale nie powieszono nikogo, bo nikogo już nie było, zaś rycerz Heribert, który oddziałem dowodził, nie chciał zapuszczać się w lasy w obawie zasadzki. Cesarz zląkał go, okazało się jednak, że obawa była uzasadniona. Gdy bowiem wieczorem powtórzył się napad na rozstawione straże i sascy kopijnicy, którzy stali w pobliżu, skoczyli na pomoc, natknęli się na zaczajoną w ciemności jazdę pancerną i miast jeńców przywieźli kilkunastu swoich rannych i przynieśli trupy. Zresztą przez całą noc dokoła obozu rozlegały się wrzaski, słychać było stapania i szelesty w zaroślach, które znaczną część wojsk trzymały w stałym pogotowiu, i tak już pozostało do końca wyprawy, gdyż nigdy nic było wiadomo, kiedy i skąd napad przyjdzie. Noce nie niosły wypoczynku.

Mimo to cesarz zawziął się na Głogów, choć już na naradzie odzywały się głosy, by go poniechać i ciągnąć w górę rzeki, gdzie przeprawy były łatwiejsze, a nie zniszczone wojną okolice pozwolą na zaopatrzenie wojsk, z każdym dniem coraz uciążliwsze.

Zabitym wyjmowano wnętrzności, a brzuch wypychano sianem i solą, aby zapobiec rozkładaniu się zwłok.

## XIV. PSIE POLE

### V

Pierwsze sloty jesienne przygniatać zaczęły do ziemi smolne dymy, które dzień za dniem otulały gród, z zaciekłością zemsty broniący się coraz potężniej. Rzeka nabrała wody, rozlewiska od zachodniej strony nasiąkły dżdżem, bagno rozkisło. I dzień za dniem wozy, które łup z Polski wywozić miały, szły do Niemiec ładowane zwłokami poległych, dla ochrony od gnicia wypchanych ziółami z solą. A nad cesarskim wojskiem wisiał już Bolesław, nie dość silny, by wstępnym bojem uderzyć, ale przebiegły i zawzięty. W dzień cesarz przypuszczał uderzenie za uderzeniem na gród, noc za nocą odpierać musiał coraz zuchwalsze napaści na własny obóz.

Oblegał i był obleżony. Wysyłane po żywność oddziały ginęły. W oczy cesarskim zaczynał zaglądać głód.

Aż wreszcie zajrzał z bliska. Henryk widząc, że nie przebije się na wschód przez grząskie rozlewiska wód Odry i Ochli, ruszył na południe, pałac i mordując. A w ślad za nim pociągnął Bolesław i kto jeno broń mógł udźwignąć. Pociągnął i ostatni ze Zdzichowej drużyny, Mierek. W Głogowie pozostali jeno ranni, niewiasty z dziećmi i starcy.

Szedł cesarz na Kraków, ale mimo że ludzkie i końskie nogi dzień za dniem mozolnie brnęły w jesiennym błocie, wciąż było tak samo daleko. Przed sobą, jak przednią straż, co dzień widział konne oddziały Bolesława, po bokach zaś i z tyłu gromady chłopstwa polowały na każdego, kto choć na chwilę od wojsk się odłączył.

Tej chłopskiej zajadłości omal i rycerz Gotfryd życiem nie przyplącił. Musiał czasem odłączyć się na chwilę, nienawykły bowiem do byle jakiej, a przeważnie zimnej stawy, wielkie cierpiał boleści i nie zawsze udało mu się doczekać postoju. Strach jedynie dodawał mu sił do wytrwania i zaciskał zęby, aż mimo chłodu i wilgoci poty na niego były. Gdyby mu kto opowiadał, nigdy nic byłby uwierzył, że marzyć można o chwili ulgi jak o wielkim szczęściu, dla którego zycie nawet

warto narazić. Knechci jego natomiast, nawykli do gorszej strawy i niewygód, żadnego nie mieli zrozumienia dla cierpień swego pana. Gdy dla bezpieczeństwa brał któregoś z nich, wysłuchiwać musiał drwiących uwag. Tracił u swych ludzi resztę szacunku.

Najgorszy był pyskacz Henczko, tak że rycerz w końcu musiał się wyrzec jego usług. Wzięty na straż, jeno udręki przyczyniał swemu rycerzowi. W chwilach gdy ten najbardziej potrzebował spokoju, bez żadnego powodu psykał ostrzegawczo, udając, że dojrzał lub usłyszał jakiś podejrzany ruch. Gdy jednak raz istotnie napad nastąpił, zniknął bez ostrzeżenia, pozostawiając swego pana w położeniu, które uniemożliwiała jakąkolwiek obronę. Na szczęście w gęstych krzaczach Gotfryd pozostał nie zauważony, a napad wkrótce odparto. Przycupnięty jak zając, okrągłymi ze strachu oczyma patrzył, jak tuż koło niego przebiegały groźne postacie, choć zbrojne przeważnie jeno w kije, osęki, widły i cepy. Z taką bronią nie mogli dotrzymać pola dobrze zbrojnemu rycerstwu, ale śmierć od niej cięższa była niż od miecza czy włóczni, a razy boleśniejsze, choć mniej niebezpieczne. I tego doświadczenia los nie oszczędził szlachetnemu Gotfrydowi.

Spodziewał się Henryk jeszcze, że zdoła dopaść Krzywoustego i przymusić do bitwy, która mogła wynik wojny przechylić na jego stronę, ale polski książę nie miał zamiaru stawać do nierównej walki. Rósł w siłę, a cesarska topniała, nic potrzebował się spieszyć.

Henryk, widząc, że nie zdoła doprowadzić do rozstrzygającego spotkania w otwartej walce, rozdzielił swe wojska, by, idąc szeroką ławą, łatwiej się mogły wyżywić. Bitew nie brakło, krótkich, niespodzianych, gwałtownych, które kończyły się, gdy jeno rozproszone oddziały niemieckie zaczęły się skupiać. Ranni i chorzy coraz bardziej obciążali pochód cesarski, który ciągnął wciąż jeszcze w serce Polski, jeno że coraz wolniej. Konie zaczynały padać, niezdolne do pochodu zjadano i coraz więcej rycerstwa szło pieszo wraz z knechtami, w ciężkich swych zbrojach ślaniając się z utrudzenia. Na nogach trzymała ich jeno świadomość, że pozostać samotnie to śmierć.

Między nimi był i Gotfryd. Po raz ostatni pojadł do syta, gdy zarznąć musiał swą starą kobyłę, bo uwalila się i dalej iść nie chciała.

Niewdzięczne bydło nie rozumiało, że odmowa dalszych usług oznacza śmierć. Po raz ostatni też rycerz widział u swych knechtów gorliwość w wykonaniu rozkazu. Z wprawą zarznęły nieszczęsne zwierzę, obdarli ze skóry, po czym piekli i wędzili mięso, spożywając przy tym niesłychane jego ilości. Rycerz wspaniałomyślnie nie przeszkadzał im i sam jadł do wypęku, póki nie poczuł, że nadmiar zrzucić by musiał, a szkoda było każdego kęsa. Szkapą, choć chuda, starczyć mu winna na dłuższy czas. Srodze też przykazał, by żaden z knechtów nie ważył się tknąć ni ochłapa bez jego zezwolenia. Gospodarny Fryczko połupał jeszcze kości obranego już z mięsa konia, zabrał szpik, ze **lba** zaś wydarł ożór, o którym rycerz zapomniał. Gotfryd jeno westchnął. Jego knechci lepiej umieją dbać o siebie niż on. Przez łzy spojrział jeszcze na smutne szczątki. Koński łeb zdał się śmiać wyszczerzonymi, żółtymi zębiskami. Po raz pierwszy od dawna syty, rycerz uwaliał się spać, sny miał jednak ciężkie po przejeździe. Śniło mu się, że koń zmartwychwstał i patrzy na niego z wyrzutem. Zaczął się sprawać przed swą szkapą, że nie mógł inaczej postąpić, ale koń wydał pogardliwy odgłos i ruszył z miejsca z widocznym zamiarem ucieczki. Gotfryd chciał się zerwać, by go schwytać, ale koń puścił się dawno zapomnianym cwałem. Nim zniknął, obejrzał się jeszcze i zaśmiał, wyszczerzając zęby. Rycerz obudził się spotniały i tknięty złym przeżuciem poskoczył do knechtów, którzy spali opodal pod wozami. Henczka jak zwykle nic było. Rycerz spojrział na wóz, gdzie wieczorem złożyć kazał resztki konia. Jednej szynki brakowało. Nieprzytomny z gniewu kopać jął knechtów. Fryczko i Hanslik zerwali się, nie wiedząc, czego od nich chce, Peczko jednak jeno zamruczał coś i obrócił się na drugi bok. Pijany był widocznie, bo czuć było od niego wino. Rycerz Gotfryd, choć niezbyt bystry, domyślił się, że to on przehandlować musiał szynkę za wino, którego smaku sam od dawna zapomniał. Rozeźlony tym do reszty, kopnął jeszcze raz Hanslika z całej siły, lecz zamiast w pośladek trafił w stylisko toporka, który knecht nosił u pasa. Czarne i ogniste płaty zawirowały Gotfrydowi przed oczyma i omal nie usiadł z bólu. Powściągnął jednak krzyk, by nie stracić reszty powagi, i kuśtykając, odszedł. Siedział pod namio-

tern i trzęsąc się z chłodu i złości rozcierał bolącą nogę i rozmyślał nad karą, jaką wymierzyć należy Peszce, by raz na zawsze nauczył się szanować rozkazy i zakazy swego pana. Prócz zwykłego bicia, do którego twarde chłopskie skóry nawykły, nic mu jednak na myśl nie przychodziło. Natomiast przyszło mu na myśl, gdy się trochę uspokoił, że zdałoby się dowiedzieć, skąd pijanica wziął wino. Wspomnienie jego smaku i zapachu skierowało myśl rycerza do ojczystego zameczku. Nad Renem jest po winobranii, świeży moszcz wypełnił ogromne fasy, zeszłoroczne wino już dojrzało. Na tę myśl ogarnęła go ogromna tęsknota i pragnienie. Twarda i chuda konina nie mogła się jakoś ułożyć w brzuchu, chwilami zdało mu się, że koń rży w jego żywocie. Wraz by się uspokoił, gdyby go napoić winem. A tymczasem Gotfrydowe wino wypijają goście pani Doroty, siedząc w ciepłej sytości, gdy on tu walczyć musi, wszelkich wygód pozbawiony. Na tę myśl złość jego skierowała się przeciw małżonce i rycerzowi Swicherusowi. Pani Dorota pewnikiem pozbyć się jeno chciała małżonka, by jej nie przeszkadzał, a Swicherus go oszukał. Obiecywał zbawienie duszy w walce z poganami i ziemie ich opływające miodem, mlekiem i mąką. Tymczasem kraj, choć dziki, chrześcijański jest, palenie kościołów, choć małych i drewnianych, niewielką jest zasługą przed Panem, a na dobitkę kłąć i wyzywać musi rycerz od rana do wieczora, jakby litanie odmawiał. Cóż z tego, że miody w tym kraju lepsze pono bywają niż niejedno wino, skoro nie skosztował ich jeszcze. Jeśli nawet coś zdobyć się udało, to źle oczyszczoną kaszę lub wędzoną rzepę. W jego zameczku psy lepiej się mają niż tutaj szlachetny rycerz. Żadna korzyść ni dla duszy, ni dla ciała. Po raz pierwszy przyszło Gotfrydowi na myśl, by opuścić chyłkiem cesarza i wracać do domu. Trzeba się było jednak nad tym zastanowić, a tymczasem myśl o winie wypełniła mu głowę bez reszty i nawet gdy w końcu usnął, śniło mu się, że pije wino. Im więcej jednak pił, tym większe ogarniało go pragnienie, aż wreszcie obudził się. Na dworze wstawał chmurny dzień, mżawka siąpiła, przechodząc pomalą w deszcz, dymy ognisk wlekły się nisko. Przed wyruszeniem pożywiał się czym kto mógł. Raz na dzień jeno była ciepła strawa, i to nie

zawsze. Wieczorem nikt sił nie miał, by nazbierać nawilgłego suszu, zresztą w leśnym mroku czaiła się śmierć.

Gotfryd, obzarłszy się wieczorem, nie miał jeszcze ochoty jeść, natomiast pragnienie dręczyło go tak, że przeszła mu nawet złość na Peszkę. Jeśli karcic będzie przestępcę, chłop się wyprze uczynku i Gotfryd nie dowie się, skąd wziął wino. Choć noga bolała go jeszcze, pokulał do swych knechtów. Z dala już zauważył, że znowu żrą koninę, ale jeno westchnął. Musiałby spać na niej, by temu zapobiec, i kto wie, czyby pomogło. Był nawet Henczko. Ten zawsze znajdzie się, gdzie jest coś do jedzenia. Gotfryd udał jednak, że nie widzi nieposłuszeństwa, i choć złość wzbierała w nim znowu, powściągnął ją i biorąc Peszkę za ucho, powiedział dobrotliwie:

- Teraz powiedz, obwiesiu, skąd wzięłeś wino? Chłop próbował bożyć się, ale rycerz rzekł niecierpliwie:

- Jeśli rzekniesz, nic ci nic będzie. A jeśli nie, to własnym zadem za koński zapłacisz.

Pczsko zawałał się widocznie, ale Gotfryd pomógł mu, pociągnawszy za ucho, aż knechtowi świeczki stanęły w oczach.

Choćbyś z ołtarza wziął, gadaj, hunefocie, bo ci ucho wydrę z korzeniami.

- Jakby zgadła wasza miłość - odparł Pczsko płacziwie. - Wino było mszalne, jego przewielebności magdeburgskiego arcybiskupa.

- Arcybiskup ci dał?

- Nie, jeno sługa jego kapelana, Walo. Z dobrej woli, nie za żadną szynkę. Mówił, że jego przewielebność wodę potrafi zmienić w wino.

Rycerz Gotfryd miał pewne wątpliwości, ale pragnienie było od nich silniejsze. Zabrał drugą szynkę, słusznie mniemając, że i tak się nie uchowa przed żarłocznością knechtów, i udał się do brzezinki, gdzie stali ludzie arcybiskupa Adalgota.

Z dala już uderzyła go wrzawa przed arcybiskupim namiotem. Ostrożny z przyrodzenia rycerz Gotfryd zamierzał przez chwilę cofnąć się, ale pragnienie przemogło. Zaczepił jednego z kręcących się rycerzy, pytając o Walona. Ten zamiast odpowiedzi chwycił Gotfryda za rękę i krzyknął:

- Jest!

Kilku ludzi ze zbiegowiska rzuciło się ku niemu i rycerz nie wiedział, kiedy i jak ciśnięto go na kolana przed Adalgotem. Stał w szatach pontyfikalnych, widno jak od mszy odszedł, ale w twarzy miast nabożnego skupienia widniał gniew. Przed nim, sponiewierany i pokrzwawiony, klęczał już jakiś człowiek. Arcybiskup, wskazując na Gotfryda, krzyknął do niego:

- Czy to ten?

- Nie wiem, wasza przewielebność - wyjąkał delikwent. - Ciemno było.

Gotfryd, przerażony i zmieszany, chciał coś rzec, Adalgot jednak ryknął:

-Milcz, świętokradco! Wraz się przekonamy! Wskazując na trzymaną przez Gotfryda szynkę końską, powiedział:

- Przynieść tamtą.

Za chwilę zaginiona połowa końskiego zadu znalazła się obok przyniesionej przez Gotfryda. Przylegały jak dwie bliźniacze siostry, nie było żadnej wątpliwości. Arcybiskup, wskazując na nie, krzyknął:

- Czy zaprzeczysz, żeś to ty namówił tego łotra do świętokradztwa?!

- Wasza przewielebność - wyjąkał Gotfryd płacząco - pozwólcie mi się sprawić.

Teraz dopiero zaczynał rozumieć, o co rzecz idzie, i ciągnął:

- Obie szynki były moje, a przedtem mojej świątłej pamięci kobyły. Ten obwieś Peszko ukradł mi jedną i zamienił na wino z jakowymś Walonem. Gdym go przycisnął, przyznał się i mówił, że wasza przewielebność wodę umie zamienić w wino. Tedy przyszedłem drugą na wino przetarzyć, bo chorzeję i chciałem się pokrzepić.

- Ten łotr wino w wodę zamieniać umie - rzekł Adalgot gniewnie, wskazując na winowajcę. - Sto kijów i wygnąć go z obozu. Przez niego Ofiara nieważna i na całe wojsko kara Boża spaść gotowa. Stać po onego Peszkę - dorzucił.

Rycerz Gotfryd czekał pełen niepokoju. Jeśli Peszko zaprzeczy, będzie źle. Chłopi jeszcze jakoś sobie radzą, niejedyn sam uciekł, ale dla niego wygnanie z obozu równało się wymyślnej śmierci.

Na szczęście Peszko bystrzejszy był od swego pana. Widząc, że ten jawnie idzie z szynką do obozu arcybiskupa, domyślił się, co z tego wyniknąć może, i sam spalił się, zabierając jeszcze potężny płat końskiej polędwicy. Gotfryd jednak darował mu i to, bo dzięki zniknięciu Peszki musiał jeno zaprzysiąc na rycerską cześć i zbawienie, że prawdę powiedział. Arcybiskup zwymyślał go jeno i zagroził klątwą na wypadek, gdyby jeszcze raz usiłował dobrać się do mszalnego wina,

i Gotfryd odszedł rad, że się jeno na tym skończyło. I druga szynka zniknęła w zamęcie, bo wojska już ruszały i nie było czasu o lico czy-nu się upominać. Po raz pierwszy rycerz szedł pieszo z pozostałymi knechtami, rozmyślając o swym wróżebnym śnie, który winien go był przestrzec. Cóż, kiedy sny stają się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy się spełnią. Mięso kobyły skończyło się prędzej niż ból w urażonej nodze, która sama już tylko na każdym kroku przypominała mu szczęśliwy czas, gdy jeszcze wygodnie jechał konno. Zardzewiały pancerz dzwonił na jego wychudłym ciele. Strach mu jeno dodawał sił do dalszego pochodu, wobec którego pielgrzymka do Ziemi Świętej wydawała się przechadzką. Przeklinał Swicherusa, który go do tej wyprawy nakłonił, oraz małżonkę swą, że nie pozwoliła mu spokojnie rozważyć postanowienia. Znając sam siebie wiedział, że cesarz wcześniej wróciłby z wyprawy, nim on by się wziąć w niej udział namyślił.

Przyrzekał sobie, że po powrocie twardą ręką ujmie rządy w domu, przegna gości pani Doroty, którzy wypijają tylko jego wino, a w zamian rozbudzają jej i tak niesytą nowość wyobraźnię opowiadaniem o bohaterskich czynach, których rzekomo byli świadkami czy uczestnikami. Rycerz Gotfryd żadnych dotychczas na tej wojnie nie widział, ale sam już o nich opowiadać potrafi. Tymczasem jednak zamiast do

domu wciąż jeszcze szedł na Kraków, a nawet swych knechtów w karność utrzymać nie potrafił. Znikali nieraz na całe dni, aż Henczko zniknął zupełnie. Gdy rycerz pytał o niego, pozostali wrzuszali ramionami: pewnie zginął, mało to ludzi przepada co dzień? Ale nie zdali się przejęci śmiercią towarzysza. Rycerz podejrzewał, że Henczko po prostu uciekł jak wielu innych, bo i takich nie brakło. Przyrzekał sobie, że pasy z niego drzeć każe, jeśli go w domu zasta-



nie, choć sam chętnie by uciekł, gdyby się nie bał: nie niesławny, jeno chłopów śląskich, którzy za pożogę i rabunek śmiercią płacili na jeźdźcom. Przychodziło mu na myśl, że bezpieczniej byłoby uciekać razem z knechtami. I oni nie zdradzali żadnego zapału do walki, choć chłopcy były tęgie, obrotne i wytrzymałe. Nie poznać było po nich trudów i głodowania, jakkolwiek, gdy ich po żywność wysyłał, rzadko kiedy coś przynieśli. Od czasu gdy zarznąć kazał kobyłę, wyraźnie lekceważyli swego pana i jego potrzeby. Widno szacunek dla rycerza budzi koń. Gotfryd ze wzruszeniem wspominał kobyłę, a zwłaszcza smak jej mięsa. Rzadko je teraz jadał i ze złością myślał o udzielonym za wyprawę odpuszczeniu. Gdyby w domu tyle pościł, zdołałby, nie trzając się, najcięższą zbrodnię odpokutować.

Myśl o ucieczce pomału zaczęła przechodzić w zamiar, ale zwyczajem swym rycerz przemyślał go tak dokładnie, że tymczasem knechci, którzy szybsze mieli postanowienia, uciekli sami. W słotny wieczór daremnie ich szukał i nawoływał, by mu szafas sklecili. Noc spędził skulony pod krzakiem, a z kapiącą z niego wodą mieszały się ciche łzy. Nie miał mu nawet kto zdjąć pancerza, który stanowił wprawdzie pewną ochronę przed deszczem, ale nie pozwalał się nawet poskrobać, a rycerza gryzło robactwo, którego się z brudu i wilgoci napytał. Rankiem, złamany na ciele i duszy, zrzucił pychę z serca i udał się do rycerza Swichcrusa z prośbą o wstawiennictwo u arcybiskupa, by mu ponownie powierzył dowództwo nad setnią piechoty, którego zrzekł się pod Głogowem, bo zmuszało go do walki w pierwszym szeregu. Teraz już i na to wolał się narazić, byle dostać konia i ludzi do posługi.

Ale Swicherus przyjął go z pogardliwą złością.

- Koń teraz cenniejszy od rycerza, zwłaszcza takiego jak wy. Gdy zdechnie, przynajmniej zjeść go można. A jak dowodzić umiecie, to ja wiem najlepiej.

Lepiej jeszcze wiedział sam Gotfryd, ale nie o to mu chodziło.

- Cóżę tedy mam począć? - zapytał z płaczem. - Iść już nie wydołę. Obaczcie, jakie mam nogi.

Chciał zdjąć ciżmy, by pokazać, że paznokcie mu oblażą z ciągłej wilgoci, ale Swicherus rzekł bez litości:

- Jam nieciekawy. Pokażecie je pani Dorocie, może się nad wami użali, bo miękkie ma serce dla każdego.

- Wždy nie dojdę do domu na takich nogach.

- Obwieście się na swym złotym łańcuchu, tedy może dojedziecie... sianem wypchany.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Rycerz Gotfryd zrozumiał, o co Swicherus ma złość do niego, i pograżył się w rozpacz. Zdało mu się, że jest u krańca swej wytrzymałości.

Cierpienie jednak hartuje i okazało się, że rycerz nie docenia własnych nóg i sił, a rozpacz jest matką wielu bohaterskich czynów. Od dwóch dni, mimo chłodów, przechodziły ulewne deszcze, stanowiące dodatkową udrękę. Nic było nawet kiedy mokrych szat wysuszyć. Ale nie widać też było idących w przedzie konnych wojsk Bolesława. Widno i one zmarnowane już były i książę postanowił dać im wypoczynek, by pod namiotami woje odespać się mogli i wyschnąć. Zapewne i chłopcy poszukali schronienia przed ulewą, gdyż pierwsza od długiego czasu noc zesła cesarskim spokojnie, a szemrzący deszcz kołysał do snu, nie przerywanego odgłosami napaści.

Rankiem też wcześniej niż zazwyczaj podniósł Henryk obóz na nogi. Deszcz nacihał, natomiast wstawała gęsta mgła. Cesarz sądził, że pozwoli ona choć na krótki czas wymknąć się prześladowcom. Dobry każdy dzień bez strat i każda przespana noc. Trzeba jeno iść cicho a szybko, by prześladowcy nie zdołali dognać cesarskich wojsk przed wieczorem. A może nawet uda się dopaść gdzie Krzywoustego, który niewątpliwie wysforował się naprzód i zapewne wypoczywa. We mgle można podejść niepostrzeżenie, i uderzywszy zniemacka, zmusić go do walnej bitwy. Zaskoczony i pozbawiony pomocy chłopstwa musi ulec przewadze cesarskiej.

Dzień dopiero wstawał, gdy wojska ruszały już w drogę, nie rozsypując się w ławę jak zazwyczaj. Nakazano ciszę, zaniechano nawet wysyłania bocznych straży, które, idąc bezdrożem, hamowały pochód, zmuszając do częstych postojów. Przednia straż ruszyła jak zwykle,

jeno z nakazem, by jeśli nic nie zajdzie, nie zatrzymywała się, aż w południe. Zaraz zniknęła w tumanie, a w parą pacierzy po niej wychodzić zaczęły główne siły, piesze oddziały w przedzie, jazda z wozami pośrodku wraz z przybocznym hufcem cesarskim, prażanie zaś w straży tylnej.

Pochód posuwał się rażno okolicą pagórkowatą i piaszczystą. W nasyconym jednak wilgocią piasku nogi nie grzęzły i nie było jeszcze południa, a już przebyto znacznieszą przestrzeń niż zwykle przez cały dzień. Ani razu nie zakłóciła go napaść, nawet deszcz ustał, jeno mgła nie ustępowała. Ale i to uważano za sprzyjającą okoliczność. Udało się oderwać od chłopskich wojsk, może i uda się dopaść Bolesława. Wszyscy woleliby walkę od ustawicznych pochodów, które nigdzie nie wiodły, i oganiania się przed chłopstwem, licznym i kąśliwym jak komary. Duch w wojsku podniósł się od razu.

Podniósł się i w rycerzu Gotfrydzie. Choć wczoraj jeszcze przybity tak, iż zdawało mu się, że nie zdoła już ustać na nogach, dziś szedł śmiało w pierwszych szeregach głównych sił. W pewnej chwili nawet wysforował się naprzód. Straż przednia już przeszła, droga jest bezpieczna, a nie mógł doczekać się postoju, by wraz z innymi wydalic się na ubocze. Resztki jego dumy cierpiały na tym, że poufalic się musi w ten sposób ze zwykłymi knechtami w postawie nie budzące szacunku.

Droga wchodziła właśnie między dwa pasma niewysokich pagórków o urwistych zboczach, pokrytych zaroślami. Pędy pnączy, zwieszając się ku drodze, tworzyły zasłonę, a za nią miejsce jakby stworzone do samotności. Przez rzednące już listowie widać było biegnącą o kilka kroków drożynę, z drogi natomiast nie widać ukrytego w zaroślach człowieka. Rycerz Gotfryd skrył się za nią i odpiął już pas, gdy nagle zamarł z przerażenia. Tuż nad sobą posłyszał szelest zarośli, a zaraz potem szept:

- Idą psubraty!

Słów w obcym języku nie zrozumiał, ale pojął, że wydanie najlżejszego odgłosu to śmierć. Powstrzymał go najwyższym wysiłkiem, ale zdało mu się, że musi być słyhać, jak bije mu serce. Widno jednak nie

było nic słyhać, bo po chwili dłużej jak wieczność szelest rozległ się znowu, ale oddalił się i ucichł. Zapewne przytajona w krzach czujka cofnęła się, by uświadomic swoich o nadciąganiu cesarskich wojsk.

Rycerz Gotfryd, zapominając o pasie, wycofywać się jął zrazu pełzając i wykorzystując zasłonę, mimo że jeżynowe pędy dały mu skórę na twarzy i rękach. Gdy skończyła się, skoczył jak jeleni i pognał na skrzydłach strachu. Dopadł idącego w przedzie Hilliarda, który wiodł oddział knechtów, i łapiąc oddech, wskazywał ręką na pagórki, niezdolny jeszcze słowa wymówić. Ale widocznie wymowniejsze było przerażenie na jego twarzy, rycerz Hilliard bowiem natychmiast zatrzymał pochód. Gotfryd tymczasem odzyskał oddech i urywanymi słowami wyjaśnił, co go tak przestraszyło. Mówił jeszcze, gdy doskoczył goniec od cesarza, który zniecierpliwiony zatrzymaniem pochodu pytał o przyczynę.

Za chwilę dwie setnie łuczników i tarczowników cichcem we mgle obchodzić jeły pagórki, by na zaczajonych z tyłu uderzyć.

Zaskoczenie jednak nic powiodło się, gdyż chłopi, czujni jak wilki, zauważyli, że mimo iż straż przednią przepuścili, nic zaczepiając, ktoś przestrzegł cesarskich przed zasadzką. Pościg wrócił wkrótce, jak za zwyczaj z jedynym wynikiem: stratą kilku ludzi, i wojska ruszyły dalej, ale już bez nadziei, że choć na chwilę zgubią prześladowców. Na dobitkę droga wiodła znowu w bagna, zbliżano się już bowiem ku rzece. Mgła przeszła w mżawkę, a pod wieczór w deszcz, który zgasił resztę i tak niezbyt płomiennego zapalu.

Cesarz rad był jednak, że udało się uniknąć choć jednej zasadzki, ani chybi skierowanej przeciw jego poświęcanej osobie. Niemniej zasługa Gotfryda tym razem nie spotkała się z nagrodą. Zanim stanął przed cesarzem, zmuszony był odszukać pas, bez którego spodnie nic chciały trzymać się na zapadniętym brzuchu. Henryk zaś, o ile bywał hojny w pierwszym porywie, zwłaszcza po przebyтым strachu, jeśli tylko miał czas ochłonąć i zastanowić się, nigdy nikomu nic nie dał. Zwykł mawiać, że skąpstwo jest cnotą władców, a tej jednej cnoty nikt nie mógł mu zaprzeczyć. Niemniej imię Gotfryda znowu obilo się o cesarskie uszy i zasługa jego nic miała zaginać w niepamięci.

Na razie jednak po przeżytym wzruszeniu i wysiłku zasnął tak, że nazajutrz nie był zdolny poruszać się o własnych siłach nawet w najpilniejszej potrzebie. Ale Hilliward pamiętał, że gdyby nie przestroga Gotfryda, sam pierwszy padłby ofiarą chłopskiej zaciętości. Choć przeto na wozach brakło miejsca, tylu już rannych i nieboszczyków jechało na nich, czekając, by ich sposobną porą odesłano do ojczyzny, kazał złożyć Gotfryda na wozie zajętym przez zwłoki ubitego jeszcze pod Głogowem rycerza von Siegburg, które - mimo że wypchane i nasolone - cuchnęły już trochę. To by Gotfrydowi nie wadziło, bo i sam nie pachniał, natomiast jazda z nieboszczykiem zdała mu się ponurą przepowiednią.

Pod wieczór tegoż dnia wojska cesarskie dotarły do Ścinawy. Gród wprawdzie położony był na lewym brzegu Odry, ale u ujścia bagnistej rzeczki rozlanej teraz w moczar. O wzięciu grodu Henryk nawet nie myślał, niemożliwa jednak okazała się i zamierzona przeprawa. Po drugiej stronie rzeki w zapadającym mroku widać było płonące ogniska obozu Bolesława. Przeszedł bród przed cesarzem i czekał teraz gotowy na jego przyjęcie. Przeprawę trzeba by okupić ogromnymi stratami. Nazajutrz tedy cesarz, tym razem jazdę wysyłając przodem, wczesnym rankiem wyruszył na Lubiąż, by tam spróbować przeprawy, jak żebrak, który chodzi od drzwi do drzwi, próbując, gdzie mu otworzą. Bolesław, przebywając po drugiej stronie rzeki, nie będzie hamował pochodu, Odra w tym miejscu zataczała łuk ku wschodowi, który zmuszony będzie okrążyć, jazda cesarska zatem winna go ubiec i przejść Odrę, nim Bolesław nadejdzie.

Ujechawszy około dwóch mil, jazda spokojnie przepłynęła się przez niewielką rzeczkę Kaczawę, skąd do Lubiąza była już tylko niespełna mila. Henryk wciąż jeszcze nie doceniał przeciwnika. Bolesław z zapadnięciem ciemności chyłkiem odszedł spod Ścinawy, pozostawiając w obozie jedynie chłopstwo, z poleceniem, by przez całą noc paliło ognie. Pod Lubiążem przeszedł na lewy brzeg i u przeprawy przez Kaczawę czał się na cesarskich. Gdy tylko przepłynęły się pierwsze oddziały jazdy, uderzył na nią, i nadchodzący z pieszymi wojskami Henryk z dala już posłyszał odgłosy walki. W nadziei, że jazda zdola

nią związać Bolesława, co prędzej kazał przeprować się piechocie, by otoczyć przeciwnika i zniszczyć go. Ale skoro tylko rozpoczęła przeprawę, Bolesław przebił się przez jazdę i umknął, zaś straszliwy wrzask koło nadciągających wozów wskazywał, że tam znowu dzieje się coś złego.

Cesarz wysłał na pomoc własny hufiec przyboczny, który miał pod ręką, i ten przyszedł w samą porę, by rozproszyc gromady chłopstwa, które już wyprzęgały konie od zwywracanych wozów, rabując więzione na nich resztki zapasów i dobijając rannych.

Tak straszliwej trwogi rycerz Gotfryd nie przeżył, nawet leżąc pod gradem pocisków w bagnistej przykopie pod Głogowem. Życie ocaliła mu jeno okoliczność, że leżał wraz ze zwłokami, na skutek czego i jego wzięto za trupa. Mimo tego jednak jakiś rozjuszony chłop zdzielił go kijem przez grzbiet, aż gwiazdy zatańczyły rycerzowi przed oczyma. Okazał wielkie opanowanie, gdyż nawet nie drgnął, wiedząc, że najlżejsza oznaka życia spowodzi pewną śmierć.

Gdy jednak niebezpieczeństwo minęło, ze strachu rozboleł go żywot, a od uderzenia grzbiet, i żadnym sposobem nie mógł się ułożyć, gdy wozy wreszcie ruszyły. Omal nie zazdrościł Siegburgowi, że nie czuje już ani bólu, ani strachu.

Ale jak nieraz po słotnej nocy następuje pogodny dzień, tak w sercu jego zaświtała wkrótce nadzieja. Przez Ścinawę i Lubiąż wojska dotarły o milę od Wrocławia i stanęły obozem na dłuższy postój u ujścia Ślęzy, w osadzie zwanej Maślice. Dachy nad głową starczyło jeno dla dostojników, ale pogoda się poprawiła, złote słońce późnej jesieni dogrzewało południami, susząc namokłe od tygodni szaty, a woda i obwarowania zapewniały spokojny sen w nocy. Opodal biegł gościnniec na Trzebnicę do Krakowa i cel wyprawy zdał się wreszcie przybliżać. Przerzucona na drugi brzeg Odry część wojsk ubezpieczała bród i jeżeli Bolesław bronić go zechce, musi dojść do bitwy, w której otwarte równiny dokoła miasta pozwolą wreszcie wykorzystać przewagę ciężkozbrojnego rycerstwa. Znaczna część Czechów odeszła wprawdzie po zamordowaniu Świętopełka przez Jana Wrszowca, ale przewaga wciąż jeszcze była po stronie cesarza. Duch w wojsku się

poprawił, podniosła go nadzieja pomyślnego i rychłego końca wyprawy i nawet rycerz Gotfryd oczekiwał bitwy z utęsknieniem. Za polową cesarskiego łańcucha nabył starego, ale zdatego jeszcze konia i znowu poczuł się w siodle. Wprawdzie reszta łańcucha była krótka, jak obroża na psa, ale wciąż jeszcze stanowiła dowód jego męstwa. Gdy cesarz szukał rycerzy, by uzupełnić swój przyboczny hufiec, znacznie wyszczerbiony w czasie nieszczęsnego pochodu, przypomniał sobie zasługi Gotfryda. Strapiony i przygnębiony rycerz wreszcie odetchnął. Służba była lekka, posiłki regularne. Otrzymał pachołka do posługi, który oczyścił mu zbroję z rdzy, a szaty z robactwa, co z wolna, ale bez przerwy wysysało szlachetną krew, przeznaczoną do przelania na następne pokolenia, by nie zaginęła sława uczynków, w najgorszym zaś razie za wiarę i cesarza. Ale Gotfryd powziął nadzieję, że dla tego celu zdoła jej oszczędzić. Przyboczny hufiec nie po to jest przecie, by walczyć, jeno by chronić cesarza, który sam również troszczył się o bezpieczeństwo swej uświęconej osoby.

Gdy jednak wojska wypoczywały i krzepiły się na duchu, sam cesarz nie był wolny od trosk i zmartwień, które zaczęły się jeszcze pod Głogowem i zdały się wiązać z jego przeniewierstwem. Graf Wiprecht wyraźnie ostygł w gorliwości służenia cesarzowi. Szeptano, że nie był daleki sprawie zamordowania Świętopełka, z którym nie lubili się serdecznie. Świętopełk bowiem obmawiał go przed cesarzem, podejrzewając, że jako dziewierz i przyjaciel Borzywoja, stojącego po stronie Bolesława, rad by tamtego widział na praskim tronie i służy Henrykowi nieszczercze. Gdy odeszli Czesi wraz ze Zbigniewem i jego stronnikami, Wiprecht był najsilniejszym z cesarskich lenników i właśnie teraz, gdy zbliżało się rozstrzygnięcie, oświadczył cesarzowi, że odchodzi, nie będąc obowiązany służyć dłużej niż czterdzieści dni w roku poza granicami kraju. Prawo było po jego stronie i cesarz błagać musiał wasalą, by pozostał. Wiprecht nie omieszkiał wykorzystać położenia, by sobie zapewnić wpływ na sprawy czeskie. O to jeszcze byłoby mniejsza: cesarz ofiarowywał praski tron raz temu, raz tamtemu, w miarę potrzeby, i na przyszłość nie myślał przyrzecze-

niami się kępować; ale Wiprecht niepewny już był. Naradziwszy się przeto z Adalgotem, Henryk postanowił nawiązać z Bolesławem układy.

I jego wojska, które z jednej wojny na drugą przyszły, znużone już muszą być i ucierpiały od ciągłych walk i niewygód, najdrażliwsza zaś sprawa powrotu Zbigniewa do rządów przestała cesarza zajmować od czasu, gdy przekonał się, że Zbigniew w kraju żadnego nie ma znaczenia i w niczym nie ułatwił pochodu wojsk cesarskich. Wysłał przeto Henryk do Bolesława list, w którym pisał:

„Cesarz Bolesławowi, księciu Polski, oświadcza swą łaskę i pozdrowienie. Poznawszy twą dzielność, przychyliam się do rad moich książąt i odebrawszy trzysta grzywien, spokojnie stąd odejdę. Wystarczy mi to zupełnie na dowód czci, jeśli nadal pokój będzie między nami i miłość. Jeśli zaś nie spodoba ci się na to zgodzić, to rychło możesz mnie oczekiwać w swej krakowskiej stolicy”.

Wysławszy poselstwo z grafem Gebhardem na czele, cesarz był lepszej myśli. Żądana kwota była niewielka, nic nie znacząca wobec kosztów wyprawy, ale cesarz uzyskałby przynajmniej pozór zwycięstwa, bardzo mu potrzebny w układach z Apostolską Stolicą. Bolesław winien się zgodzić, bo i jego siły topniały, a kraj niszczał, wynik ostateczny wojny był zaś niepewny.

Mimo to Henryk oczekiwał odpowiedzi polskiego księcia z niepokojem i gdy oznajmiono poselstwo od Bolesława, serce zabiło mu przyspieszonym tętnem. Nie pokazał jednak wzruszenia, gdy uroczście udzielił przybyłym posłuchania.

Tknęło go tylko niemile, gdy na czele polskiego poselstwa zobaczył znowu młodego Skarbka Awdańca z Gór, który już raz do Erfurtu przywiózł mu zuchwałą odpowiedź Bolesława. Przyjąwszy od posła pismo, wręczył je kanclerzowi Adalbertowi, który je w powszechnej ciszy odczytał:

- „Bolesław, książę Polaków, pragnie wprawdzie pokoju, ale bynajmniej nie za cenę denarów. Do woli pozostawia waszej cesarskiej władzy dalej iść lub też powracać już; lecz na podstawie pogroźek lub dyktując to jako warunek, nie spodziewaj się otrzymać ode mnie ani

liczego obola. Wolę bowiem w tej chwili stracić Królestwo Polski, broniąc jego wolności, niż na zawsze je spokojnie zachować w hańbie".

Obie strony wiedziały już, że wojna zbliża się ku końcowi. Cesarz robił wprawdzie przygotowania, jak gdyby zamierzał oblegać Wrocław, ale spóźniona pora jesienna nie pozwalała się wdawać w długie oblężenie, gdy Bolesław wisi mu nad głową, i oczywistym było, że cesarz raczej w otwartej walce poszuka zwycięstwa.

Bolesław również nie mógł już odkładać rozstrzygnięcia. Z trzech tysięcy konnych wojsk, które z wiosną wyprowadził na pomorską wyprawę, pozostało mu już tylko dwa. Od pół roku bez przerwy w ciężkich walkach z przeważającymi siłami, byli u kresu wytrzymałości. Mimo to na radzie ani jeden głos nie podniósł się, by cesarzowi uległość okazać, a wieść o udzielonej mu odpowiedzi wznieciła w wojsku zapał. Nieugiętość księcia była dla niego dowodem, że pewny jest zwycięstwa, i budziła wiarę w rycerstwie.

Ale książę wiedział, że sam zapał nie wystarczy, by pobić kilkakrotnie liczniejsze cesarskie zastępy. Ściągnął wszystkie siły na prawy brzeg Odry i gdy rycerstwo wypoczywało, czyściło i ostrzyło broń, opatrywało ryny i konie, on ze Skarbimirem głowił się nad bitwą, którą już postanowił wydać. Jeszcze czekał, żywiąc nadzieję, że nadejdą posiłki od Jarosława wołyńskiego i Kolomana, ale czas naglił i było już widoczne, że sam będzie musiał stawić czoło siłom całych Niemiec. Koloman widno zapomniał, że w ubiegłym roku tylko dzięki wiernemu dotrzymaniu przez Bolesława układu uniknął klęski, albo też nie wierzył, by nawet jego pomoc mogła Bolesława od niej ocalić, i nie chciał się narazić cesarzowi. Jarosław zaś po śmierci Zbysławy nie uważał się już widno za dziewierza.

Książę z palatynem zgodni byli w mniemaniu, że zwycięstwo nad cesarzem w otwartej bitwie to zadanie ponad siły. Dlatego uważali za konieczne rozdzielić siły cesarskie, do czego rozpoczęta przez niego przeprawa nadarzała sposobność. Za wszelką jednak cenę należało powstrzymać przeprawę reszty wojsk na czas bitwy, by nie zdążyły uderzyć świeżymi siłami na znużone już hufce polskie.

Sprawa była jasna, jeno wykonanie niełatwe. Henryk obwarował przyczółek i co dzień nowe oddziały przechodziły na prawy brzeg. Właśnie nadeszła wiadomość, że i sam cesarz już się przeprawił, i dłużej zwlekać było niepodobieństwem. Na szczęście przybyły załogi nie zagrożonych już grodów i najbliższy dzień ujrzeć miał rozstrzygnięcie.

Wraz z załogami Krosna, Bytomia, Lubiąża i Głogowa przybył też Bogusław z resztką swego hufca. Nie rzucił na wiatr słowa danego Przedstawowi. Z trzystu pancernych, wyboru wojsk, przywiódł pięćdziesięciu, a żaden cały nie był. Ale też od blisko dwóch miesięcy niemal dnia nie spędził bez bitwy. Sam Bogusław, cięty w głowę i prawą rękę, z trudem trzymał się na koniu, poczerniały i wychudły, ale jak zawsze wesoło roześmiany.

I książę powitał go radośnie, bo znając jego zapalczywość i szaleńcze poczynania, niezbyt się go spodziewał ujrzeć. Patrząc na jego owiniętą szmatami głowę i podwiązaną rękę, powiedział:

- Mawiali, żeś w czepku się rodził, boś nigdy i draśnięty nie był tam, gdzie inny ostawiłby kości. A oto widzę i na ciebie przyszło.

- Wždy czepiec mam na głowie - zaśmiał się Bogusław.

- Widzę. Żal jeno, że w bitwie stawać nie możesz, a każdego miecza mi trzeba, zwłaszcza takiego jak twój. Odsyłam dziś rannych do Krakowa, by mi wojsk nie obciążali. Pojedziesz z nimi.

- Nigdzie nie pojedę - odparł poufale Bogusław. - Dobry byłem do orki, chcę na żniwo choć popatrzeć.

Twarz księcia zmierzchła.

-Nie wiem, zali my zbierać będziem, czy nas pozbierają. Za mało nas...

- Ludzi nic brak - powiedział również, poważniejąc Bogusław -jeno broni dla nich i ćwiczenia. Moi zdarli się jako mietła do gołej żerdki, tak że ostatnio nie było kim dowodzić i chłopami wojowałem. Są między nimi tacy, że by się niejedyn rycerz nic powstydział, jeno im wodza potrzeba. Powierzcie mi nad nimi dowództwo, to zdadzą się i w bitwie.

- Żebyś mnie ty nie prosił, ja prosiłbym ciebie - odparł książę. - Niechby choć przeprowie reszty wojsk cesarskich przeszkodzili.

Bogusław skłonił się i zbierał do odejścia, gdy książę dodał:

- Wraz się starszyzna zejdzie na radę przed bitwą. Dokąd spieszysz?  
- Muszę i ja się naradzić. Nielatwe daliście mi zadanie, niemal połowę cesarskiego wojska zatrzymać, zanim wy drugiej nie wyrzniecie. Jest o czym pomyśleć i kwapić się trzeba.

Starszyzna właśnie się schodzić zaczynała i coraz ktoś zaczepiał idącego Bogusława, bo lubiany był powszechnie, a jego przygody głośne już były. Ale nawet samemu Skarbimirowi odpowiedział:

- Wybaczcie! Wodzem chłopówostałem i pilno mi do nich. Po bitwie wszystko wam opowiem.

- Tyś zawsze pewny, że przeżyjesz, widzę zaś, że niewiele brakuje, a już byś nie żył.

- Gdzie tam niewiele! Całe jedno życie. A wolałbym go i zbyć, nie lękając się śmierci, niż przeżyć w ciągłym przed nią strachu.

- Nie mówię o strachu, ale każdemu kiedyś przyjdzie.

- Przyjdzie, to przyjdzie! Niechże tedy śmierć o mnie myśli, nie ja o niej. Żegnajcie! Po bitwie się obaczym. Głowę daję - zaśmiał się.

- A jak nie twoja będzie? - również uśmiechając się, odparł poważny Skarbimir.

- Tym łacniej dam nie swoją.

Pożegnał się i przystąpił do konia, którego trzymał mu Mirek. Przystąpił za giermka do Bogusława i pełen był dla niego podziwu, ślubując sobie, że musi mu dorównać. Gdy jednak Bogusław opowiedział, jakie książę powierzył mu zadanie, nawet w Mirku powstały wątpliwości.

- Jakoże to wydolicie uczynić? Nie uradzą nasi chłopci z kijami pancernym. A lepiej zbrojnych garść.

- Nie wydoli ręką, to wydoli głową. Gdyby nie to, nijakich wojen by nie było. Starczyłoby jeno policzyć ludzi, konie i oręż i kto ma więcej, ten wygrał, jakoby w kości. Jeno że po prawdzie i rękę mam ninie do niczego, i we łbie jeszcze mi szumi od ciosu. Ale też wszystkie gwiazdy obaczył, nawet te, których nie masz. Pójdźmy, bo we dwu nic nie uradzim, a ściemnia się już.

Istotnie pod zachód wiatr ruszył i nagnał chmur. Znowu zanosilo się na odmianę i noc zapowiadała się ciemna. Przez bagna nad Widawą zmierzali ku osadzie zwanej Osobowice, leżącej w pół drogi z cesarskiego obozu do Wrocławia. Ocalała od spalenia, bo dzielił ją od cesarskich podmokły las, a Henryk obawiał się podobnej jak w Bytomiu zasadzki. Osadników w niej nie było, bo wraz z dobytkiem uszli do grodu, ale roilo się od chłopów. I w lesie stały straża oraz kręciły się małe oddziały, podchodzące obyczajem swym aż pod cesarski obóz, spać przeszkadzając, gdy przeciw obwarowaniom nic więcej nic dało się poczynać. Zatrzymywano Bogusława co chwila i opowiadać się musiał, tak że noc już zapadła, gdy dotarli do osady. W pierwszej z kraju chacie, jaką mu wskazano, zastał kilku z chłopskiej starszyzny. Znali Bogusława, a radzi byli słysząc, że objąć ma dowództwo w nadchodzącej bitwie. Gdy jednak oznajmił, jakie książę powierzył im zadanie, twarde ręce skrobać jeły kudłate łby i zarośnięte policzki. Sam tylko stary Sapek, nic namyślając się, powiedział:

- Zawsze broniły nas lasy i woda; i ninie obronią.

- Woda wodą - odparł Bogusław. - Płynie i juści że przeszkadza. Ale bród jest pod Maślicami i nijak do niego dostąpić. A las stoi i przerwa w nim aż ku Widawie. Na otwartym polu trzeba by Niemcom zaskoczyć. Nie pójdzie inaczej, uczynim to, jeno że krwi szkoda za darmo, bo jedna setnia pancernych drogę otworzy. A cesarscy już po tej stronie, ale choćby i nic byli, czasu nie starczy przesiekę walić, bo z dala pnie zwłóczyć by trzeba.

- Ale woda je prędzej poniesie i nikt jej nie przeszkodzi - odparł Sapek.

Bogusław klepnął się w czoło i choć syknął z bólu, bo go w ranie zabolalo, roześmiał się.

- Mówił mi biskup Baldwin, świeć mu, Panie, bo właśnie pomarł, o takowym cesarzu, co biczami wodę siec kazał. Niechże i Henryk każe Odrę smagać, a my nią pnie puścimy i zawalimy bród.

Bogusław wstał, by zaraz wydać zarządzenia, ale Sapek odezwał się:

- Spoczniście i pożywcie się! Choć rzeka wolno tu idzie, od lasu do brodu jeno parę stajań. Nie wcześniej rozpoczną przeprawę, jak

o świcie, tedy pnie puścić trzeba o trzecich kurach, by im czasu nie stało usunąć. A zaraz tu zejdzie się starszyzna. Niech wiedzą, kogo mają słuchać i co czynić.

Wkrótce istotnie schodzić się zaczęli chłopscy przywódcy. Niejeden brodę miał już siwą, innym dopiero pierwszy zarost okrywać zaczynał twarz. Nie ustanawiał ich nikt, wojna sama wysunęła zdutniejszych na czoło. Między najmłodszymi Bogusław ujrzał Koska, którego pamiętał z walki pod Bytomiem. Zwrócił się do niego:

- Tośmy się znowu naszli, można by rzec: starzy towarzysze, gdyby nie to, że społem i pół wieka nie liczym. Rad jestem, że ze mną będziesz wojował, bo komes wielce cię zachwalał.

- Nie muszę tedy ja zachwalać swego wnuka - odezwał się Sapek.  
- Możecie mu śmieie zawalenie brodu powierzyć. Sam do roboty nicpotem, ale drugich poganiać potrafi, a śmiały jest.

Kosek poczerwieniał, a Bogusław roześmiał się.

- Inny koń do orki, a inny do boju potrzebny. Bojowe w innej cenie, tedy i wstydać się nie masz czego. Spraw się jeno, a łaskę księżęcą i moją życzliwość pozyszczesz.

Wyjaśnił, czego żąda od niego, a gdy Kosek odszedł wybrać chłopów z toporami do walenia pni i łuczników do ochrony, Bogusław zwrócił się do pozostałych przywódców:

- Wiecie już, że jutro bitwa? Mnie ksiązę Bolko zlecił nad wami przywództwo. Nie czeka od nas, byśmy szyki cesarskie rozrywali, bo i nie wydolim, jeno na już rozerwane uderzyć mamy. Ale żeście już wojny wachali, tedy każdy sam rozumie, że nie zawždy wszystko tak idzie, jak ułożone. Jeden przewodzi, ale myśleć musi każdy, bo i rozkaz nieraz nic dojdzie w zamęcie. O północy ludzi mieć w gotowości, bo za Widawę o ćmie przejść musimy, a brody na niej przez cesarskich zajęte i obchodzić trzeba. Teraz pożywić się i przespać, bo chyba nie raniej spać i jeść będziemy, aż się bitwa skończy. Z Bogiem!

Starszyzna odeszła, a Bogusław, głodniejszy snu niż jadła, przekąsił byle co i spać się uwalił przy palenisku, kazawszy się Mirkowi obudzić o północy.

Spał i obóz cesarski, a choć strażę słyszały huk toporów i szum walonych drzew i zawiadomiły o tym przewodzącego wojskom, pozostającym na lewym brzegu, kolońskiego arcybiskupa Fryderyka, ten jeno ręką machnął.

- Niech wała! Pewnikiem komes wrocławski chce gród od tej strony przesieką ubezpieczyć. Ale że go dobywać nie będziemy, tedy niechże się trzudzą po próżnicy.

Obrócił się na drugi bok i spał spokojnie do świtu, kiedy go ponownie obudzono. Stał nad nim rycerz Willibald, mówiąc:

-Wasza przewielcność! Bród zawalony, a tam już się chyba zaczęło, bo gwar słyhać. Co nam poczynać?

Fryderyk zerwał się i pospiesznie wyszli ku rzece. Gładka jej płaszczyna, w miejscu gdzie był bród, jeżyła się zwałem splątanych pni i konarów, a wciąż jeszcze napływały nowe, zatrzymując się na przeszkodzie.

Arcybiskup zaklął, po czym przeżegnał się, wspomniawszy, że pa-cierzy jeszcze nie odmówił i dzień od imienia biesa rozpoczyna. Ale nic było innej rady, jak pnie usuwać, które zaostrzonymi kikutami konarów wryły się głęboko w piaszczyste dno. Gdy nic szło, kazał ciąć sterczące nad wodą gałęzie, a powstałą tamę faszyną przyrzucić, by po niej przejść jak po grobli. Robotą potrwac musiała co najmniej do południa; spóźni się na bitwę, jeżeli polski ksiązę ją przyjmie. Nasłuchiwał dalekiego gwaru i nakazawszy zawiadomić cesarza o tym, co zaszło, odszedł odprawić nabożeństwo i pożywić się. Czasu miał dość.

Gwar jednak zaczął się już o północy. Pod cesarski obóz nad Widawą coraz to podchodziły w ciemnościach gromady, usiłując za sobą pościg wywabić. Straże oganiały się, pozostali jednak, przywykli już de gwarnych nocy, nic pozwolili sobie przerwać wypoczynku przed bitwą albo, w co bardziej wierzyli, przed pochodem na Kraków. Na-reszcie przestaną iść bezdrożami, dotarłszy do gościńca, na którym leżał kres wyprawy. Radzi byli, że Henryk gród za sobą zostawić postanowił. Wspomnienia Głogowa nie były miłe, a Wrocław, większy i silniej obwarowany, nie zachęcał do oblężenia. Hałas obudził i rycerza Gotfryda. Odwrócił się jeno na drugi bok i derę zaciągnął na gło-

liczby i broni, postanowił skończyć za jednym zamachem i nie pozwolić Bolesławowi wycofać się, gdy bitwa zacznie niekorzystny dla niego przybierać obrót. Jeśli się to uda, zwycięski koniec wojny zapłaci za dotychczasowe trudy i straty, a pojmany Bolesław - za troski i upokorzenia, jakie Henryk przez niego ponieść musiał. Polski książę znany był z tego, że w bitwie osoby swej nie zwykł oszczędzać. Jeśli nie legnie, to dostanie się w cesarskie ręce. Pożąda więc wówczas, że nie przyjął łagodnych warunków cesarza.

Podniecony tą nadzieją Henryk wyjechał na czoło i wskazując na wyżynkę, krzyknął:

- Gott mit uns! Vorwärts!

Dowódcy powtórzyli rozkaz. Prażanie i kopijnicy ruszyli miarowym krokiem, aż ziemia zadudniła pod ciężarem, i posuwali się jak mur żelazny, najeżony dzidami. Nie zważali na kręcących się przed nimi polskich harcówników, których pociski dźwięczały po pancierzach, niewiele jednak czyniąc szkody okutym w żelazo wojownikom. Tymczasem bezpieczni za plecyma saskiej piechoty procarze i łucznicy nieustannie sypali na harcówników grad kamieni i strzał. Ranione konie kwiczały, niektóre biegały bez jeźdźców, wrzask i szczęk broni rósł z każdą chwilą, głośząc rozkazy, ale mężni Sasi parli naprzód niepowstrzymanie.

Pojaśniało tymczasem zupełnie, nawet niebo przetarło się i przez chmury przeświecać zaczął mały krążek bladego słońca. Wyczyszczone na postoju z błota i rdzy zbroje zamigotały w świetle, poranne mgły opuściły widnokrąg i na wyżynce, ku której zmierzały wojska cesarskie, widać było występujące szeregi tarczowników Bolesława. Chwila jeszcze, a i one ruszyły ławą i wojska zbliżyły się szybko. Cesarzowie zaczęli powstrzymać powietrza w okute żelazem piersi, a serca zabiły im z otuchy. Wojom w skórzanych kubrakach, zbrojnym jeno w sulice, nie mierzyli się z pancernymi!

Ale o tym wiedział i polski książę. Ława jego piechoty przełamała się nagle, zostawiając środkiem wolną ulicę, w którą jak woda po

otwarcu zastawy runęła pancerna jazda. Wbrew wszelkiej sztuce wojennej Bolesław od razu rzucał na szalę, co miał najcięższego. Jazda szła klinem po pochyłości, jak pocisk, a na czele na siwej klaczy, w świetnej zbroi, pędził sam Bolesław.

Obydwa wojska wydały jeden okrzyk. Sasi i prażanie bez rozkazu stanęli w miejscu i jak jeden mąż pochyliwszy włócznie, zatknęli je w ziemię, a dobyli mieczów, od których blasku jakby błyskawica przeleciała przez szeregi. Harcównicy polscy natychmiast doskoczyli, by pancernych ochronić od skrzydeł, a w razie przełamania piechoty wdrzeć się w środek wojsk cesarskich i zamieszanie wywołać. Równina trzęsła się od kopyt idących w skok koni. Zdało się, że jazda polska przetnie ścianę piechoty od jednego zamachu i uderzy na ustawione z tyłu konne rycerstwo, na którego czele stał sam cesarz. Rycerze poprawili się w siodłach, silniej ujmując kopie. Cesarzowi zabiło serce. Teraz zdało mu się, że zbyt był pewny siebie, rozpoczynając bitwę połową swych wojsk. Na myśl, że za chwilę twarzą w twarz zmierzy mu się przyjdzie z polskim księciem, ręka mimo woli ściągnęła wodze konia, a oczy niespokojnie pobiegły na boki, jakby szukając drogi, którą uchodzić będzie trzeba. Tymczasem szczęk żelaza i łoskot łamanych włóczni zagłuszył przez chwilę ogromny wrzask, który jak grzmot przelewał się przez pobojuwisko.

Bogusław z chłopami wyruszył o północy, bo drogę miał daleką, zmuszony obchodzić wojska cesarskie i bez brodu przebyć grząskie, choć niezbyt głębokie rozlewiska Widawy, by dostać się na lewe skrzydło wojsk niemieckich, oparte od północy o nieprzebyte bagna, zarośnięte szuwarem i trzcina. Ku wschodowi bagno przechodziło w zarośla, a potem w las ciągnący się aż ku wyżynce, na której stanęły polskie wojska. Do niego zmierzał Bogusław, by, przystawszy się w lesie, w czasie bitwy znaleźć się na tyłach wojsk cesarskich i w razie ich rozbicia drogę odwrotu zaskoczyć.

Chłopi wlekli się mozolnie i już pierwsze oznaki wstającego dnia ukazały się na niebie, gdy zziębnięte i przemoczone gromady wchodzić zaczęły w las. Bogusław zatrzymał się na skraju, by wojsko swe przejrzeć i policzyć. Idący z nim Sapek uwalił się na mech i dyszał ciężko.

<sup>1</sup> Gott mit uns! Vorwärts! - Bóg z nami! Naprzód!



Ludu było parę tysięcy, ale zbrojnych tyle jak lub zgoła bez broni. Lepiej zbrojnych zabrał Kosek. Mimo to Bogusław nie był spokojny, czy Kosek zdoła wykonać zadanie, od którego, być może, los bitwy zależał. Zwrócił się do Sapka:

- Mniemacie, że Kosek poradzi temu, co przedsięwziął?

-Bród zawali - odparł stary, szcękając resztką zębów - bo i nie bardzo mogą mu przeszkadzać. A czy mimo to nie przejdą, wraz pomiarujemy, bo gdy się rozjaśni, widać byłoby nadciągające stamtąd wojska.

Bogusław zaraz wysłał ludzi, by mieli oko na Widawę, do księcia zaś pchnął posłańca z zawiadomieniem, że zajął już wyznaczone miejsce. Zwracając się do Sapka, powiedział:

- Tu ogni palić nie można, a kto wie, jak długo czekać nam przyjdzie, wam zaś zdałoby się ogrzać i wysuszyć.

- Zdałoby się nie tylko mnie, ale nie odejdę teraz. Chcę na własne oczy uźrzeć, jak cesarz będzie przed Bolkiem pomykał, choćbym je potem zamknąć miał na wieki, bo i czas mi.

- Daj Boże obaczyć! Ale może i do wieczora czekać trzeba!

- Ile trzeba, tyle poczekam. Ale baby możecie wysłać w głąb boru, skąd dymów widać nie będzie. Nic im do bitwy, a niechby choć gorącej kaszy uwarzyły.

-Nie wiedziałem, że i babskiemu wojsku przewodzę - zaśmiał się Bogusław i, zwracając się do Mirka, polecił niewiasty odesłać na ubocze, gdzie by końca bitwy doczekały, Mirkowi zaś, gdy powrócił, kazał wyleźć na najwyższe drzewo na skraju lasu i mówić, co widzi, bo wzrastający gwar zwiastował, że walka już się nawiązywać zaczyna.

Rycerz Gotfryd stał w pierwszym szeregu przybocznego orszaku cesarza, wraz z innymi, którzy odznaczyli się czy to męstwem w boju, czy przemyślnością. Ze swego wysokiego siodła, ponad głowami pieszych wojsk widział idące polskie uderzenie, gdy zaś prażanie prysnęli pod nim jak gliniany garnek kopnięty butem, przymrużył oczy, pewny, że zaraz wręcz spotkać się przyjdzie z wykutym w ogniu wielu bitew wyborem wojsk Bolesławowych.

Nagle straszliwy łoskot jakby tysiąca kuźni uderzył w jego uszy. Oczy otworzył nieśmiało i odetchnął. Sasi ugięli się w miejscu uderzenia, ale jeno jak pod ciosem tarcza z wołowej skóry, żelazem okuta. Tylne szeregi sprawnie wypełniły powstałą lukę i nie tylko nie cofnęły się, ale powstrzymywały pęd, ruszyły naprzód. W szeregach polskich zagrały rogi i pancerni, zawróciwszy, wycofali się ze skrzętu, a sascy kiryśnicy ścinali się już tylko z wciąż doskakującą gromadą harcowników, przeszkadzających im w zwarciu się z tarczownikami Bolesława, których ściana zamknęła się znowu za cofającą się jazdą.

Henryk, widząc to, wysłał rozkaz do stojącej na skrzydłach lekkiej jazdy, by spędziła harcowników, oczyściła pole do bitwy; i między czołami obu wojsk zawichrzyła się bezładna, ale zacięta walka, w której Polacy męstwem wyrównać usiłowali nierówność uzbrojenia.

Walka ta ściągnęła na siebie uwagę wszystkich, tak że dopiero zamęt i zamieszanie na lewym skrzydle cesarskich przestrzegły, że nadchodzi nowe uderzenie.

Tym razem Bolko z pancernymi wyskoczył zza ściany swych tarczowników od prawego skrzydła i dopiero gdy był w pół drogi - rozganiając lekką jazdę jak wichur liście lub kładąc ją pokotem - Sasi spostrzegli się, że znowu trzeba im wytrzymać uderzenie.

Nic tracili jednak głowy. Nie litując się własnym jeźdźcom, którzy przez ich szeregi szukać chcieli ratunku - zwarli się, a kłębiący się przed nimi zwał ludzi i koni złagodził natarcie. Ostali na miejscu, a potem po trupach ruszyli za ustępującą znowu jazdą, korzystając, że otworzyło się pole.

Ale polski książę nic chciał dopuścić, by w dobrym szyku spotkali się z tarczownikami, którzy ulec musieliby przewadze. Zawrócił i uderzył po raz trzeci. Konie jednak nic miały gdzie nabrać pędu, a na równi z jeźdźcami chrapliwie łapały już oddech w znużone piersi.

Pancerni cięli się jakiś czas z Sasami, ale Bolko, widząc, że nie przełamie żelaznych szyków, zawrócił i skrył się za bliskimi już krzami na wyżynce. Jeszcze harcownicy przeszkadzali w zwarciu się

pieszonych wojsk, ale i im ręce już mdlały, a ulewa pocisków, idąca na nich, coraz to kogoś strącała z konia.

Henryk, widząc, że bitwa przechyliła się na jego stronę, nabrał ducha. Gdy teraz uderzy z konnym rycerstwem na znużony już hufiec pancernych Bolesława, bitwa będzie rozstrzygnięta. Drogę jednak zamykała własna piechota, wobec czego postanowił ją objechać i od strony lasu zaskoczyć.

Na jego rozkaz żelazne rycerstwo zawróciło w miejscu i wezwawszy okrzykiem św. Jerzego, swego patrona, ruszyło klusem od czoła, gdy oczy idących w przód uderzył niespodziany widok: naprzeciw nich z lasu wysypywało się mrowie ludzi i z wrzaskiem straszliwym szło na pancernych.

Rycerze przez kraty w opuszczonych przyłbicach patrzyli ze zdziwieniem na zuchwałców. Z nadbiegających mało który miał jakieś żelazo w ręku, najczęściej jeno kije sękaty. Jeden rycerz starczy na stu takich wojowników. Bez rozkazu też pochylili kopie i skokiem puścili konie. Ale tłum był tuż i samym swym ciężarem zahamował pęd. Rycerz Gotfryd nie pchał się zrazu ku przodowi, pomny doświadczenia, że do bitki spieszyć się nie należy oraz że kijem też można oberwać boleśnie. Starczy, by mu okaleczono konia, a znowu pieszo iść by musiał, do czego nie czuł już sił ni ochoty. Walczący w przód rycerze niewątpliwie z chłopami sobie poradzą. Gdy rozbitych ścigać przyjdzie, nie da się nikomu wyprzedzić. Na tę chwilę oszczędzał własne i końskie siły, teraz jednak pozwalał wyprzedzać się nierozważnym młodzikom, drącym się do przodu, by dać upust swej złości do chłopstwa, które im tak długo bezkarnie dokuczało, nie pozwalając wypaść się ni zjeść spokojnie. Rycerz Gotfryd dłonią swej rozważki trzymał na wodzy męstwo tak skutecznie, że znalazł się w tylnych szeregach. Gdyby, nie daj Boże, uchodzić przyszło, w tym nie wyprzedzi go nikt. Przez chwilę zaś istotnie zdało się, że ciężar liczby przeważy nierówność uzbrojenia. Niejeden z walczących w przód dał nurka pod konie, by nie ukazać się wiecej.

Nierówna walka nie mogła jednak trwać długo, choć chłopstwo z niesłychaną zajadłością dawało opór, bijąc kijami konie po nogach,

gołymi rękoma ściągnając rycerzy z siodła, nie bacząc, że miecze tną bezbronnych jak sieczkę; nożami szukali miejsca między spojeniami pancerzy, by dobrać się do rycerskiej skóry. Padali jednak tak gęstym trupem, iż widoczne było, że choć liczni jak sfera zajadłych kundli, szarpiących za kudły niedźwiedzia, niedługo zdołają go powstrzymać, by nie runął na łowcę i nie rozdarł go.

Jakoż na chłopskich tyłach rozległy się dźwięki rogów, a tłum jak walczył zaciekle, tak nagle rzucił się do ucieczki, by w lesie znaleźć ochronę przed zagładą.

Ale niemieckie rycerstwo brało teraz pomstę za nie spane od mięsięcy noce, głód i upokorzenia. Na karkach uchodzących jechały żelazne zastępy, tnąc bez wytchnienia, aż ręce mdlały. Razem z chodzącymi wpadły w las. Ale tu trudniej już ciąć było, bo las podszyty nieprzejrzysty był, a tłumy rozsypały się, szukając schronienia za pniami i w krzaczach. Zresztą dźwięki spiżu wzywały już do odwrotu, rycerze więc powściągali zapalczywość i zawracali w pole, by się na skraju lasu ponownie uszykować.

Tym razem widok, który uderzył ich w oczy, nie zdziwienie wywołał. Pancerny huf Bolesława przeciął już szeregi wojsk cesarskich od skrzydła do skrzydła za plecami saskich kopijników, kładąc mostem procarzy i łuczników, a zamieszanie wprowadzając w saskie szeregi. Nim się bowiem odwróciły czołem ku jezdny, wpadły na nich pieśsze zastępy polskie. Szyki pomieszały się, walka przedstawiała jedno kłębowisko ciał ludzkich i końskich, z którego wychynął hufiec Bolesława i szedł już pędem na stojących bezładnie i bezradnie pod lasem pancerników cesarskich. Byli o pół stajania, czasu nie stało na nic, nawet na sforną ucieczkę, a już z lasu rozlegały się wrzaski wracającego znowu tłumnie chłopstwa.

Henryk stracił głowę, choć o tym jedynie myślał, jak jej nie stracić. Cisnął tarczę z herbami i złoty łańcuch, by go nie poznano, i spiąwszy konia puścił go pędem ku brodowi na Widawie, lękając się, by mu nie odcięto odwrotu. Za nim uczynił to, kto jeno wydolił, gdy reszta zwarła się już z nadchodzącą nawałą, broniąc jeno życia, bo tylko to ocalić jeszcze było można.

Rycerz Gotfryd, który nabrał ducha, widząc, jak bezskutecznie polski książę usiłuje złamać saskie szeregi, w spotkaniu z chłopami dał dowody niezwykłego męstwa. Sam się dziwił, jak łatwo mu przychodzi kłaść pokotem przeważającego liczbą wroga. Pędząc za nim, myślał już o chwili, gdy z łupami, brańcami i sławą wróci na swój zameczek, by do końca życia opowiadać o swych przewagach w jakim kraju, o którym mało kto słyszał nad Renem. Choć myślenie szło mu zazwyczaj ciężko, a i zmyślanie niełatwo, wpadł na to, że pięknie będzie kudły na odkrytych chłopskich głowach przedstawić jako pióropusze na hełmach, kubraki za pancerze, a kije za miecze. Ilość zaś pobitych wrogów można pomnożyć przez dwa. Można by i przez trzy, ale trudniej było, zresztą i tak wychodziła pokaźna liczba.

Uskrzydłona myśl dodawała rozpędu ociężałemu zazwyczaj ciału i zawzięcicj od innych ścigając pierzchające chłopstwo, wpadł z nim w las i nie widział, co się dzieje na polu bitwy. Męstwo swe już nasycił, teraz więc rozglądał się, czyby jakichś brańców wziąć się nie dało. Byli mu niezbędni, bowiem nie był pewny, co się stało z jego knechtami. Zresztajeśli Henczka w domu zastanie, pasy z niego drzeć każe, pozostałych zaś zegna z ziemi i obsadzi ją jeńcami. Knechci podczas wyprawy zupełnie wyszli z posłuszeństwa i nie dbali o dobro swego pana.

Ale konno ścigać pieszych w podszytym lesie nie zdało się na nic. Rycerz rozważył tedy, co mu uczynić wypada. Z pola dochodziły jeszcze krzyki i jakby się nasilały. Widno bitwa jeszcze trwa, spieszyć się nie trzeba.

Nagle jednak krzyki przeszły w jeden wielki wrzask, któremu jak echo odpowiedziały głosy z lasu i zbliżały się szybko. Nie bacząc tedy, że łeb może rozbić o gałąź, Gotfryd puścił konia w skok i wrócił na skraj lasu po to, by ujrzeć plecy uchodzących bezładnie towarzyszy.

Przerażenie błyskawicą rozświetliło jego powolny umysł. Uchodźzi na końcu - to śmierć! Bez wahania zeskoczył z konia jak młodzik, nie myśląc o tym, że dopiero co zapłacił za szkapę połowę cesarskiego łańcucha, jednym susem znalazł się w kępie krzów i przycupnął w niej jak zając, z przerażeniem nasłuchując odgłosu kroków nadbie-

gających zewsząd ludzi i modląc się, by nie usłyszeli szczękania jego zębów, które zdało mu się głośnie jak dzwon.

Ale głosy, na szczęście, oddalały się i wkrótce cisza zapanowała dokoła. Jeno z pola dochodziły jeszcze wrzaski, ale i one cichły. Bitwa dopalała się i gasł także złowrogi dzień.

Szlachetny rycerz odetchnął głębiej i zaczął myśleć. W żadnym razie nie może wyjść z lasu, a lepiej jak najprędzej znaleźć się z dala od tego miejsca. Zapewne nie on jeden szukał w lesie schronienia i może w nim napotkajakich towarzyszy, z którymi społem zdoła ująć swego losu.

Najbliższym jednak strapieniem było pytanie, czym żywić się będą, i na tę myśl aż zakłuło rycerza w żywocie. Od świtu nic nie miał w ustach, a wieczór już zapadał. W lesie zaczynało być mroczno.

Strach wciąż jeszcze silniejszy był od głodu. Gotfryd ruszył na północ, unikając wszelkiego szmeru, choć trudno było po ciemku i w zbroi, która miała skłonność szczękać zdradliwie, a sam zdjąć jej nie umiał. Za najłżejszym też szmerem przystawał i nasłuchiwał trwożliwie. Omal nie krzyknął z przerażenia, gdy spod nóg prawie wyrwało mu się z łopotem skrzydeł jakieś ptaszysko. Ale w miarę jak uspokajał się, brzuch coraz głośniejszym przypominał, że pusty od rana. Zapach grzybów raz za razem uderzał jego nozdrza; byłby żarł surowe, ale zbyt już było ciemno, by je znaleźć. Przełykał gromadzącą się w ustach ślinę, ale trudno tym było zasycić coraz wzrastający głód. Rycerz usiadł, bo uczyniło mu się mdło.

Poderwał go nagle zapach dymu, w którym uczulone głodem powonienie wyróżniło rajską woń wędzonego mięsa i gorącej kaszy. Woń płynęła z powiewem z zachodu i rycerz, węsząc jak ogar, skierował się tam, nie bacząc już, że ogień i strawę mogą mieć tylko ludzie.

Szedł jak zgłodniały wilk, którego w pułapkę ciągnie zapach jagnięcia, mimo że przezorność ostrzega, iż woń wabi go w zasadzkę, z której nic ma wyjścia. Zapach był coraz silniejszy, a gdy Gotfryd minął kępę zarośli, zauważył poblask ognia. Niemal pełznąć podsunął się jeszcze bliżej i ujrzał ognisko: ciepło, światło i jedzenie! Ciągnęło go nieprzeparcie. Serce z trwogi podejść chciało do gardła, ale już tam podszedł żołądek.

Przy ognisku siedziały trzy niewiasty i mieszały kopyścią w wiszącym nad nim sporym kociołku. Zawartość jego starczyć mogła rycerzowi na długo. Ognisko patrzyło na niego jak oko opatrności, którego żrenicą był kociołek.

Zagadane niewiasty nie słyszały szmeru i rycerz znalazł się wreszcie o parę kroków od ogniska, zakryty krzami przed jego blaskiem. Z tego, co mówiły, nie rozumiał nic.

- Skończyć już musieli - powiedziała jedna z niewiast.

- Dawno już nic nie słysząc - rzekła druga. - Pójdźmy - dorzuciła trzecia. - Inne już poszły. Choćby i nie skończyli, pożywić się muszą.

- Zaczekajmy na Trzszkę, skoro...

Rozpoczęte zdanie przerwał straszny ryk. Niewiasty z piskiem odskoczyły od ogniska, którego blask oświetlił postać rycerza z mieczem w ręku.

Runął na bezbronne kobiety; jak sarny skoczyły w gąszcz, a rycerz za nimi. Ani mógł, ani zamierzał ścigać je w ciemności. Chciał jeno odegnąć jak najdalej, by porwać kociołek i uchodzić w przeciwną stronę. Coś zaszeleściło za nim, we łbie mu zahuczało i padł jak długi. W pustej głowie dzwoniło tysiące dzwonów. Tyle jeno miał świadomości, że poczuł, iż ktoś siedzi na nim, i usłyszał głos:

- Mam go! Pójdźcie na pomoc, bo nie utrzymam sama, gdy się ciśkać pocznie.

Rycerz poczuł, jak wloką go za nogi ku ognisku. We łbie huczało mu jeszcze, ale świadomość wracała, a z nią przygnębienie tak wielkie, że nie poruszył się nawet, gdy mu ręce wiązano na plecach. Zamknął oczy i leżał jak trup.

- W samą porę nadeszłaś, Trzszka! Kociołek byłby przypadł i co byśmy naszym zaniósł?

- Zdechł? - zapytała druga.

- Gdzie zaś - odparła Trzszka - jeno kijanką w łeb go dzieliłam, a namoczona buczyna ciężka jest. Ale hełm przecie ma. Tedy jeno ogłuszony jak ryba pod kamieniem.

- Iście do suma podobny - zaśmiała się trzecia. Ochłonęły już i oglądały rycerza jak dziwowisko.

- Popatrz, Trzszka. Złoty łańcuch ma. Łupem ci się należy. Ani twój takiego nie dobędzie, choć mocarny jest.

- I mnie krzepy nie brak - powiedziała Trzszka z dumą. - A do suma ten ci iście podobny. Czarny na pysku, gębę ma szeroką i długie wąsiska. Dmuchnij no mu w te wąsy, to orzeźwieje.

Rycerz Gotfryd poczuł, jak mu coś podsunęto pod nos i dmuchnięcie wypełniło jego nozdrza dymem. Kichnął potężnie.

- Widzisz! - zaśmiała się niewiasta. - Żywię! Tedy brać kociołek i jego i pójdziemy do naszych. Musi cesarskich rozpirzyli, kiedy ten biedroń aż tu się nalazł. Żarłby, cośmy dla swoich nagotowały! Nie-doczekanie!

Choć spoglądał na kociołek tak żałośnie, że kamień by wzruszył, bez litości szturchańcami zmuszono go, by wstał. Szedł, zataczając się na uginających się z głodu i znużenia nogach. Na dobytek wesoła Trzszka, podśpiewując, wybijała patykiem takt na zbroy męznego rycerza.

Jak zabiegliwy gospodarz, nie bacząc, że żniwiarzom trud wyszał szpik z kości, sprzątać każe zżęty łąn, póki ostatni policzony snop nie znajdzie się w spichrzu, tak Bolesław nie dał nikomu spocząć po bitwie. Starszyzna składała sprawozdanie o stratach. Młódź rycerska rozpinała namioty, by ranni towarzysze schronienie znaleźli przed nadchodzącą słotą, i znosiła poległych, by uczić ich pogrzebem. Prości zaś woje i chłopci zwlekali łupy, chwyтали rozbiegane konie, przeszukiwali bagna i chaszcze, a schwytyanych rozbitków cesarskich wojsk prowadzili przed księcia.

Nie żądał już jeno księżę od swych wojów pościgu za uchodzącym cesarzem. Musieli wreszcie wypocząć do syta, a Bolko wiedział, że sił już nie ma, by dzisiejsze zwycięstwo powtórzyć; prócz męstwa, ofiarności, trudu i przemyślności złożyło się na nie rozdwojenie sił cesarskich i powściągliwe w rozstrzygającej chwili zachowanie się grafa Wiprcchta. Bolko rozumiał powody, które kierowały dumnym grafem. Zamiast tracić swych ludzi, by uratować dla cesarza zwycięstwo, wołał zachować swą siłę dla siebie, a przez nią wpływ na wykrwawionych przeciwników, którzy teraz o niego zabiegać będą

chcieli. Toteż w bitwie ograniczył się do obrony i choć dwa tysiące sfornych a nietkniętych zastępów miśnieńskich mogło jeszcze zwycięstwo przeważyć, wycofał się niemal bez strat, bo i Bolesławowi sił ni czasu nie stało, by mu przeszkodzić.

Straty natomiast zarówno po cesarskiej, jak i polskiej stronie były ogromne. Zwłaszcza w miejscu, gdzie Sasi odpór dawali Bolesławowym, i tam gdzie chłopstwo gołymi rękami rwało pancernych, leżały sterty trupów. Chłopi jeno płakać będą swoich, ale możliwe rody krzywo już patrzyły, jak ustawiczne wojny upuszczają im krwi, osłabiając ich siłę wobec księcia, a wypełniając powstające w szeregach rycerstwa luki nowymi ludźmi, których wysuwała każda wojna.

Drużyna zresztą dała z siebie wszystko, czego można żądać od człowieka. Półroczne, ciężkie zmagania, zawsze z przeważającym wrogiem, zakończyła zwycięską, ale krwawą bitwą, w którą włożyła resztę swych sił. Nie było niemal woja, który by w tym czasie trzy lub cztery razy nie zmienił konia. Ludzi nie było kim zastąpić, a ci, co zostali, pozbawieni byli zupełnie sił.

Toteż gdy jeno pozbierali poległych i rannych towarzyszy, walili się, nie czekając na warzoną przy ogniskach wieczerzę, często i zbroi nie zdejmując. Książę tylko, choć sam najczęściej się spracował, nie poszedł jeszcze spocząć. Faliszowi z narocznikami, którzy najmniej ucierpieli w bitwie, polecił brodu na Odrze pilnować, by cesarz nie pomyślał o odwecie ze świeżymi siłami, które za rzeką stały czasu bitwy, daremnie usiłując przejść przez rzuconą na niej groblę, którą Koskowy oddział swymi i niemieckimi ciałami zawalił. Sam książę dopilnował załadowania ciężej rannych na wozy, które odeszły do wrocławskiego grodu, a wreszcie, posiliwszy się, usiadł przy wielkim ognisku, by nagrody rozdać zasłużonym.

Weiaż jeszcze prowadzono jeńców, ale noc tymczasem zapadła i dalsze przeszukiwanie okolicy trzeba było do następnego dnia odłożyć. Tymczasem zaś palatyn Skarbimir, który biegle władał niemieckim językiem, wypytywał jeńców o wszystko, co mogło mieć znaczenie czy to w dalszej wojnie, czy w układach, które, jak sądził, cesarz chce znowu rozpocząć. Potem podzielono jeńców na dwa oddziały: ci,

co się wykupić mogli, odejść mieli do Wrocławia, by tam nadejścia okupu oczekiwać, pozostali zaś jako niewolnicy zaludnić mieli księżę, kościelne i rycerskie osady.

Książę powstał, by wreszcie udać się na spoczynek, gdy uderzyło go poruszenie wśród kręcących się dokoła ludzi. Biegli oni w stronę lasu, skąd dochodziły wybuchy śmiechu rozszerzającego się coraz bardziej.

Bołko nie miał ckliwego serca, ale śmiech na tej krwawej równinie wywołał zmarszczkę na jego czole. Wyglądziła się jednak zaraz, gdy ujrzał jego przyczynę. Hoża i rosła niewiasta wiodła na powrózku przybranego w zbroję rycerza, opowiadając z kpinkami tłoczącym się zewsząd ludziom, jak go pojmała. Doszedłszy do księcia, zgola nie zmieszana jego widokiem, rzekła:

- Ten oto rycerz z niewiastami mieczem chciał wojować. Jenó że i mnie krzepy nie brak, i jak go kijanką przez garnek zdzieliłam, na ziemię się pokocił. Prawili mi, że męstwo wynagradzacie, tedy przysłałam i ja po swoją nagrodę.

Bołko z uśmiechem rozejrzał się po leżącej przed namiotem stercie łupów, ale nic znajdując tam nic odpowiedniego dla niewiasty, zdjął z palca pierścien z krwawo błyszczącym kamieniem i wręczając go, powiedział:

- Ten rycerz tyle niewart, jeno twoje męstwo. Jak cię wołają?

W tej chwili jednak szlachetny Gotfryd, miarkując, przed kim stoi, rzucił się na kolana i wznosząc pochyloną dotychczas twarz mokrą od łez, skapujących po obwisłych wąsach, zawołał:

- Kaźcie mnie, panie, ściąć, bo nie przeżyję tego wstydu!

Książę spojrział na niego z obrzydzeniem i odparł:

- Mogłeś jak rycerz od miecza zginąć, gdy sam miecz miałeś w ręku. Ale żeś go na niewiasty obrócił, tedy jak psa obwiesić cię każę.

Rycerz Gotfryd padł plackiem do stóp księcia, wołając:

-Zmiłujcie się, panic! Jenó postraszyć je chciałem, by się pożywić, bo umieram z głodu.

Ponowny wybuch śmiechu rozbroił Bolesława, który rzekł jednak surowo:

-Jak widzisz, nawet niewiasty nasze niclacro postraszyć, a twój pan mnie postraszyć zamyślał.

Zwracając się zaś do komornika, dodał:

- Dać mu żreć, a potem do orki odesłać. Może się lepiej do niej nada niż do wojaczki.

Stojący za księciem Sapek ozwał się cicho:

- A cóże z tymi, co się i do orki, i do wojaczki zdali?

Ale pytania tego nikt nie usłyszał. Wśród gwaru i prześmiejchów tłum zaczął się rozchodzić i, od doby niemal pełne wrzawy, pole milknąć zaczęło. Wkrótce czuwały jeno senne strażę i zbiegające się jak do jatek psy, ciągnące zadzwonić zębami podzwonne trupom cesarskich wojowników, których pogrześć czasu nie było. Nazajutrz książę przeszedł znowu Odrę i psy same już gospodarzyły na pobojo-wisku, które na wieki od nich wzięło swą nazwę.

>

## XV. ŁABĘDZIE

Wychudły na szczapę Przedślaw pozostał w Głogowie. Wypalił się do cna jak ona wieża, pod szczątkami której spłonał zezwłok Zdzicha. Nawet kości jego nie można było rozoznać wśród sterty wrogów. Zniknął, jakby go nigdy nie było, a przecie tylko Przedślaw oczy zamknie, widzi jasną głowę syna. Ale gdy je otworzy, pustka przed nim. Żeby nie Radka, byłby szczeń z głodu, bo ona jeno, pilnując go dniem i nocą, doprosić się mogła, by coś na ząb wziął. Bała się, że rękę na siebie podniesie. Nie obchodziło go nic, nic pytał o nic, nawet o wieści, które od czasu do czasu nadchodziły do grodu coraz lepsze. Aż jednego dnia zatętniły na północnym moście liczne kroki, a do izby, w której siedziała Radka z ojcem, wpadł Miłek i krzyknął:

- Nasi wrócili!

Już go nie było, a Radka wybiegła za chłopcem.

Zewsząd słyhać było tupot biegnących nóg, jeno Przedślaw się nie ruszył. Kogo ma witać? Nie ruszył się też, gdy liczne głosy rozległy się koło domu i od plebanowcj siedziby doszły go radosne okrzyki. Drzwi otworzyły się i weszła cicho Radka. Stała przy ojcu i gładząc go łagodnie po łysinie, szepnęła:

- Mirek wrócił. Sam książę go chwalił, miecz i konia mu podarował. Wždy to wasz wojak i sąsiad... i najlepszy druh Zdzicha, Przystoi, byście mu dobre słowo rzekli na szczęście.

Załamała ręce. Stary za siwy łeb się chwycił i tłuc nim jął o stół, wołając:

- Sześciu ich było i sześciu ostało... a ja jednego miałem i nic mam nic... nic!

Przytuliła się do niego, hamując łzy. Gdy się uspokoił, ponowiła prośbę.

- Powitajcie Mirka. Niech widzi, żeście mu życliwi.

Przedślaw dźwignął głowę. Przez chwilę siedział z zamkniętymi oczyma, ale zdało się jej, że coś się poruszyło w martwej zazwyczaj twarzy ojca. Potem spojrział na nią. Zarumieniła się i zapytała nieśmiało:

- Mogę go sprowadzić?

Przedślaw przygarnął dziewczynę. Oddawała mu uścisk przez chwilę, po czym powtórzyła pytanie:

- Mogę przywieść Mirka? Niechaj opowie, jako wojowali i jak sam książe nad wszystkich was wysławiał.

Machnął ręką gniewnie, odpowiadając, silił się na spokój:

- Proś i starego Wyżgę. Niechaj nie myśli, że mu zawidzę.

- Może piwa wam przynieść?

- Nie, córuś. Wina przynieś dla takich gości. Uczcić ich przystoi.

Radka pocałowała ojca w rękę i wybiegła, a stary siedział przez chwilę nieruchomo. Potem dźwignął się ociężale i biorąc kostur, ruszył ku wyjściu. Stał na podcieniu i spozierał ku plebanii, skąd dołatywał gwar licznych głosów. To bracia witali Mirka, zasypując go pytaniami. Przedślaw zmrużył zapadnięte oczy i ciężko opuścił się na ławę.

Po długich słotach był pierwszy ciepły dzień złotej jesieni. Słońce przechyliło się już, ale grzało jeszcze łagodnie. Ni najłżejszy powiew nic poruszał powietrza. Zwiędłe liście starej lipy nad domem, kołysząc się cicho, spływały i bezszelestnie osiadały na ziemi, a sporo ich leżało już na dziedzińcu. Złociły się w słońcu. Jak Zdzichowe włosy...

Przedślaw siedział nieporuszony. Nie słyszał widno, gdy stanęła przed nim Radka, otworzył bowiem oczy dopiero, gdy zagadnęła:

- Tu siedzieć chcecie?

- Słonko grzeje. Niewiele, już go ostało.

- Tedy stół tutaj nakryję i skoczę po gości. Uwinęła się migiem i pofrunęła do sąsiadów. Za chwilę stary ujrzał, jak wśród gromadki czarnych głów zaświeciły jej jasne włosy. Jak ongiś Zdzichowe... Na czele szedł pleban Wyżga, ale Przedślaw nie na niego patrzył: Radka z Mirkiem wiedli się za ręce.

Gdy komes chciał się dźwignąć na powitanie, Wyżga powiedział:

- My jeno po sąsiedzku. Może indziej przyjdziem inaczej...

Urwał i popchnął Mirka przed siebie.

- Pokłońże się komesowi i pod nogi podejmij. A spraw się, żeście mu wstydu nie uczynili - zakończył niby surowo, ale znać było, że omal z dumy nie pęknie.

Usiadł naprzeciw Przedślawowi, a Radka stanęła koło ojca, obejmując go za ramiona, i zapytała cicho:

- Może macierz przywołać?

- Dziś nie trzeba. Znowu mi tu beczeć...

- Tedy przypijcie do gości - przerwała mu chytrze, w samą porę, bo go coś w gardle ścisnęło.

Napełniła kubki. Komesowi dłoń się trochę trzęsła, gdy sięgnął po napój i powiedział:

- Darz ci Bóg, młodziku, jako ci teraz podarzył. Na sławę!

Mirek ujął kubek, ale choć zarumienił się, rzekł śmiało:

- Was książe nad wszystkich wynieśli, tedy na waszą pierwej wypić przystoi.

- Nad wszystkich! Nad wszystkich! - powtórzył Przedślaw, trzęsąc głową.

Zrozumieli, o kim pomyślał. Radka przytuliła się do ojca i powiedziała przymilnie:

- Tak wam Mirek pięknie przemówił, niechże prawi, jako było.

- Wypijmy za zdrowie tych, co ostali, a nowennę odprawię za tych, co odeszli - powiedział Wyżga.

Trącił Przedślawowy kubek i zwrócił się do Mirka.

- A ty powiadaj, jako książe miecz i konia ci darowali.

- Wždy nic od końca mu zaczynać - ozwała się Radka.

Cztery pary ciekawych oczu wlepionych było w Mirka zza balasek. Bracia nie śmieli wejść na podcień, ale choć raz już słyszeli opowieść, słuchać jej mogli w koło do rana. Tylko najmłodszy Miłek wśliznął się niepostrzeżenie i przytaił w pobliżu Radki.

- Jako cesarz stąd odszedł - wiadomo - rozpoczął Mirek. - Nie błogosławił mu Bóg za to, co uczynił...

Chłopak zaciął się, ale chrząknął i ciągnął dalej:

-Wiecie, jako Jan Wrszowiec Świętopelka sulicą na śmierć prze-  
bódl w cesarskim namiocie. Gadali, że to z księżęcia Bolkowego pod-  
uszczenia, ale to pomsta była za rodowych. Co było, jak było, dość że  
się czeszy woje cesarzowi rozlezi, niby na królewski pogrzeb się  
śpiesząc, ale pono dlatego, że, jak mówiono, bali się rokoszu Borzy-  
wojowych stronników i pana nowego osadzić chcieli po swojej myśli.  
A nie bez tego, że im się tu zecniło, bo dość swych kości w naszym  
błocie ostawili. Cesarz zaś ruszył w górę rzeki, grożąc księżęciu, że  
pójdzie na Kraków. Cieszyłem się już, że Kraków obaczę, ale mi  
rzekł Bogusław, któren, choć pocięty, przy księżęciu się nalazł: „Ce-  
sarz tak idzie na Kraków, jako my na Rzym. Ku Czechom się pomy-  
ka, bo mu tam bezpieczniej, a wstydno wprost do dom uciekać”.  
I praw był. Hej! Łebski to on jest, Bogusław, jeno strapił się bardzo  
wieścią... strapił się...

Mirek urwał, bo Radka spojrziała na niego wymownie. Zarumienił  
się i, odchrząknawszy, skęcił:

- ...że na wroga nastawać nie wydoli, bo jeszcze prawą ręką nie  
władnie, a nie masz nad niego do takiej wojny. Obskakiwaliśmy ce-  
sarskich dzień i noc, że konie z głodu jeść poczęli, bo nie tylko za  
żarciem żaden z obozu wychylać się nie śmiał, ale nawet za potrzebą...

Mirek zarumienił się znowu, ale ciągnął:

- Bolesławem Nieśpiącym Niemce księżęcia przewali i pieśń  
o nim ułożyli, którą sam słyszałem, bośmy też nieraz tak blisko byli  
pod cesarskim obozem, że słyhać było, jak ogień trzeszczy. Zaś Bo-  
gusław mi ją wyjaśnił, a zaczynała się tak:

Bolesławie, Bolesławie, ty chwalebny panie,  
Jakże bacznie, jak gorliwie bronisz twojej ziemi!  
Czy to we dnie, czy w nocy, czyli na świtanie  
Twoje oko na nas czuwa i samo nie zdrzemnie.

Nie pomnę dobrze, jako dalej, jeno że sami siebie oskarżali o nie-  
sprawiedliwą wojnę, przychwalając księżęcia i przyganiając cesarzo-  
wi, a zaś kończyli tak:

On wojuje z poganami jako niebios plaga,  
A my walczym z chrześcijany, bo nam za nic wiara.  
Stąd mu zawsze do zwycięstwa Pan Bóg dopomaga,  
Na nas pomści się za zbrodnie i słusznie pokara.

Juści, że się cesarzowi pieśń nie spodobała, tedy zeżlił się i pod  
gardłem śpiewać zabronił. Jeno że gębę zatkać można, a co w sercu,  
to ostanie. A już z tego widno, że nawet nie wszyscy Niemce przy-  
chwalali to, co w Głogowie uczynił...

Mirek znowu urwał, bo komes oczy przysłonił kościstą dłonią.  
Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał Przedśław ochry-  
płym głosem:

- Czemuż nie prawisz dalej?

Mirek podjął:

- Po prawdzie radziej cesarza Nieśpiącym nazwać należało, bo ni  
jednej nocy spokojnie nie przespał. Jako wiecie, kilku ludzi starczy,  
by takiego swaru naczynie, że cały obóz na nogi stawał. Z nieba kapa-  
ło i z cesarskich kapało, bo od głodu, niewczasu i wilgoci chorzeć jęli,  
a przystał który w tyle, to pod nasz nóż szedł. Niejeden też pewni-  
kiem pomyślał, że lepiej własny zagon orać, niż cudzy ściernem  
swym nawozić, bo i uchodzić jęli z obozu, zwłaszcza proste wojaki,  
którym wojna żaden zysk, a własnymi, nie końskimi nogami jesienne  
błoto miesić muszą. Nas zaś przybywało, bo się chłopci mścić szli na  
łupieżcy. Palił cesarz i łupił, co po drodze napotkał, ale mógł se jeno  
swoich solonych wojów wędzić, bo baby z dziećmi i dobytkiem w las  
uszły, gdzie się cesarscy bez Czechów zapuszczają nie śmieli, a chłopcy  
co twardego do garzci i za najeźdźnikiem, za swoje strzechy odpłacić.  
Nim ku Lubiążowi dociągnęli, drugie wojsko z chłopów szło za cesa-  
rzem, każdą dziurę znające, a zajadłe jako wilcy. Juzem się troskać  
jął, że nie jeno Krakowa, ale i Wrocławia nie obaczę, ale Bogusław  
mi rzekł: „Nie martw się. Kapie z nich, nie kapie, ale póki zwarcie  
idą, nie uczynim nic. Pierw ich trza rozgryźć, potem można zjeść. Ale  
myślę, że ksiązę Henryka za Wrocław puścić nie zechcą, bo dość kra-  
ju naniszczą. Żeby bies cesarza natchnął, by Wrocław obiegl, toby-



śmy go tam i dorznęli. Ale po nauce, jaką wziął w naszym Głogowie, pewnikiem mu to i w myśli nie postoi. Tedy tak mi się zda, że pod Wrocławiem bitka będzie, daj Boże szczęśliwie, bo inna rzecz uro-nionego wroga sprawić, a inna żelazne szyki rozerwać".

- Tak ci pięknie nasz Głogów przychwalili? Wypijmyż na sławę na-szego grodu - przerwał Wyżga.

Radka naląła w kubki, a Wyżga trącił Przedstawowy, mówiąc:

-W wasze ręce sława i wdzięczność. Nie siedzielibyśmy tu w sło-neczku przy winie, żeby nie wy.

- Żeby nie ci, co tu nie siedzą - odparł Przedstaw głucho.

Radka przytuliła się silniej do ojca. Niby słucha, ale myśl wciąż przy jednym. Westchnęła cicho.

Słońce jednak już splaszczło się i zrudziało, szybko zapadając za bory. Chłód pociągnął od rzeki.

- Może do świetlicy pójdziem? Przy kominie dobrze się gwarzy - wtrąciła Radka.

- Nasiedzę się przed nim całą zimę - odparł Przedstaw.

- Tedy praw dalej - zwróciła się do Mirka.

- Pociągnęliśmy nocą pod Wrocław i wieści przyszły, że w mili od grodu cesarz stanął obozem i pozór dawał, że gród oblec zamyśla. Ja przy naszych Ślązakach bawiłem, a wieczorem przybył Bogusław, za wodza chłopskiemu wojsku ustanowiony. I wraz było wiadomo, że książę, któren dotąd unikał spotkania z cesarzem w polu, teraz nastą-pi. Strapiłem się, gdy Bogusław oznajmił, że nasi czekać mają, aż Bolko z Polakami, Sandomierzanami, Lublinianami i Mazurami szyki rozbije, i dopiero rozproszonych mamy łowić. Stałem ci z Bogusła-wem na skraju lasa, i wspiawszy się na drzewo, widzę wszystko jak na dłoni, a on zda się cieszyć, że cesarscy sprawnie sobie poczynają. Mnie zaś - prawdę rzec - strach nieco oblatywał, bo myślałem, że tej żelaznej ściany nikt rozbić nie wydoli. Pytam go tedy: „Z czego się cieszyć?” A on prawi: „Jak się bić, to wiedzieć z kim, jeno żal, że mnie ominie zabawa. Patrz, co książę poczynać będą, a ucz się”.

Mirek urwał, nabrał oddechu i ciągnął:

- Ale nie minęła nas zabawa. Książę, jako w pysk, od przodu z jaz-dą uderzyli i prażanie rozsypali się niczym piasek. Mniemałem już, że i Niemce pękną od jednego uderzenia jako suchy pniak pod toporem. Ale nie pniak to był, jeno żelazo. Zdało mi się nawet, że Bogusław pomarkotniał, i pytam, co będzie. Mało z żalu z drzewa nie spadłem, bom się za łeb uchwycił, widząc, że nasi się cofają. Ale on prawi: „Skocz no do książęcia i powiedz, że ja na tyły Niemcom uderzę, by ich do lasu za sobą wciągnąć. Bierz mego konia i pomykaj!” Dopadłem książęcia w krzaczach na wyżynce, jak jazdę sprawiał, by znowu uderzyć. Gdym rzekł, że od Bogusława posłany i z czym, ino mu te zębiska białe w krzywej gębie błysnęły i mówi: „Rzekłbyś, że jedną głową myślimy. Niechże Bogusław tego odyńca za pośladki ułapi, a ja go pod łopatkę, skoro łeb ma twardy i srogie kły. A ty mi się, młodziku, po bitce przypomnij”. Skoczyłem co sił i Bogusław sprawił naszych w mig. Na czele co lepiej zbrojni, z tyłu chłopi z kijami, wi-dłami i co kto miał; poniekąd i gołe pięści. Wypadliśmy z wielkim wrzaskiem i zaraz bawarska jazda na nas wsiadła. Ale nasi konie jęli razić, że się waliły z kwikiem, a co który padł, to chłopskie mrowie na nim, niczym mrówki na zdechłym krecie. Prosto mówić, rękami i zębami rwali. Jeno się zaraz szwabski lud na nas obrócił i gęsto na-szych ciąć jęli. Ale Bogusław nic czekał. W las kazał uskoczyć, zaś oni za nami. A w lesie wrzask i zamieszanie, że już nic widział i nie słyszał, co się w polu działo, jeno co wiem, po bitwie się dowiedział.

Mirek przerwał. Radka poczuła, że ojciec drży, i zapytała:

- Może do izby pójdziem? Chłodno wam?

- Gorąco - odparł. - Niech Mirek skończy. Nalej jeszcze w kubki.

Naląła po omacku, bo zorze już zgasły i zapadła ciemność. Wypili i Mirek podjął:

- Koło południa już było, gdyśmy znowu z lasu wychynęli na rów-ninę. Widzimy jeno, że Miśniacy pod Wiprechtom kupą w ładzie co-fają się ku rzece. A reszta, co nie leży - jakby liśćmi wiatr miotał! Rozbiegani na wsze strony, a nasi łowią ich jako owce. Cesarscy, póki w sprawie, twardzi jak kamień, a rozbijesz - twaróg w pośrodku. Tak mi Bogusław rzekł, a on się na tym zna.

Mirek przerwał, jakby sobie przypominał, i ciągnął:

- Książę z boku uderzyli, gdy tylne zastępy za nami pognały, a zaś z przodu widno myśleli, że pod uderzeniem uchodzą. Nim się zawrócili, nasi z tyłu ich ciąć poczęli i rozsypało się wszystko. Wodzowie za cesarskim przykładem opuścili pole. Ich szczęście, że nasi tak byli pomęczeni, iż niejedyn, jak z konia zlazł, na ziemię się walił i spał. Śmiech powiedzieć - jakieśmy naszych poległych znosić poczęli, a niemało ich było, ten i ów, co go za trupa wzięli, budzi się i oczy przeciera. A zaś cesarskich psi grzebali, bo nam sił nie stało dołów kopać. Jeno sam książę jako z żelaza. Do wieczora ład zaprowadzał, łupy zebrać kazał, strażę wystawił i wodzów zgromadziwszy, nagrody rozdawał. Wstyd mi było między takich się pchać, co po mendlu wrogów mieli na sumieniu, a jam jeno jednego ubił, gdy już uciekali. Ale Bogusław mówi: „Kazali ci książę, nie mędrkuj, ino się zgłoś”. Poszliśmy tedy razem. Ino nas książę obaczyli, rzecze do niego: „Tobie i chwalba pewnikiem się zecniła. Jednakis w każdej potrzebie. Ale ten młodzik jeszcze nie ochwacony”. I pyta mnie: „Skądże?” Tak mnie ogłupiło, że stoję z otwartą gębą, a krew mi mało z uszu nie tryśnic, bo czuję, że gorące, zaś wszyscy gapią się na mnie. A Bogusław prawi: „Z Głogowa. Pierwsza jego chwalba, ale nie pierwsza zasługa, bo onże to mnie, nocą się przekradłszy, odnalazł i uwiadomił, jako sprawy stoją, że pomoc w porę dać mogłem. Czubate były kogutki w Głogowie, jeno żal, iż on jeden pozostał”.

Mirek zaciął się znowu, bo czuł, że Radka patrzy na niego, i by odwrócić uwagę, szybko podjął:

- Książę przystąpili do mnie i rękę mi na ramieniu położywszy, tak powiadają: „Przedślawowego chowu. Wiedziałem ja, komu zaufać. Żeby nie Głogów, nie byłoby dzisiejszego dnia. Nie poszła tamta krew na marne”. I zaraz mi miecz darował i konia, na którym tu przyjechałem, i tyle wszystkiego.

Zaległo milczenie. Jakoś nijak było mówić o zwyczajnych sprawach. Ciszę zmąciły odgłosy idące z głębi granatowego nieba. Dalekie, lecz wyraźne geganie dzikich gęsi. Oddalało się i roztopiło w ciszy.

- Jesień - przerwał milczenie Wyżga. Znowu jakieś głosy z niezmierzonej wysokości, przeciągłe i żalodne.

- Łabędzie odlatują - szepnął Przedśław ochryple.

Mirek trzymał w ciemności dłoń Radki. Drugą objęła trzęsącą się głowę ojca i rzekła cicho:

- Wróć z wiosną.

## XVI. POWRÓT

**K**to przeżył zawieruchę, która przeszła nad Śląskiem, wracał już na swe stare miejsce i życie zaczynało płynąć spokojnie jak woda po wylewie, który zdał się potopem grożącym zagładą, wracająca w stare koryto; choć nie wszystko zostawi, jak nasza; tu brzeg oberwie, tam orne pole zmieni w kamienisko, ówdzie drzewo obali, co się stu burzom oparło. Pracowite ręce usuwają zniszczenia, czas zabliznia rany i wkrótce jeno wspomnienie zostaje okrucieństwa żywiołu.

Przyodrzański szlak cesarskiego pochodu od Krosna do Lubięża najwolniej wracał do życia. Zima była za pasem, a rankami przymrozki siwym nalotem okrywały jeszcze poczerńiałe zgliszcza spalonych osad. Ale już wyszczerbione na zbrojach topory huczały po bezlistnych lasach, wałąc pnie na ściany domostw, które ochronę dać miały przed srogością zimy, a ręce nie wypoczęte z bitewnego znoju tarły je na deski i dźwigały się osady z popiołów, choć nie zawsze w tym samym miejscu, gdzie dawne starła wojna.

W Moczydle jednak nie zmieniło się nic. Leżąca na uboczu wśród / bagien, nie tknięta zębem wojny, wieś czekała na swych gospodarzy, a tymczasem niewiasty z wyrostkami mozolili się do siódmych potów, by wracającym nic zrzucić od razu na znużone barki ciężarów, jakie niósł z sobą szary dzień późnej jesieni. Chaty ogacić trzeba, by lute wichry nie gwizdały przez szpary w ścianach, drewna i suszu zwieźć na opał, bo mężowie namarzli się dość, od miesięcy bez dachu nad głową. A codzienne sprawy nie czekały. Toteż wszystkie oczy z niecierpliwością i tęsknicą kierowały się w stronę Bytomia, skąd mężowie winni nadciągnąć. Brakło silnych rąk i ciężko będzie przeżyć zimę. Dłużył się każdy dzień, choć coraz krótsze były.

Aż jednego z nich, o szarym już zmroku, gdy śniegowe chmury przedwcześnie wyparły resztki dziennej poświaty, nie wiadomo skąd

gruchnęła po wsi wieść, że wracają. Senna cisza jesiennego wieczoru pry snęła jak urok pod słowem zaklęcia. Co żyło, rzuciło się ku wejściu do wsi. Pierwsze popędziły psy, ujadając jak na swoich, za nimi z krzykiem wyrostki, na końcu niewiasty, rzucając gospodarskie zajęcia. Tu darło się niemowlę, nieświadome, dlaczego odstawiono je od piersi, zanim nasyciło głód, tu skopek z udajem przewrócił się, trącony szybką nogą, tam wykpiwała lub przypaliła się kasza gotowana na wieczernię, ale nikt nie myślał o codziennych obowiązkach. Święto! Nasi wracają!

Tylko Wieścina, choć i ją poderwało, nie ruszyła się z chaty. Chleb piekła; dla nich, bo zboża nie ma do zbytu i sama żywiła się jeno pieczoną rzepą. Chleb dochodził właśnie i niech Bóg zachowa, by się spalił! Ręce jej się trzęsły, gdy drewnianą łopatą wygarniać zaczęła niezbyt jeszcze rumiane bochenki, a wargi jej latały, gdy na przemian ze słowami modlitwy szeptała słowa skuteczne dla odwrócenia złych wieści. Uchem łowiła odgłosy z dworu, w jakie rozsypał się początkowy gwar, usiłując po nich zmiarkować, co się dzieje. Teraz wracający rozchodzą się po chatach, lada chwila i jej drzwi winny się otworzyć.

Nagle ponad wszystkie głosy wybił się lament u sąsiadów. Zawodziła Obezka Krzepiszowa, a zaraz zawtórowały jej piskliwe głosy czworga dzieci. Wieścina wiedziała, że tak płaczą wdowy i sieroty. Nie wszyscy wrócili! Skurczona, przysiadła na trójnogim stołku, zapomniawszy o chlebie, czując, że chwila jeszcze, a jej płacz dołączy się do głosów dochodzących z sąsiedniego domu. Nie nadchodził nikt, ale nic miała nawet odwagi wybiec i zapytać.

Siedziała jak martwa, pustkę czując w głowie i piersiach.

Jak najśłodszy śpiew i muzyka zabrzmiał w jej uszach kaszel starego Sapka i zgrzyt otwieranych dzwierzy. Skoczyła na równe nogi, wywracając stołek. Rasko wchodził, prowadząc ojca, który szedł z wysiłkiem. Stała, chwiejąc się jak drzewo na wietrze, nic poruszyła się, by pomóc mężowi ułożyć starego na legowisku. Rasko okrył ciepłą derą zanoszącego się kaszlem starucha i spojrzął na żonę, która utkwiała rozszerzone źrenice w ciemny otwór drzwi.

- Zamknij - powiedział - bo ziąb ciągnie z pola, a namarziliśmy się za dość. Chleb spalisz! - krzyknął.

Istotnie rozchodził się po izbie swąd zapomnianego w piecu chleba, ale ona nie czuła i nie słyszała.

- Kosek! - szepnęła pobladłymi wargami.

- Kosek?! Gościńce tu masz od niego, bo sam nie wróci. Przy książęciu ostał - dodał z dumą.

Sięgnął za pazuchę, wydobywając sznur bursztynu i rogowy grzebień w srebrnej oprawie i podawał żonie. Ale ona nie wyciągnęła ręki. Macała za sobą, szukając oparcia. Usiadła ciężko i zakrywając twarz dłońmi, zaniosła się szlochem ulgi.

- Baby zawsze beczeć muszą, dobrze jest czy źle - mruknął. - Jeść dawaj, a gadać będziem potem. Jest o czym, choćby do świtania.

Otarła twarz zapaską, ucałowała dziada w rękę i zakrzętała się koło wieczerzy, ale leciało jej z rąk wszystko.

-Uważaj! - fuknął Rasko. - A jeść daj dużo i tłusto. Dość było biedy, a nie musimy sobie teraz żałować.

- W zimie ciężko będzie - westchnęła.

-Nie nam - odparł, usiłując widocznie podniecić jej ciekawość i czekając na zapytania. Ale jej co innego było w myśli, gdyż spytała niespokojnie:

- Bogudar gdzie?

Niezadowolony, że mu chybiło, Rasko rzekł niecierpliwie:

- Mówiłem niezdarze, by ostał, bo wojna nie dla takich. Nie jego była sprawa, a do bitki tak zdatny, jak kot do orki. I legło mu się. Ni sobie był, ni ludziom. No, masz znowu o co beczeć!

- Myślałby kto, że wojna przebiera: głupich bierze, mądrych ostawia - mruknął dziad z kąta.

Wieścinnie istotnie łzy kręciły się w oczach. Polubiła cichego i skromnego człeka, który najmniej miejsca chciał zajmować, a jak umiał, pożytecznym starał się uczynić. Płakać iście nie ma kto po Bogudarze, ale właśnie dlatego Wieścinę oczy piekły.

Rasko, podjadłszy, rozsiadł się wygodnie przy ognisku i dorzucając drew, brał się widno do opowiadania, gdy Wieścina rzekła:

- Jeno na chwilę do Obezki skoczę. Pewnie głowy nie ma, by choć dzieci nakarmić. Krzepisz nie wrócił?

- Pod Wrocławiem legł. Nie on jeden. Staliśmy...

- Dla nich jeden - przerwała cicho i wyszła. Dziad kaszlał i postękiwał na swym legowisku.

Rasko nalał kubek wrzątku, rozpuścił miodu i wręczając mu, powiedział:

-Napijcie się, to wam duchota przejdzie. Staremu za przypieckiem siedzieć, nie na wojnę chodzić. Trzebaż wam było...

- Mnie nie trza było, ino wam. Najdzie człeka śmierć i na przypiecku. Ani człek nie wybiera, gdzie i kiedy kości złoży. A wojna nie nie-sie dobra nikomu.

- Kosek panem na niej ostał...

- Robi wojna panów, robi i niewolników.

Wróciła Wieścina z zaczerwienionymi oczyma i usiadła zadumana. Czym tu pocieszać wdowę, co z małymi dziatkami ostała? Popłakała z nią, ułożyła dzieci do snu i pomagać przyrzekła. A swoich trosk za dość. Zaniedbane wszystko. Chciała o tym pomówić z mężem, ale on nie mógł już wytrzymać i zaczął od końca:

- Zabierać nam się stąd przyjdzie...

- Dlaczego?! - krzyknęła.

W tej chwili zapomniła, że ciężko tu żyć. Obejrzała się po swoich kątach. Tu przeżyła swoją odrobinę szczęścia i wiele trosk i niepokoju. Nie zaczyna się życia dwa razy. Powtórzyła:

- Dlaczego?

- Kosek rycerzem książęcym ostał. Na dworcu siedział będzie. Bolko ziemie mu nadał i brańców. Dostatków pilnować trzeba, bo książę z wojny na wojnę chadzają, tedy i Kosek w domu nie usiedzi.

Wieścina ręce załamała. Dostatków będzie strzegła miast wnuków, a w zamian za to żyć z tym szarpiącym serce niepokojem o jedyne syna. Rasko, który spodziewał się wybuchu radości, zeżlił się:

- Czegóż tu żałujesz? Że rąk sobie nie będziem musieli urabiać po łokcie? Kosek nie wróci. Sami tu ostaniem na stare lata? A i dziadowi zda się dostatek i wygoda...

- O mnie się nie troskaj - odezwał się Sapek. - Ja tu ostanę.  
- Sami ostaniecie? Wždy starunku wam trzeba. Nie urobicie sami na siebie...

- Mnie niewiele już trzeba. Dbałem żywot cały o innych, i o mnie zadbają.

Rasko w rozterce spojrział na ojca. Powiedział niepewnie:

- Moje to pierwsze prawo. Ale dlaczego? Lepiej nam będzie u Koska.

- Będzie ci lepiej, to idź. Ja tu pomrę, gdzie się urodził. Dlaczego? Bo jeśli każdy, co radę ma w głowie czy siłę w ręku, od gromady będzie odchodził, to jako stado bez przewodnika na łup pójdą. Poszedł Kosek, niech mu szczęści. Niespokojny duch w nim żywie, nie byłby i tak z nami usiedział. Spodobała mu się wojna, bo wygrał. Wierzgał, gdy mu jarzmo nakładali, teraz sam innymi orał będzie; tymi, co przegrali.

- Jakoż mi starego i chorego rodzica poniechać? - powiedział Rasko niepewnie. - Wstydno byłoby ludziom w oczy spojrzeć...

- Wstydno i sieroty poniechać, co ich wojna we wsi przysporzyła. Ale tam, dokąd pójdziesz, nikt cię znać nie będzie, nie będziesz musiał ludziom w oczy patrzeć.

- Kazał przecie księżę komesom wdowy i sieroty zaopatrzyć...

-I bydłu nie starczy, gdy mu paszę zwieźć. Co dzień o nie dbać trzeba - odparł Sapek.

- Pomagać przyrzekłam Obezce - szepnęła Wieścina, patrząc nieśmiało na męża, który siedział ponuro zamyślony.

- Idźże jej tedy powiedz, że nie będziesz. Albo lepiej niech Rasko jej powie. Za co tobie oczyma świecić, że serce masz miast rozumu! Idźże - zwrócił się do Raska.

Rasko pięścią wyrzwał w stół ze złością.

- Nie pójde! Ostanę z wami. Bierz lichu...

- Z gromadą ostań - powiedział dziad.

# KAROL BUNSCCH

## POWIEŚCI PIASTOWSKIE

DZIKOWY SKARB

OJCIEC I SYN

ROK TYSIĘCZNY

BRACIA

BEZKRÓLEWIE

ODNOWICIEL

IMIENNIK

I. ŚLADEM PRADZIADA

II. MIECZ I PASTORAŁ

PRZEKLEŃSTWO

ZDOBYCIE KOŁOBRZEGU

PSIE POLE

POWROTNA DROGA

WAWELSKIE WZGÓRZE

WYWOŁAŃCY

PRZEŁOM

## TRYLOGIA ANTYCZNA

OLIMPIAS

PARMENION

ALEKSANDER